

Y. 9786 Chri Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 4/54

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Juliusz Mieroszewski:

**O reformę „Zakonu polskości”**

Robert Redfield:

**„Rząd światowy”**

Alfred Burmeister:

**Górnicy polscy w Donbasie**

SPRAWY I TROSKI ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦  
ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ NAJNOWSZA HISTORIA  
POLSKI ♦ KSIĄŻKI ♦ LISTY DO REDAKCJI.

## SPIS RZECZY

|                       |  |    |
|-----------------------|--|----|
| Józef Czapski:        | <i>Łańcuszek</i> .....                                   | 3  |
| Juliusz Mieroszewski: | <i>O reformę „Zakonu polskości”</i>                      | 5  |
| Robert Redfield:      | <i>„Rząd światowy” w świetle nauk politycznych</i> ..... | 14 |
| Olga Żeromska:        | <i>Teatr w Kraju</i> .....                               | 22 |
| Janusz Jasińczyk:     | <i>Teatr emigracyjny</i> .....                           | 33 |
| Józef Łobodowski:     | <i>Ukraińska literatura emigracyjna</i>                  | 46 |
| Maria Czapska:        | <i>„Fortuna Cezara”</i> .....                            | 61 |
| Paweł Hostowiec:      | <i>Na marginesie nagród literackich</i>                  | 70 |

### SPRAWY I TROSKI

|                      |   |    |
|----------------------|---|----|
| Paweł Dunin:         | <i>Les Ageux i niektóre inne sprawy</i> | 75 |
| Benedykt Heydenkorn: | <i>Emigracja polska w Kanadzie</i> ..   | 79 |
| E. Żagiell:          | <i>Kronika australijska</i> .....       | 94 |
| Londyńczyk:          | <i>Kronika londyńska</i> .....          | 96 |

### SPRAWY KRAJOWE

|             |                                     |     |
|-------------|-------------------------------------|-----|
| M. S.:      | <i>Listy z Polski</i> .....         | 98  |
| Berlińczyk: | <i>Przemysł filmowy w Polsce</i> .. | 102 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                   |                                   |     |
|-------------------|-----------------------------------|-----|
| Jerzy Prądzyński: | <i>„Targi” frankfurckie</i> ..... | 106 |
| Berlińczyk:       | <i>Kronika niemiecka</i> .....    | 111 |
| Londyńczyk:       | <i>Kronika angielska</i> .....    | 112 |

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

|                    |                                      |     |
|--------------------|--------------------------------------|-----|
| Alfred Burmeister: | <i>Górnicy polscy w Donbasie</i> ... | 115 |
|--------------------|--------------------------------------|-----|

### KSIAŻKI

|                       |  |     |
|-----------------------|--|-----|
| J. Mier.:             | <i>„Zaścianek” Zachodu</i> .....       | 123 |
| Michał Sokolnicki:    | <i>Księgi polemiczne</i> .....         | 125 |
| Zbigniew Małecki:     | <i>Stalin a komunizm niemiecki</i> ... | 131 |
| Jean Bernier:         | <i>Okres wielkich czystek</i> .....    | 139 |
| Wł. Bączkowski:       | <i>Przebudzenie Azji</i> .....         | 141 |
| Józef Ursyn:          | <i>„Ostatni” Goncourt</i> .....        | 147 |
| Juliusz Mieroszewski: | <i>Wańkowicz i „Ziele”</i> .....       | 150 |

|  |                                |     |
|--|--------------------------------|-----|
| J. Mackiewicz, M. Belina, Dr Z. Makomaski, S. Żochowski, A. Tarnowski, J. Hoffman: | <i>Listy do Redakcji</i> ..... | 153 |
|--|--------------------------------|-----|

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**      Kwiecień — Avril      1952

*Numer poświęcony*

*po raz trzeci*

*Legionowi Młodych Polek*

W CHICAGO, ILL., U.S.A.

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## Noty biograficzne autorów

Robert REDFIELD, ur. w Chicago 4 grudnia 1897 r., od 1926 r. profesor w *The University of Chicago*, 1930-34 dziekan Wydziału Nauk Społecznych. 1934-46 dziekan Wydziału Antropologii. 1936-42 badania antropologiczne w Yucatanie i Guatemali. Publikacje. (głównie o Meksyku) Tepotlou, *A Mexican Village* (with Alfonso Villa) — 1930. Alen Kon, *A Maya Village* (1940). *The Folk Culture of Yucatan* (zasadnicze dzieło) 1941. *A Village that Chose Progress* (1950). Obecnie: profesor antropologii w *The Univ. of Chicago*.



Olga ZEROMSKA, ur. na Wileńszczyźnie. Studia teatralne w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej i polonistyczne pod kierunkiem prof. W. Borowego na tajnym uniwersytecie w Warszawie; dyplom w r. 1944. Uczestniczka prac konspiracyjnych i powstania warszawskiego. Start aktorski w Teatrze im. Bogusławskiego w Niemczech w latach 1945-46 oraz w Teatrze Dramatycznym II. Korpusu; tamże praca pedagogiczna w Studium Teatralnym. Drukowała szereg essay'ów ogólnych i prac z dziedziny teatru i polskiego tańca w czasopismach literackich i fachowych. Przekłady Claudela, Giraudoux i Anhouilla.



Benedykt HEYDENKORN, ur. w 1906 r. Studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim uk. w 1930. W okresie 1930-33 współpracownik warszawskiego biura "Berliner Tageblatt", do 1939 r. korespondent polityczno-parlamentarny "Agence Havas". Członek Klubu Sprawozdawców Sejmowych. Aresztowany i wywieziony do Rosji we wrześniu 1939 r., potem służba w armii polskiej (II Korpus), współpraca z prasą wojskową. Po wojnie współpracuje z "Continental News Service". W 1949 wyjeżdża do Kanady gdzie pozostaje dotąd. Pisuje do "Robotnika", "Dziennika Polskiego" i in.

W 1929 r. ogłosił pracę: "Proletaryzacja inteligencji zawodowej w Polsce".



ZBIGNIEW MAŁECKI, ur. w 1922 w Łodzi. Kończy gimnazjum w Polsce, Liceum humanistyczne w obozie internowanych żołnierzy 2 DSP w Szwajcarii. Studia humanistyczne we Fryburgu. Przebywa w Kanadzie — w Montrealu.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

## Łańcuszek

*Podczas mego ostatniego pobytu w Ameryce spotkałem wybitnego działacza organizacji żydowskich. Opowiadałem mu o moich wrażeniach z Polonii Amerykańskiej «na świeżo»: ile dowodów hojności, serca, starej emigracji polskiej sam doznałem i ilu innych z tej pomocy skorzystało, ile paczek, ile lekarstw płynię z Ameryki do Kraju. Zwierzyłem mu się przy tym do jakiego stopnia sprawę pomocy ludziom w potrzebie, ludziom biednym łatwiej wzbudzają hojność niż walka o ciągłość kultury polskiej, o polskie pisma czy polskie wydawnictwa.*

*Mały przykład: na jednym z odczytów, w którym nawoływałem o pomoc dla «Kultury», otrzymałem na rękę kilkadziesiąt dolarów od organizatorów. Przyjąłem je jako dar dla pisma. Ofiarodawcy żywo zaprotestowali: «Te pieniądze są dla Pana, dla żadnej Kultury». Zagroziłem, że przepiję: «No, to niech sobie Pan przepije, ale my damy Panu, a nie żadnej Kulturze».*

*Mój przyjaciel, działacz żydowski, odpowiedział mi: «Ależ proszę Pana, stosunki są bardzo podobne w naszej emigracji żydowskiej. Czy Pan zna tę anegdotkę? Dwóch Żydów, już wiele lat temu zgłosiło się do potężnego bogacza, Żyda amerykańskiego o pomoc dla biblioteki w Jeruzolimie; prosili o milion dolarów. «Nie dam ani grosza» — odpowiedział twardo.*

*Proszący już chcieli wychodzić, jeden jednak zdobył się na pomysł i powiedział:*

*«Szkoda, bardzo szkoda, więc biedna wdowa jeszcze nam z głodu umrze».*

*«Jaka wdowa?» — spytał milioner.*

*«No, bo chcieliśmy sekretarką tej biblioteki zrobić wdowę z trojgiem drobnych dzieci».*

*Stary milioner się zawahał... «Wdowa?... więc macie milion!».*

*Nieraz mówię redaktorowi Kultury, Giedroyciowi, jaka szkoda, że nie mogę Cię podawać za wdowę z trojgiem drobnych dzieci».*

*Żarty na bok. Teza jakoby emigracja polska w Ameryce nie interesowała się dostatecznie walką o ciągłość kultury polskiej zaczyna się chwiać w moim przekonaniu. Może będę musiał całą tę tezę «odszczekać»? Dwa lata temu parę osób prywatnych i Wydział Stanowy Dolnego New Yorku, pomogli nam przetrwać*

P. 9786 Chv.

ciężki okres. Potem znowu poratowali nas: organizacja Legionu Młodych Polek w Chicago dwukrotnie, Polskie Radio w Detroit, pod dyktando Eugeniusza Konstantynowicza i Jana Mariana Kreutzta, wreszcie Arts Cluby, umożliwiając wypuszczenie czterech numerów naszego pisma, którego ilość abonentów z miesiąca na miesiąc wzrasta.

Jeżeli pisarz potrzebuje świadomości, że choć paru czytelników czeka na jego słowo, że to co pisze, że to co chce powiedzieć właśnie między wierszami czy szeptem ktoś jeden chociaż słyszy, to redakcja pisma tym bardziej w naszych warunkach emigracyjnych zaorana wśród dzikich trudności, robiąc godzinami do późnej nocy korekty, pakując, wiążąc i taszcząc na plecach setki paczek z naszym pismem i rozsyłając je do 53 krajów od Nowej Zelandii do Bagdadu, od Chile do Chicago, Detroit czy Montrealu, a przede wszystkim do Kraju, to ta redakcja potrzebuje także świadomości, że nie tylko pismo jest czytane ale że są na świecie ludzie, gotowi ofiarą z tego co posiadają w pracy nam dopomóc.

Dziś, PO RAZ TRZECI, Legion Młodych Polek w Chicago przychodzi nam z pomocą.

Tym rodakom, którzy nie słowem tylko, ale CZYNNIE, MATERIALNIE, ratują nas w chwilach nieraz trudniejszych niż by czytelnikowi zdawać się mogło, zawdzięczamy o wiele więcej niż tę materialną pomoc, dają oni nam, poprzez nią, OTUCHĘ MORALNĄ. Może są to ogniwa łańcuszka za którymi pójdą dalsze?

Józef CZAPSKI.

## O retormę «Zakonu polskości»

Szalone myśli chodzą po głowach współczesnych polskich pisarzy. W polemice z W. A. Zbyszewskim, Witold Gombrowicz komentując swój "Trans-Atlantyk" — pisze m. in.:

"... utwór (ten) pragnie bronić Polaków przed Polską... wyzwolić Polaków z Polski... sprawić, aby Polak nie poddawał się biernie swej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry".

"... Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorobą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy, wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej "polskości", która go dzisiaj określa?" ("Wiadomości", Nr 304).

To są niesłychane poglądy. Polacy na przestrzeni ostatnich 150 lat buntowali się przeciwko wszystkim i wszystkiemu właśnie w imię owej "polskości", która ich określa.

Lecz Gombrowicz ma rację — coś się w nas załamało. To załamanie manifestuje się dwojako. W masach, w rdzeniu narodu dominuje instynkt przetrwania. W kraju każdy wie i czuje, że nie może być więcej powstań warszawskich. Żle czy dobrze — należy się przystosować, przycichnąć, przeżyć a nie ginąć.

Polacy na Zachodzie przemienili się również. Symbolem naszej emigracji nie jest Puławski, lecz por. Wyrwa. Nie szukamy dziś sposobności do walczenia przeciw Sowiетom z bronią w ręku. Gdy w styczniowym n-rze "Kultury" w ub. roku ogłosiłem artykuł krytykujący stanowisko por. Wyrwy — posypały się na mnie gromy. Gdyby to był rok 1914 por. Wyrwa byłby potępiony. Dziś udzielono mu ogólnego poparcia. Piłsudski jeździł do Japonii, lecz dziś Polak walczący ochotniczo przeciw komunistom na Korei byłby uznany za szaleńca. Niewątpliwie coś się w nas przemieniło.

Owa przemiana objęła wszystkie narody europejskie. Prawdopodobnie nie ma przesady w ocenie jednego z amerykańskich publicystów, który po zwiedzeniu zachodniej Europy stwierdził, że gdyby konsulaty amerykańskie wydawały wizy bez ograniczeń dniem i nocą — 30 do 40 milionów Europejczyków opuściło by kontynent.

Kim są ci ludzie? To są ludzie, którzy albo jak Francuzi prze-

zyli triumf równy klęsce pierwszej wojny światowej i katastrofę drugiej wojny światowej, albo Niemcy, którzy przegrali dwie wojny światowe na przestrzeni jednego pokolenia. Niemiec, Francuz czy Włoch widzi, że ofiary, ruiny, pobożowiska i cmentarze dwóch wojen światowych doprowadziły go w rezultacie do... przedpokojów trzeciej wojny światowej. Do ograniczeń, drożyzny, racjonowania żywności i nowych zbrojeń. Tak brzmi epika europejskich nacjonalizmów i "Vive la France" i "Deutschland über Alles" i "Giovinezza". W porównaniu z tym łańcuchem klęsk, które rodzą nowe klęski — Stany Zjednoczone wydają się czymś legendarnym. Kraj, który nie przegrał żadnej wojny, kraj, którego dzieje to nieprzerwany ciąg sukcesów i niekończącego się powodzenia, kraj dobrobytu, bezpieczeństwa i wolności. I wszystko to okupione jakże znikomymi ofiarami. Warszawa w zabitych i pomordowanych straciła więcej ludzi niż armie amerykańskie na wszystkich frontach drugiej wojny światowej.

Nacjonalizm stał się miłością beznadziejną, miłością bez wzajemności. Gloryfikowanie ofiary i bohaterstwa (słodko jest umierać za ojczyznę) — kult munduru i broni (armaty zamiast masła) — nie mogą być celem same w sobie, lecz środkiem do celu. Jeżeli ów cel jest nieosiągalny, względnie, jeżeli stale wzrasta dysproporcja pomiędzy wysiłkiem i ofiarą a prawdopodobieństwem osiągnięcia celu — następuje załamanie. Istotą obecnego kryzysu europejskiego jest fakt, że nikt nie ma odwagi zrezygnować z celu, choć już nikt nie chce ponosić ofiar. Już nikt nie chce armat zamiast masła i większość powątpiewa w słodycz umierania za ojczyznę. Oficjalnie wyznaje się jeszcze nacjonalistyczne cele, choć nikt już nie chce ponosić gorzkich, heroicznych ofiar związanych organicznie z mitem krwi i żelaza.

Ów kryzys — w życiu jednostek wyraża się serią indywidualnych dramatów. Znam wielu bez skazy Polaków, którzy dzieci swe zapisali do szkół angielskich pod angielsko brzmiącymi nazwiskami. Ci ludzie nie tają, że pragnieniem ich jest nie przekazywać dalej bolesnej schedy "umierania narodowego". Daleki jestem od uogólniań, ale fakty są faktami i o czymś świadczą. Gdyby ten sam Gombrowicz napisał cytowany we wstępie tego artykułu urywek w roku 1918 czy 1920 — ukamienowano by go w Warszawie. A dziś polskie pismo bez sprzeciwu wydrukowało tę wypowiedź. Coś się w nas przemienia i przełamuje. I nie tylko w nas, w całej Europie.

Do niczego nie prowadzi ani ów po-szlachecki romantyzm stylu ("skazani na wielkość"), ani owo dydaktyczne "podciąganie wzwyż", szczególnie bliskie przedstawicielom ex-czołowego polskiego obozu politycznego. Określanie pewnych zjawisk "małością", a pewnych ludzi "kapitulantami" czy zgoła "dezertarami" — również niczego nie wyjaśnia i nie nie tłumaczy. Nie załatwia też sprawy frazes, że "zdrowa większość Polaków na obczyźnie skupia się wokół legalnego rządu".

Spróbujmy przemyśleć rzecz do końca.

Jeżeli przez nacjonalizm rozumieć zakon miłości ziemi rodzinnej, kodeks obowiązków i przykazań — to ów zakon w wydaniu polskim uznać należy za instytucję, wymagającą radykalnej reformy. Pod ciśnieniem wielowiekowego kompleksu powtarzamy nacjonalistyczne "credo", głusi na doświadczenia ostatnich 150 lat — najczarniejszych w tysiącletnich naszych dziejach. — W tym wszystkim brzmi dziś fałsz. Bo w gruncie rzeczy nie mamy już sił, by służyć i następne dziesiątki lat nacjonalistycznemu zakonowi krwi i żelaza. Brzmi w tym fałsz, bo w gruncie rzeczy wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nasz zakon suwerenny jest anachronizmem — wolimy jednak podstrzymywać wiarę w mit, niż treść mitu poddać rewizji.

Czas wyjaśnić co rozumiem przez reformę zakonu polskości.

Reformę trzeba zacząć od odważnego stwierdzenia, że cele polityczne nacjonalistyczno-suwerenne, w imię których, na przestrzeni ostatniego półtora wieku, miliony Polaków straciło życie — w obecnym okresie historycznym nabrały cech anachronizmu i utopii. Cele te utrzymuje się sztucznie na tablicach przykazań zakonu narodowego, identyfikując "wolność" z "suwerenną niepodległością". Tymczasem wolności nie zdobędziemy przez odbudowę suwerennego państwa, gdyż w obecnej epoce suwerenność małych i średnich państw jest fikcją. Polskość nie może być zakonem utopijnej wiary. *Zreformowany zakon winien z jednej strony zawierać perspektywę wielkiego celu narodowego, z drugiej zaś, definiować polski styl życia, tj. twórczości w najpełniejszym i najróżnorodniejszym tego słowa znaczeniu. Ów cel, czy cele narodowe mogą być trudne i dalekie, jednak muszą być osiągalne w ramach realnych możliwości współczesnego świata, gdyż nie mamy powodu oczekiwać, iż wellsowska torpeda czasu cofnie nas w 18-te stulecie.*

Hołdowanie anachronicznym i utopijnym celom wytworzyło u nas iście japoński kult śmierci za ojczyznę, przy całkowitym lekceważeniu użyteczności i celowości ofiary.

Jeżeli obserwujemy pewne znużenie, a u nielicznych jednostek załamanie — to jest ono typową reakcją na utopijny anachronizm naszej ideologii narodowej. Urealnienie naszych celów i związanie ich z prądem przebudowy Europy — oddziaływało by zbawiennie na psychikę Polaków na Zachodzie. Cel polityczny, jeżeli ma przykuwać serca i umysły musi tkwić mocno w rzeczywistości. Musi w sobie zawierać koncepcję, to znaczy, nowy plan rozwiązania krytycznych zagadnień. Dopóki nie ma koncepcji — mimo gloryfikowania przeszłości — trwa klimat klęski i przegranej.

Anachronizm zakonu polskości jest programowo utwierdzony wśród wiernych.

W Kairze, w czasie wojny, widziałem obraz namalowany

przez zasłużonego pułkownika W.P., przedstawiający polskich ułanów, szarżujących z lancami na kolumnę niemieckich czołków. Pod obrazem umieszczony był podpis: "Zawsze oni..."

Oto klasyczny przykład bałwochwalstwa anachronizmu. Ułani atakujący średniowieczną lancą czołgi byli istotnie bohaterami, bo w obronie swej ziemi szli z kijami na góry żelaza. Niemniej jednak, sytuacja tego typu jest absurdalna, kompromitująca i gloryfikowanie tego epizodu jest równoznaczne z gloryfikowaniem naszej niezdolności do obrony, a owe lance są tylko miarą jak bardzo to zadanie przerastało nasze siły i możliwości.

Lecz obraz ten jest przykładem jeszcze czegoś innego. Widzimy na tym przykładzie, że bohaterstwo w hierarchii wartości zajęło w zakonie polskości miejsce należne realnemu osiągnięciu, czyli zwycięstwu.

We wszystkich, bez wyjątku, opisach powstania warszawskiego spotykamy to samo przewartościowanie. Jest to zrozumiałe — temu cierpieniu, krwi i śmierci trzeba przeciwstawić jakąś wartość, jakąś wielkość w innym wymiarze. Tą wartością jest czyste bohaterstwo odbarwione od wszelkiej funkcyjnej użyteczności. Wiąże się z tym emocjonalna, a obowiązująca Polaków wiara, że "non omnis moriar", że każdy poległy jest szczyblem w drabinie po której naród wejdzie do lepszej przyszłości, że nikt nie umiera za ojczyznę na próżno.

To wszystko jest metafizyką, lecz nie jest polityką. Setki tysięcy Polaków umierało całkowicie na próżno, nie przybliżając swą śmiercią dnia zwycięstwa, czy wyzwolenia ani o godzinę. (Czasem akcja może być wręcz szkodliwa. Żołnierz biorący w niej udział jeżeli ginie, ginie śmiercią bohaterską, jednak jego śmierć jak i cała akcja są daremne i w konsekwencjach szkodliwe. Przykład: partyzantka i bohaterska śmierć mjr. Hubali).

W sumie sądzę, że reforma zakonu polskości winna objąć wytepienie bałwochwalstwa anachronizmu. Trzeba więc raz skończyć z tym kompromitującym "eks" w zakonie polskości. Jesteśmy eks-potężnym "Commonwealth'em" narodów, eks-mocarstwem, eks-zwornikiem Europy, eks-przedmurzem Chrześcijaństwa itd. Te "eksy" zostawmy innym, dla których to jest cały majątek.

Gdybyśmy połowę naszych zamiłowań historycznych przemienili na zainteresowania i studia teraźniejszości — perspektywy polskiej myśli politycznej uległyby cudownemu uzdrowieniu. Metoda historyczna niesie z sobą jeden zdradliwy fałsz. Historyk szuka genezy, powiązań i sytuację obecną usiłuje zawsze związać z ostatnim ogniwem ciągłości historycznej. Tymczasem ciągłość jest fikcją, jest kreacją sztuczną, instrumentem pomocniczym, który czasem ułatwia a czasem utrudnia odczytanie pewnych procesów historycznych. Historyka niepokoją zjawiska bezprecedensów, zjawiska, których nie można nanizować na nić wątku ciągłości historycznej. Poszukiwanie precedensów dla faktów bez precedensów jest jednym z głównych działów badania

historycznego. Stąd narody i politycy obciążeni historycyzmem wzdragają się na myśl o pracy "od nowa" — są natomiast gotowi do największych poświęceń byle jednak i tym razem zacząć od pieca.

Tymczasem ów kompleks lęku historycznego jest całkowicie bezpodstawny. Jeżeli, odrzucając historycyzm, zaczniemy "od nowa", organizując związek federacyjny — możemy być spokojni, że historycy już w następnym pokoleniu dorobią nam drzewo genealogiczne, znajdą precedensy i włączą nas w legitymizm tradycji historycznej.

Pogłępmy w nas samych poczucie polskiego kryzysu historycznego, otrząsnijmy się z tradycjonalizmu i zaczniemy "od nowa" bez precedensu. *Naród, który zatracca zdolność pobierania bezprecedensowych decyzji, jest narodem starym.*

Lecz to nie wystarczy. Zerwanie z bałwochwalstwem anachronizmu musi obejmować również rewizję naszej parafialnej wykładni dziejów narodowych. Musimy, innymi słowy, zacząć rozpatrywać polską historię jako fragment historii Europy, bo dotąd było odwrotnie — historię Europy rozpatrywaliśmy zawsze z punktu widzenia partykularnych interesów polskich. Nasza literatura historyczna roi się od stwierdzeń i kunsztownych wywodów, że Polska jest kamieniem węgielnym Europy, że Europa nie może istnieć bez silnej Polski, że jesteśmy filarem i warunkiem "sine qua non" europejskiego porządku.

W rzeczywistości jest to prowincjonalne "wishful-thinking" i żalodne "elefantiasis" poczucia regionalnego. Wspaniała Europa XIX wieku, Europa rozkwitu i ekspansji, Europa bez paszportów i ograniczeń, Europa świetnego malarstwa i literatury, Europa polityczna rządczyni świata i bankier kuli ziemskiej — obywała się bez niepodległej Polski. Nie tylko obywała się, ale kwitła.

Skończmy nareszcie z tym anachronizmem "zwornika i przedmurza". Pogódźmy się z faktycznym stanem rzeczy, że to Polska z jej historią stanowi fragment Europy i jej dziejów, a nie odwrotnie.

Poruszam sprawę rewizji polskiego poglądu historycznego ponieważ pogląd historyczny jest zawsze "bazą wyjściową" działania politycznego. Historia wywiera bezpośredni wpływ na politykę.

Jeżeli nie dojdzie do federacji europejskiej, to tylko dlatego, że zainteresowane narody nie zdobędą się na rewizję swych anachronicznych poglądów historycznych. Jeżeli nasze inicjatywy w kierunku przygotowania związku federacyjnego Europy środkowo-wschodniej nie dały dotąd żadnego rezultatu, to w dużej mierze dlatego, że nasza obecna "historyczna baza wyjściowa" wyklucza ewolucję w kierunku federacji.

Problem polityczny jaki mamy przed sobą jest następujący: Zmarnowaliśmy 12 lat (pierwsza inicjatywa federacyjna Europy środkowo-wschodniej datuje się z r. 1940) i doczekaliśmy się odbudowy Niemiec. Z naszymi ewentualnymi partnerami nie

umieliśmy znaleźć wspólnego języka — choć nie trzeba było być jasnowidzem, by przewidywać, że z chwilą powrotu Niemiec na scenę międzynarodową — sytuacja nasza jako inicjatorów związku federacyjnego niezmiernie się pogorszy. Dziś nasi ewentualni partnerzy rozmawiają z Niemcami. My zaś — z uwagi na problem Ziem Odzyskanych zaczynamy stanowić polityczne "tabu" dla tych wszystkich, którym zależy na dobrych stosunkach z przyszłymi Niemcami. I w tym punkcie wracamy do Europy, która jest, niestety, niemiecką kwadraturą koła. Zagadnienie niemieckie jest równie istotne dla francuskiej myśli federacyjnej, jak dla polskiej myśli federacyjnej. Niemcy są najlichnijszym i najcentralniej położonym narodem Europy i byłoby nonsensem nie doceniać ich roli.

W ramach anachronicznego, lecz do dziś oficjalnie obowiązującego polskiego poglądu historycznego problem powyższy jest nie do rozwiązania. W ramach suwerenno-państwowej polityki możemy tylko powiedzieć, że "nie oddamy ani guzika" i na siłę odpowiemy siłą.

Jeżeli narody europejskie, a wśród nich i Polacy — nie zrewidują swoich przedpotopowych poglądów i nie zdobędą się na jedynie słuszny i nowoczesny punkt widzenia: **EUROPA PRZED WSZYSTKIM!** — przewidywać należy całkowitą katastrofę.

Europa nie sfederalizowana będzie albo rosyjska, albo niemiecka. Jeżeli Amerykanie wycofają się z kontynentu — przyjdą Rosjanie. Jeżeli Stany Zjednoczone trwać będą przy zamiarach obrony Europy — to w razie załamania się planów federacyjnych i przy słabości krajów zachodnio-europejskich jedyną realną siłą może zostać armia niemiecka.

Politycy małych i średnich narodów, hołdujący anachronicznym poglądom są w swej tępotcie zdrajcami Europy. Albowiem mamy przed sobą tylko dwie możliwości: Europa sfederalizowana, albo Europa satelicka. Europa "szachownica" małych i średnich mocarstw jest nierealnym mitem przeszłości. Trzeba postawić sprawę jasno:

Jeżeli problem Ziem Odzyskanych uniemożliwia nam prowadzenie polityki federacyjnej to trzeba wy badać możliwości usunięcia tej przeszkody. Gdyby o to zagadnienie miała się rozbić federacja Europy środkowo-wschodniej byłoby to — w przyszłości — Stalina za grobem zwycięstwo.

Musimy sobie zdać sprawę, że najsilniejszym argumentem przemawiającym za utrzymaniem Ziem Odzyskanych przy Polsce jest fakt, że obszar ten jest potrzebny przyszłej federacji krajów Europy środkowo-wschodniej. W poprzednich artykułach na temat federacji starałem się zobrazować proces zrastania się gospodarczego krajów środkowo-wschodniej Europy. W tym procesie scalania Ziemi Odzyskane odgrywają kapitalną i zasadniczą rolę. Cały Śląsk i obszar Ziem Odzyskanych stanowić muszą wschodnio-europejską replikę planu

Schumana, jeżeli federacja wschodnio-europejska ma być sukcesem.

Jeżeli zrezygnujemy z tego argumentu, obawiam się, że nie obronimy Ziem Odzyskanych. Trzeba bowiem uczciwie stwierdzić, że jeżeli dyskusja na temat tych ziem uczyć by miała z płaszczyzny zagadnień federacyjnych, ponad-państwowych i przybrać formę dwustronnego narodowego sporu — w takim wypadku argumenty, które mogliby na swą korzyść przytoczyć Niemcy nie są błahe. Natomiast, jeżeli nasza argumentacja pójdzie po linii federacyjnej — jeżeli wykażemy, że oderwanie od Polski Ziem Odzyskanych byłoby równoznaczne ze zniszczeniem już istniejącego zespolenia gospodarczego krajów Europy środkowo-wschodniej — co w przyszłości uzależniło by tę część Europy w całości od Niemiec — w takim wypadku nasze racje związane będą z problemem przebudowy Europy jako całości.

Zagadnienie Ziem Odzyskanych jest funkcjonalnie związane z naszą polityką federacyjną. W chwili obecnej musimy przewyciężyć kryzys, którego istotą jest problem niemiecki. Jest rzeczą absurdalną wyłączać Niemców z rozmów federacyjnych, choćby z tego względu, że jednym z celów federacji środkowo-wschodnio-europejskiej jest harmonijne unormowanie stosunków pomiędzy krajami, które wejdą w skład federacji, a obszarem niemieckim. Nie jest natomiast naszym celem budowanie "żelaznej kurtyny" wokół Niemiec.

Rozmowy z Niemcami należy podjąć natychmiast z następujących względów:

Uregulowanie tych spraw leży w naszym interesie, bo dopóki trwa sytuacja obecna Czesi, Węgrzy czy Rumuni boją się wiązać z nami. Każdy z tych narodów ma swój własny problem niemiecki i nie pragnie obciążać się dodatkowo problemem polsko-niemieckim, który kalibrem i rozmiarem góruje nad wszystkimi innymi.

Co należy Niemcom powiedzieć?

W rozmowach polsko-niemieckich winniśmy się oprzeć na tezie sformułowanej w imieniu "Kultury" przez Józefa Czap-skiego w czasie jego wystąpienia w Titania-Palace, w ub. r. w Berlinie. W myśl tej tezy reprezentacje polityczne narodów Europy środkowo-wschodniej winny już dziś podpisać wspólne zobowiązanie w którym by oświadczone, że terytorialne sprawy sporne rozwiązywane będą po utworzeniu federacji europejskiej i nie na podstawie ambicji historycznych poszczególnych narodów, ale według zasad sprawiedliwości i dobra całości europejskiej oraz gospodarczej równowagi między poszczególnymi członkami federacji.

Gdyby Niemcy odmówili rozmów na ten temat, gdyby mimo naszej woli znalezienia rozsądnego rozwiązania sprawy — odmówili podpisu pod tego rodzaju deklaracją — moglibyśmy ich, ale dopiero wówczas, oskarżyć, że swoimi planami rewizjonistycznymi uniemożliwiają przygotowanie zjednoczenia

Europy środkowo-wschodniej. Nasza pozycja wobec Amerykanów byłaby w takiej sytuacji zupełnie inna niż dziś.

Powinniśmy zmusić Bonn do jasnego postawienia sprawy.

Musimy powiedzieć Niemcom i Anglosasom, że Ziemie Odzyskane potrzebne są przyszłej federacji Europy środkowo-wschodniej, która pozbawiona tego obszaru, nie stanowiłaby gospodarzo zwartej i zdolnej do życia całości. Powinniśmy podkreślić, że nie rozpatrujemy tej sprawy z partykularnego punktu widzenia stosunków granicznych polsko-niemieckich albowiem przyszła Polska i przyszłe Niemcy nie będą suwerennymi państwami jak do roku 1939. Oba te państwa wejdą w skład federacyjnych związków przyszłej Europy.

Wprawdzie Bonn może stanąć na stanowisku, że sprawa Ziem Odzyskanych załatwiona będzie definitywnie w ramach układu pokojowego z Niemcami — to my jednak już dziś mamy prawo domagać się od Niemców uznania federacyjnej zasady za obowiązującą również i w odniesieniu do Europy środkowo-wschodniej, skoro zasada ta przyjęta została na Zachodzie.

Musimy powiedzieć Amerykanom, że Ziemie Odzyskane są warunkiem nieodzownym realizacji federacji Europy środkowo-wschodniej. Musimy im powiedzieć, że gdyby Zachód uległ naciskom Niemiec — choćby na razie na papierze — Amerykanie mogliby tego samego dnia odpisać na czystą stratę wydatki poniesione na Voice of America, Free Europe itp. Wówczas należało by również uznać za pewnik, że armia Rokossovskiego walczyć będzie z przekonaniem po tamtej stronie barykady przeciwko Niemcom.

Natomiast Niemcom musimy powiedzieć, że jest rzeczą całkowicie absurdalną stosowanie dwóch miar dla Europy. Zasad federacyjnych na Zachodzie — i polityki "nowego ładu" (Drang nach Osten?) na Wschodzie Europy. Polacy, Czesi Węgrzy czy Rumuni pragną w równej mierze co Francuzi pokojowej współpracy z Niemcami w ramach sfederalizowanej Europy. Ale przeciwstawiają się wszelkim próbom odbudowy nacjonalistycznych, zaborczych Niemiec. Hegemonia niemiecka w Europie prowadziła by nieuchronnie do trzeciej wojny światowej. Jeżeli trzecia wojna światowa może leżeć w czyimkolwiek interesie, to już w żadnym wypadku nie w interesie Niemiec. Po trzeciej wojnie światowej Niemcy w ogóle mogłyby przestać być zagadnieniem...

Naprawdę jest coś makabrycznego w tym bezdusznym, bezmyślnym, marionetkowym tańcu polityk emigracyjnych krajów Europy środkowo-wschodniej. Gdybyśmy przez ubiegłe 12 lat, zamiast dąć w puzon mocarstwowości, stworzyli wspólną reprezentację polityczną środkowo-wschodnio-europejską naszą argumentacja tak z Niemcami jak i z Anglosasami miałaby dziś inną wagę. Ale my z nikim nie rozmawiamy, my trwamy. Natomiast Niemcy rozmawiają i starają się (nie bez suk-

cesów!) wyizolować nas i odciąć od przyszłych sojuszników i partnerów. Przegrywamy z Niemcami po raz drugi!

Nie jest bynajmniej za późno na podjęcie polskiej kontr-ofensywy. Ale trzeba zacząć od rewizji własnych poglądów politycznych, od odrzucenia anachronizmów — od sformułowania współczesnej polskiej koncepcji politycznej.

Pseudo-mocarstwowość i pseudo-suwerenność stanowią koncepcję zbankrutowaną, która wiedzie do osamotnienia i klęski.

Powinniśmy sobie w pełni uświadomić, że w obecnej sytuacji nie chodzi tylko o Ziemie Odzyskane. W grze jest rzecz niepomernie ważniejsza! *Chodzi po prostu o przyszłą rolę i znaczenie Warszawy w Europie środkowo-wschodniej.*

**Juliusz Mieroszewski.**





## «Rząd światowy» w świetle nauk politycznych

Przyjąłem zaproszenie wypowiedzenia się na powyższy temat, oceniając zaszczyt jaki mnie spotkał, lecz zdając sobie również sprawę z pewnego ryzyka, związanego z przyjęciem tej propozycji. W związku z tym tematem żywię dwie obawy. Po pierwsze, nasuwa się wątpliwość czy obiektywny i, z racji swego akademickiego charakteru, "niezainteresowany" specjalista może mówić o "rządzie światowym" tak, jak każdy inny prywatny człowiek. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że badacz nauk polityczno-społecznych jest przecież również i prywatnym obywatelem, zainteresowanym w praktycznych osiągnięciach swojej naukowej specjalności. Socjolog, gdy studiuje problem opieki nad starcami wie, że i on sam będzie kiedyś stary. Ekonomista, który bada cykle koniunktur gospodarczych wie, że jak przyjdzie kryzys i depresja i on również narażony będzie na straty. Podobnie i ja mówiąc o "rządzie światowym" zdaję sobie sprawę, że temat ten dotyczy mnie bezpośrednio, że jestem nim osobiście zainteresowany i dlatego nie mogę zagwarantować czy mówić będę wyłącznie jako naukowiec.

Gdy byłem młodym studentem kładziono nam do głowy, że zadaniem nauk politycznych — podobnie jak każdej dyscypliny naukowej — jest opisywanie a nie wartościowanie. Uczono mnie, że nauka jest moralnie "antyseptyczna" i nie jest jej rolą ferowanie wyroków. Myślę jednak, że w ostatnich latach pogląd o moralnej obojętności nauki wielu z nas poddało rewizji. Osobiście muszę stwierdzić, że zło i dobro nie wietrzeją ze spraw ludzkich w momencie, gdy sprawy te stają się przedmiotem naukowego badania i analizy. Również i ja nie jestem naukowcem tylko w mojej pracowni a człowiekiem podległym pasjom i pragnieniom dopiero wówczas, gdy włożę kapelusz i wyjdę na ulicę. Jestem zawsze człowiekiem i badaczem zarówno w mojej pracowni jak i poza nią.

Drugą wątpliwość, która nasunęła mi się z tematem tego studium — można by ująć w formę pytania: czy specjalista nauk politycznych może rozpatrywać instytucję, która de facto nie istnieje? Badacz zjawisk polityczno-ustrojowych może mówić o angielskim parlamentarzmie, o Międzynarodowej

Unii Pocztowej, czy o Organizacji Narodów Zjednoczonych, albowiem instytucje te istnieją i można je opisać. Lecz "rząd światowy" istnieje tylko w ludzkiej wyobraźni. Jakiż więc cel ma poświęcać badaczowi w rozpatrywaniu instytucji, która istnieje tylko w sferze fantazji?

Po pierwsze muszę stwierdzić, że wielu wybitnych badaczy nauk politycznych studiowało utopie. Może więc "rząd światowy" jest jedną z utopii do których zaliczamy i Rzeczpospolitą Platona? Lecz w tym miejscu budzi się refleksja, że idea "rządu światowego" nie została wymyślona przez jednego filozofa czy fantastycznego pisarza — lecz propagowana jest przez wielu ludzi, którzy konkretnie pracują nad jej realizacją. Widzimy więc, że idea ta nie może być identyfikowana z jakimś jednym Platonem czy jednym Samuelem Butlerem.

Ale przede wszystkim trzeba powiedzieć jedno: to nie tylko jest idea lecz również plan — plan nad którym od dłuższego czasu pracuje tysiące ludzi.

O "rządzie światowym" pisał już Kant. Dziś setki Amerykanów i Europejczyków ogłosiło na ten temat mnóstwo studiów i prac. Ukazuje się sześć wielkich periodyków poświęconych wyłącznie tej sprawie. Istnieją liczne narodowe i międzynarodowe stowarzyszenia, których celem jest propagowanie idei "rządu światowego".

Ludzie, którzy pracują nad realizacją tej idei nie są utopistami. Przeciwnie, to są realiści, ludzie praktyczni, pochodzący z najrozmaitszych warstw i zawodów, którzy sądzą, że ich plan musi być urzeczywistniony.

Jak widzimy "rząd światowy" nie jest utopią lecz konkretnym planem — "propozycją pod adresem Historii" — jak pięknie się wyraził Norman Cousins.

Warto również przypomnieć, że byliśmy już blisko realizacji pewnego typu "rządu światowego". Plan międzynarodowej kontroli atomowej Barucha przewidywał utworzenie światowej, międzynarodowej instytucji, której przedstawiciele byłoby uprawnieni do kontrolowania zakładów atomowych we wszystkich krajach. Ta ponad-państwowa światowa instytucja byłaby również władna nakładać kary na poszczególne państwa, które dopuściłyby się przekroczeń światowego prawa atomowego. Taka instytucja, której powołanie było swego czasu jednym z celów narodowej polityki amerykańskiej — byłaby w swej istocie pewnego rodzaju "rządem światowym".

Jak widzimy, byłoby niezgodne z rzeczywistością określać plan "rządu światowego" mianem utopii. Idea ta jest raczej politycznym wynalazkiem w stadium realizacji. Jest to plan konstrukcyjny politycznej instytucji, która rozwiązywałaby wiele zasadniczych zagadnień. Tysiące ludzi uświadamia sobie w pełni, że problemy te w jakiś sposób muszą być rozwiązane. Zwolennicy tego planu sądzą, że "rząd światowy" jest najpełniejszym i najlepszym rozwiązaniem tych spraw.

Czyż badacz nauk polityczno-społecznych nie mógł się po-

święcić studium zagadnienia sądownictwa dla nieletnich w okresie, kiedy sądy dla nieletnich istniały tylko w wyobraźni sędziego Lindsay'a i jego zwolenników? Mówimy, że zadaniem nauk polityczno-społecznych jest opisywanie. Można opisywać i nie przepowiadać. Badacz naukowy może opisywać usiłowania stworzenia "rządu światowego" choć nie jest powołany do przepowiadania czy instytucja tego typu zostanie kiedyś urzeczywistniona czy nie. Albowiem zadaniem badacza polityczno-społecznego jest opisywanie nie tylko tego co ludzie zorganizowali lecz również i tego co ludzie usiłują zorganizować. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, że dążenia i usiłowania stanowią również fragment działalności i rzeczywistości.

Pod tym kątem widzenia naukowiec może rozpatrywać idee "rządu światowego". Plan ten stanowi bowiem upostaciowanie ludzkich pragnień i dążeń. Jest dokumentem epoki — jej nadziei i obaw. Poza tym "rząd światowy" jest instytucją w okresie powstawania, w okresie realizacji — i proces ten jest faktem niezależnie od tego czy program ów zostanie kiedyś w pełni urzeczywistniony czy nie.

Idea "rządu światowego" jest również ruchem społecznym. Tysiące ludzi organizują się i zrzeszają w tym celu, aby ideę tę urzeczywistnić. Mimo, że ludzie ci stanowią znikomą garstkę w porównaniu z cyfrą ludności globu — są świadomi, że już nieraz w Historii garść ludzi wstrząsnęła światem. Zwolennicy idei rządu światowego wierzą, że urzeczywistnienie ich programu przyniosło by i pokój i stabilizację zbyt często wstrząsanemu światu.

Idea "rządu światowego" jest czymś więcej niż projektem pewnego typu instytucji międzynarodowej. Program ten jest ruchem zmierzającym do polityczno-społecznej przebudowy świata. I w tym sensie jest to ruch rewolucyjny. Lecz rewolucję jaką ruch ten propaguje należało by określić mianem rewolucji instytucjonalnej.

Godnym podkreślenia jest fakt, że działaczami ruchu są trzeźwi i praktyczni ludzie. Ruch ten nie ma nic wspólnego z jakimś efemerycznym gestem oświeconej "elity", która pragnęłaby uratować świat w przededniu katastrofy. Przeciwnie, to jest ruch czysto praktyczny. Jego zwolennicy działają różnymi drogami. Wpływają na członków Kongresu, czynni są w Waszyngtonie, popierają Organizację Narodów Zjednoczonych, która w ich zrozumieniu winna się kiedyś przeistoczyć w federalny rząd światowy. Zwolennicy "rządu światowego" działają z wielką energią i podziwu godnym uporem.

Istnieją właściwie tylko dwa argumenty przeciwko "rządowi światowemu". Pierwszy głosi, że realizacja tego planu jest niemożliwa. Drugi — że "rząd światowy" jest niepożądany.

Krytycy operujący pierwszym argumentem wskazują na nacjonalizm, który się potęguje w miarę wzrostu ludności globu. Inni stwierdzają, że świat dzisiejszy podzielony jest na dwa

obozy — sowiecki i zachodni i w obliczu tego faktu idea "rządu światowego" — ich zdaniem — sprowadza się do absurdu.

Ci, którzy utrzymują, że "rząd światowy" jest niepożądany — sądzą, że powołanie tego rodzaju instytucji wiodło by do światowej tyranii i powszechnego totalizmu.

Zwolennicy programu zdają sobie w pełni sprawę z wagi tych zarzutów i wielu z nich przyznaje, że inicjatywa ich kryje w sobie pewne niebezpieczeństwa, zwłaszcza ryzyko totalizmu. A jednak ludzie ci, mimo potężnych kontr-argumentów, zdecydowanie trwają przy swojej idei.

Krytykom wysuwającym argumenty nacjonalistyczne zwolennicy idei "rządu światowego" odpowiadają, że na pytania czy narody globu byłyby gotowe zrezygnować z części suwerennych uprawnień wzajemnie za pokój i dobrobyt — odpowiedzieć można by dopiero wówczas, gdyby narodom świata uczyniono taką propozycję. Do tej pory nikt takiej propozycji nie uczynił a mimo to już dziś są mężowie stanu, którzy imieniem swych narodów oświadczyli gotowość zrezygnowania z części suwerenności na rzecz "rządu światowego" gdyby takowy powstał.

Krytykom, którzy wyrażają obawy, że instytucja tego typu prowadziłaby do tyranii i totalitaryzmu — zwolennicy "rządu światowego" odpowiadają, iż niebezpieczeństwo tyranii związane jest z formą realizacji a nie z samą ideą. Jeżeli "rząd światowy" powstanie na skutek podboju, jeżeli narzucony zostanie siłą — wówczas niebezpieczeństwo tyranii i totalizmu będzie istotnie wielkie. Nie wolno dopuścić do tego niebezpieczeństwa i należy powołać "rząd światowy" drogą konstytucjonalną i demokratyczną. Tak powołany "rząd światowy" opierałby się na konstytucji i na powszechnej karcie praw Człowieka i Obywatela, a kontrolę nad nim sprawowałiby reprezentanci wybierani przez narody świata.

Wydaje mi się, że argumenty zwolenników "rządu światowego" są logiczne i dobrze sformułowane. Mimo to sądzą, że słuszność w nich zawarta nie tłumaczy w pełni dynamizmu tego ruchu.

Co daje siłę przekonaniom i wolę czynu tym ludziom w obliczu piętrzących się przed nimi trudności? Co powoduje, że ci ludzie realni i trzeźwi — usiłują stworzyć instytucję, którą nie liczą tylko uważając za możliwą do urzeczywistnienia, a wielu uważa za niepożądaną i niebezpieczną?

Istnieją dwa zespoły przyczyn, które stanowią źródło dynamizmu i witalności idei "rządu światowego".

Pierwszy zespół obejmuje przyczyny najbliższe, niejako bezpośrednio, z grozą straszliwej wojny światowej na pierwszym planie. To widmo tchnęło w koncepcję prawa, które obowiązywało by wszystkich ludzi — nową siłą. Gdy rośnie poczucie zagrożenia potężnie inicjatywa wynalazcza. Człowiek współczesny znalazł się w centrum groźnego kryzysu, kryzysu spowodowanego działalnością ludzką. Z drugiej jednak strony doświadczenia naszej cywilizacji wpoły w ludzi przekonanie —

często nie w pełni uświadomione — że do pewnego stopnia sami ludzie kierują losami świata. Stąd bierze swe źródło przekonanie, że przebudową instytucji ludzkich można uchronić świat przed katastrofą powszechną wojny.

To byłby pierwszy, niejako najbliższy zespół przyczyn z których czerpie swą żywotność idea "rządu światowego".

Drugi zespół przyczynowy wiąże się z pewnymi ogólnymi liniami rozwoju historycznego. Mam przede wszystkim na myśli takie linie rozwojowe. Pierwsza wiąże się z rozwojem wspólnoty światowej — druga z rozwojem poczucia wszechludzkiej odpowiedzialności.

Przez wspólnotę\*) światową rozumiem całość stosunków międzyludzkich. Na pytanie czy istnieje taka wspólnota trzeba by odpowiedzieć serią dalszych pytań. A więc czy ludzie zamieszkujący ten glob rozumieją się nawzajem? Czy w razie powszechnej katastrofy byłiby zdolni — mimo lokalnych tarć i konfliktów — do światowej solidarności w imię celów ogólnoludzkich?

Oczywiście, że odpowiedź na te pytania musi wypaść przecząco. Do tej pory nie istnieje poczucie wspólnoty, które obejmowało by całą ludzkość. Z drugiej jednak strony trzeba obiektywnie stwierdzić, że dziś jest tego poczucia wspólnoty niepomniernie więcej niż było dawniej. Społeczność\*\*) światowa jest nieomal faktem dokonany. W każdym dzienniku znajdziemy dziesiątki wiadomości, które uwypuklają gospodarczą współzależność jednych narodów od drugich. Lecz i wspólnota światowa — choć nie zawsze w pełni jesteśmy tego świadomi — bliższa jest dziś rzeczywistości niż kiedykolwiek przedtem.

Jaki istnieje związek pomiędzy rozwojem poczucia wspólnoty światowej a ideą federalnego "rządu światowego"?

Zwolennicy "rządu światowego" powiadają, że istnieje już dostatecznie silne poczucie wspólnoty światowej, by oprócz na nim zrab "rządu światowego". Inni wyrażają pogląd przeciwny i utrzymują, że poczucie wspólnoty — jeżeli w ogóle istnieje — jest tak wątłe, że nie może stanowić fundamentu dla trwałej budowli.

Kiedy poczucie wspólnoty światowej w pełni się upowszechni? Proces ewolucyjny w tym kierunku został gwałtownie przerwany na skutek przepaści jaka zarysowała się pomiędzy Sowietami a tzw. Zachodem. Poza tym istnieje jeszcze trzeci świat, który nie będąc ani Zachodem ani Sowietami — nie uważa by Zachód od Sowietów oddzielała przepaść. Wielu wybitnych ludzi na Zachodzie jak np. James Burnham — sądzą,

\*) i \*\*) — Autor używa w oryginale dwóch trudnych do oddania po polsku określeń: "Society" = społeczeństwo, społeczność i "Community" = wspólnota. Różnice między tymi dwoma określeniami oddają dokładnie niemieckie słowa "Gesellschaft" w przeciwstawieniu do "Gemeinschaft". Przyp. Red.

że sprzeczności pomiędzy Sowietami a Zachodem są nie do wyrównania i nie do zabrukowania.

Mamy więc przed sobą dwa poglądy: Według pierwszego z nich najpierw powstać musi realna światowa wspólnota i dopiero w konsekwencji "rząd światowy". Wedle drugiego poglądu należy już dziś powołać federalny "rząd światowy", mimo braku pełnego i powszechnego poczucia wspólnoty światowej.

Jeżeli badacz nauk społeczno-politycznych ma wypowiedzieć opinie w odniesieniu do wyżej zacytowanych poglądów — sądzę, że winien wyjść z ogólnego rozpoznania stosunku pomiędzy instytucją a zasadą (ideą), strukturą a koncepcją. Oba te elementy — jak uczy obserwacja — działają na siebie współtwórczo. Jeżeli raz powzięta decyzja w trudnym zagadnieniu staje się prawem oficjalnie obowiązującym, opinia społeczna krystalizuje się po linii wytyczonej danym aktem ustawodawczym. Gdy ludzie zbiorowo podejmują jakąś decyzję, wówczas nie tylko wyrażają i uzgadniają swoje poglądy, lecz formują rozwiązanie, nadają kształt faktom.

W sumie trzeba powiedzieć, że oba cytowane poglądy są częściowo słuszne. Ruch w kierunku zjednoczenia świata jest jeden. Służą temu ruchowi zarówno ci, którzy dążą do upowszechnienia i pogłębienia poczucia wszechludzkiej wspólnoty — jak i ci, którzy sądzą, że osiągną zjednoczenie świata na drodze powołania międzynarodowych instytucji będących kuźniami poczucia ludzkiej wspólnoty i solidarności.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na inną wielką linię rozwojową Historii z której idea "rządu światowego" również czerpie swą siłę.

A. W. Whitehead napisał piękne studium pt. "Przygody Idei" wykazując, że od czasów greckich idee tworzą fakty i poruszają ziemie. Nie jest rzeczą możliwą wytłumaczyć całości procesu historycznego łańcuchem czysto materialnych przyczyn. Nikt nie kwestionuje wpływu techniki na sposób życia człowieka, a nawet na jego mentalność. Lecz idee, które wywarły olbrzymi wpływ na bieg Historii powstały w okresach, kiedy nie istniała jeszcze problematyka technicznej cywilizacji.

Jedną z takich wielkich idei historycznych, której Whitehead poświęcił znaczną część swego studium — jest koncepcja godności i wartości człowieka jako indywiduum. Rozwój idei wolności i praw Człowieka na przestrzeni historii jest czymś zdumiewającym. Wystarczy przypomnieć, że w starożytności niewolnictwo było fundamentem każdej teorii politycznej — dziś fundamentem wszystkich teorii politycznych jest wolność.

Należy podkreślić z naciskiem jako rzecz zasadniczą, że niewolnictwo nie zostało obalone dlatego, że w danym momencie warunki na to pozwalały. Przeciwnie, niewolnictwo zostało obalone wbrew warunkom pod naporem idei historycznej, której natężenie i upowszechnienie czyniło z niewolnictwa pozycję nie do utrzymania.

Koncepcja wolności i godności Człowieka jest ideą, której prężność i dynamika stale wzrasta. Mimo, że w epoce naszej istnieją tortury, terror, obozy niewolniczej pracy — idea ta świeci mocniejszym blaskiem niż kiedykolwiek przedtem.

Idea ta poprzez rewolucję spowodowała liczne reformy ustawodawcze, poszerzyła sferę wolności jednostki, dała narodom lepsze rządy. Lecz misja jej nie została jeszcze wypełniona. Niewolnictwo winno być zniesione i zostało zniesione. Lecz prawa Człowieka i Obywatela winny być przestrzegane i szanowane wszędzie, na całym świecie. Ludzie zamieszkujący ten glob winni wybrać swych reprezentantów i powołać wspólny rząd, który by im służył. Każdej chwili tłące się niezadowolenie narodów może przerodzić się w płomień radykalnych reform pod naporem twórczych idei historycznych.

Napór idei praw Człowieka stale wzrasta. I to jest faktem o wielkiej doniosłości. Ów napór przejawia się we wszystkim — nawet we frazeologii politycznej reprezentantów świata sowieckiego, którzy również powołują się ustawicznie na wolność i prawa Człowieka oddając w ten sposób hołd idei, która walczy przeciwko nim. Dynamizmu tej idei nikt nie zatrzyma ani nikt nie zahamuje.

Idee, które są drożdżami Historii poprzez tysiąclecia — to są przede wszystkim idee ogólnoludzkie, idee człowiecze. Koncepcja, że każdy człowiek z racji swego człowieczeństwa winien być szanowany i wolny — zrodziła się w małym państwie, gdzie większość stanowili niewolnicy i obywatele drugiej klasy. A jednak dynamizm tej idei był tak wielki, że dziś żyjemy w świecie w którym nie ma niewolników. Należy przypuszczać, że pod naporem tej samej idei przyjdzie dzień, że na świecie nie będzie również i obywateli drugiej klasy.

W naukach społeczno-politycznych nie znajdujemy żadnego wskazania, które uprawniało by do wniosku, że rozwój form ustrojowych zatrzyma się na państwie narodowym. Przeciwnie — wszelki materiał porównawczy i historyczny jakim dysponujemy — wskazuje na to, że ogólnoludzka społeczność jest ostatecznym podmiotem i celem lojalności człowieka. Proces historycznego rozwoju — choć powoli i nie po prostej linii w tym właśnie kierunku.

Ukrytym źródłem siły ruchu "rządu światowego" jest fakt, że koncepcja ta ogarnia wielkie i twórcze idee historyczne, których dynamika przekształca dzieje ludzkości.

Jedną z idei, która dziś przybierać zaczyna pewne konkretne formy jest koncepcja ogólnoludzkiej odpowiedzialności. Willkie, powróciwszy ze swej badawczej podróży naokoło świata — zauważył, że obecnie coraz większy procent ludzi zaczyna zdawać sobie sprawę z faktu, iż pokój i dobrobyt muszą być planowane i organizowane wszędzie równocześnie. Wyrazem tej samej idei są koncepcje James Warburga czy Stringfellow Barr'a, zmierzające do podjęcia w skali światowej planów gospodarczej rozbudowy nie w oparciu o Stany Zjednoczone lecz

w oparciu o Organizację Narodów Zjednoczonych lub inną, powołaną w tym celu międzynarodową instytucję. Koncepcja powszechnej odpowiedzialności wypływa z faktu, że pokój i dobrobyt są niepodzielne. Jedni muszą interesować się stopą życiową i dobrobytem drugich — w swoim własnym interesie.

W Stanach Zjednoczonych wielu wyraża obawę, że urzeczywistnienie tej idei w formie międzynarodowej instytucji gospodarczo-politycznej przyniosło by w rezultacie totalizm i tyranie.

Ci, co wyrażają te obawy nie biorą pod uwagę jeszcze większego ryzyka, związanego z obecną naszą sytuacją. Jeżeli bowiem nie podejmiemy na czas odpowiedniej inicjatywy — grozi nam wojna, anarchia i tyrania, która idzie w ślad za podbojem.

Jedno wydaje mi się całkowicie pewne: narody świata nie pragną zachowania "status quo". Pragnienie zmiany jest powszechne. Wielkie idee historyczne, których napór rośnie — domagają się zmiany "status quo". W tym tkwi siła i vitalność rewolucyjnego ruchu "rządu światowego".

Wielu krytyków tego ruchu sądzi, że opiera się on na pobożnych życzeniach, a nie na faktach. Fakty natomiast — ich zdaniem — wskazują na to, że zbliżamy się do okresu światowego imperium, które powstanie na drodze podboju.

Nie jest rolą nauki cokolwiek przepowiadać. Być może wojna wybuchnie jeszcze w tym roku — być może nie będzie jej w ogóle. Imperium światowe może powstać bez wojny — natomiast wojna przyniesie może całkowity upadek cywilizacji. Możliwości i rozwiązania są liczne i rozmaite.

Faktem jest, że zwolennicy "rządu światowego" mają przeciwko sobie wszystkie imperializmy i wszystkie zwalczające się nacjonalizmy. Za ich ruchem nie stoi w tej chwili nikt i nic — z wyjątkiem wielkich potężnych idei historycznych. To jest źródło z którego ruch czerpie swą moc. A istotą cywilizacji — jeżeli rozpatrywać ją w historycznej perspektywie — jest zwycięstwo idei nad siłą, przekonania nad przemocą.

R. REDFIELD.

## „ŚWIATŁO”

Kwartalnik poświęcony sprawom społecznym, gospodarczym i politycznym życia polskiego w Kraju i na emigracji pod dyrekcją Zygmunta Zaremby.

Adres: 5, rue d'Alsace — PARIS (10°)

Cena zeszytu — 50 frs    Rocznice — 200 frs.

## Teatr w Kraju

"Sztuka i nauka o sztuce służy partii, klasie robotniczej i narodowi w jego walce o nowego, socjalistycznego człowieka. Sztuka nie tylko wychowuje człowieka, ona kształtuje w nim obraz świata. W przeciwieństwie do nauki, sztuka — działając na gruncie obrazowego przeżycia — jest narzędziem oddziaływania o niespotykanym dotąd zasięgu".

Słowa te Włodzimierz Sokorski, wiceminister kultury i sztuki i główny eksponent partii komunistycznej dla spraw kultury, wygłosił na otwarciu pierwszej ogólnopolskiej konferencji w sprawie badań nad sztuką. Od przełomowego w polskiej rzeczywistości powojennej roku 1949 zadanie kształtowania sztuki i jej upowszechnienia stało się jednym z głównych celów kompartii i ministerstwa kultury i sztuki. Stojąc na stanowisku, że "artysta jest inżynierem dusz ludzkich" (słowa Lenina) i że nie ma i nie może być twórczości apolitycznej — ministerstwo zaczęło dyktować artystom polskim, jakiego rodzaju twórczość potrzebna jest w otaczającej ich rzeczywistości.

Wszystkie przemiany w życiu teatralnym z żelazną konsekwencją prowadziły do tego, że teatr stał się tylko trybuną, z której padać będą słowa kształtujące pozytywny obraz nowego świata w duszy nowego i starego widza. Pilni czytelnicy czasopism krajowych przypominają sobie liczne artykuły prasy marksistowskiej, które sygnalizowały przekształcenie się widowni mieszczańsko-inteligentkiej na inteligentko-robotniczą, rozszerzaną konsekwentnie i z uporem na środowisko wiejskie. Stąd też ataki prasy na teatr, który, zdaniem aktywistów partyjnych, w latach 1945-49 nie podążał dość pilnie za potrzebami nowego widza, ani za tempem przemian w kraju. Uleganie mieszczańskiemu smakowi i sui generis wsteczniectwo zarzucano nie tylko repertuarowi, ale także realizacji scenicznej poszczególnych sztuk. Padały słowa o bezkrytycznym stosunku do Zachodu, nierzadko spotykało się ciężki zarzut "emigracji wewnętrznej".

Kiedy Sokorski otwierał na Wawelu pierwszą ogólnopolską konferencję badań nad sztuką, był grudzień 1950 r. i dwa lata przeszły już od chwili, gdy eksponenci partii zaczęli nadawać teatrowi polskiemu kształt zamierzony przez władze. Mógł

więc Sokorski powiedzieć o wrogach socrealizmu, że rzadko już występują z otwartą przyłbicą. "Zbyt potężne — mówił — są przemiany w naszym kraju, zbyt silna jest partia. Nie zdejmując ani przez chwilę z porządku dnia walki o treści partyjno-ideowe naszej sztuki, podjąć możemy już hasło walki o jakość, o wielkość nie tylko ideową, ale i formalną sztuki".

Walkę teatru o pozytywny stosunek do nowej rzeczywistości kraju i walkę o realizm socjalistyczny, jako jedyną dopuszczalną metodę w sztuce, uznał Sokorski za wygraną. Na sezon teatralny 1951 trzeba więc spojrzeć jako na wynik konsekwentnej akcji kształtowania i urabiania teatru przez aktywistów partyjnych. Zarówno w linii repertuarowej teatru, jak i w pracy "odczytywania" zawartości ideowej sztuk przez reżysera pod czujnym okiem tzw. dramaturga, w tzw. "realistycznym warsztacie aktora" i w oceniających ich pracę głosach krytyki mamy obraz dążeń i pracy ministerstwa kultury i sztuki — poprzez Generalną Dyрекcję Teatrów, Oper i Filharmonii i przy wybitnym współudziale Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, które jest równie polityczne, jak apolityczny był dawny ZASP. Za nimi stoi partia komunistyczna i doświadczenia ZSSR, na które wszyscy aktywiści ustawicznie się powołują.

Repertuar teatralny związany jest z programem politycznym partii. Zadaniem jego jest odtwarzać życie współczesne i zmiany w nim zachodzące oraz "przewartościowany" dorobek dziejów ludzkości, za których kontynuację i rozwinięcie uważa się dzisiejszą rzeczywistość w kraju.

W porównaniu do lat 1949 i 1950 w sezonie 1951 grano dużo sztuk współczesnych autorów polskich\*). W okresie trzech pierwszych trzech kwartałów tego roku (brak jeszcze szczegółowych danych za kwartał ostatni), teatry polskie dały 64 inscenizacje polskich sztuk współczesnych na 43 inscenizacje polskich sztuk klasycznych i retrospektywnych. Ta proporcja wiąże się z Festiwałem polskich sztuk współczesnych, do którego przystąpiło 38 teatrów z 58 przedstawieniami i którego rozstrzygnięcie nastąpiło 18 lipca na uroczystości w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie. Większość sztuk festiwalowych napłynęła z konkursu na sztukę współczesną, rozpisanego w 1950 r. przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Do wystawienia w teatrach zakwalifikowano około 40% nadesłanego materiału, co pozwoliło organizatorom konkursu stwierdzić triumfalnie, że "dramaturgia polska potrafiła zerwać z tradycjami mieszczańskiego dramatu i podjąć śmiało aktualną tematykę walki o pokój i wykonanie planu sześcioletniego".

Prowincjalne przedstawienia sztuk festiwalowych i finał na

\*) Przypominam czytelnikowi, że od roku 1950 zlikwidowano sezonowość w teatrach krajowych. Skasowano sezonowe kontrakty z dyrekcjami i aktorami, a sezon teatralny pokrywa się z rokiem kalendarzowym.

scenach warszawskich pokazały istotnie inną rzeczywistość niż sztuki teatralne "dwudziestolecia": hale fabryczne, fragmenty budowy, zakłady pracy i wiejskie chaty czy świetlice. Na ich tło autorzy rzucili przodowników pracy, racjonalizatorów, robotników i chłopów, ich prace i konflikty.

Recenzenci teatralni w Kraju znają dobrze swój fach, umiają pisać o przedstawieniu jasno i wyraźnie, nie kadzą aktorom ani reżyserowi nawet stojącemu na najwyższym świeczniku, a wszelkie błędy natury fachowej i tym bardziej "ideowej" wychwytyją bardzo gorliwie. Czytając ich recenzje oraz sztuki festiwalowe, wydane w większości w formie książkowej, uważny obserwator wysnuć może kilka ciekawych wniosków.

Bezwarunkowo interesująca jest dla ludzi przebywających od lat poza Krajem nowa tematyka sztuk festiwalowych w pewnym zakresie obrazująca dzisiejsze życie w Polsce. A jednak przy całej egzotyce tematów uderza zdumiewająca jednorodność tych sztuk: atmosfera poprawności, konformizmu — nawet sztampy. "Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego mówi o odbudowie miasta i przemianach wewnętrznych jego mieszkańców, "Awans" Wandy Żółkiewskiej pokazuje mechanizm awansu społecznego, "Sprawa Anny Kosterskiej" Lubbeckiego wprowadza za kulisy pewnego sabotażu w fabryce, "Tysiąc walecznych" Rojewskiego pokazuje zapoczątkowanie nowej metody w budownictwie, "Zwycięstwo" Warmińskiego (jedna z najlepszych literacko sztuk festiwalu) to obraz walki o założenie spółdzielni wiejskiej. Kośćcem każdej sztuki jest zawsze walka pracowników zakładu lub uświadomionych partyjnie jednostek — z czarnym charakterem (odsunięty, a zazdrosny inteligent, konserwatywny fachowiec, "kułak" wiejski, agent obcego wywiadu) o wykonanie planu związanego z budownictwem socjalistycznym. Dywersja w zakładach pracy czy też przygotowana przez "kułaków" zbrodnia nie udaje się, "uczciwi ludzie" ją demaskują w ostatniej chwili. Czarny charakter zostaje ukarany, a obalamuceni odbywają samokrytykę przed bohaterem pozytywnym, którym jest z reguły sekretarz partii. Następuje happy end — sukces pomysłu racjonalizatorskiego, sztandar przechodni dla załogi, utworzenie "spółdzielni III stopnia" (kołchozu). Czarne i białe plamy są zwykle tak nieudolnie nachlapane, postacie pozytywne wyszły w większości tak sztucznie i papierowo, że arcyrabini partyjni (Jadwiga Siekierska i Sokorski) czuli się zobowiązani do wygłoszenia dłuższych kazań na temat, jak powinien wyglądać bohater pozytywny w sztuce.

Wśród sztuk festiwalowych obok "Zwycięstwa" wybijają się zreszczeniem zbudowana sztuka Tarna "Zwykła sprawa", która w sposób zjadliwy fałszuje obraz rzeczywistości amerykańskiej według przepisów obecnej nagonki na Stany Zjednoczone. Sztuka o Warszawie — "Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego, przepojona jest jędrnym warszawskim humorem. Najlepszej ze sztuk festiwalowych, Jarosława Iwaszkiewicza "W Błędomie-

rzu", krytyka marksistowska zarzuca mnóstwo błędów natury ideowej. Recenzenci krajowi wytknęli sztukom festiwalowym wiele wad: niewolniczą zależność od "źle pojętego zamówienia społecznego", melodramatyzm, tworzenie szarych, nieprzekonywujących postaci, które deklamują tzw. święte prawdy zamiast okazywać swą zwykłą prawdę ludzką oraz brak pasji politycznej w odtwarzaniu przemian społecznych w kraju. Dla czytelnika zachodniego nieznosna jest deklaratorywność i aprioryczność tych sztuk oraz wyraźnie naciągana treść — dla przykładu: w sztuce Rojewskiego "Tysiąc walecznych" zakochana para rozmawia w czułym tête à tête tylko o cemencie, betonie i systemach melioracyjnych w budownictwie. Nie odmawiając zdolności autorom wyżej wymienionych sztuk muszę stwierdzić, że ich lektura pozostawia bardzo przykre wrażenie fałszywej, zakłamanej publicystyki, zwłaszcza tam, gdzie autor pokazuje tzw. "Zgnięty Zachód" ("Zwykła sprawa", "Jacht Paradise").

Czynnikami rządzące teatrem w Kraju podkreślają przy każdej sposobności, że każda sztuka, która dziś ukazuje się na scenie, musi pomagać w przeoraniu psychiki ludzkiej i w przebudowie życia współczesnego. Stąd wielkie wymagania, które stawia się każdemu inscenizatorowi i reżyserowi sztuki, a także kierownikom literackim teatrów, do których obowiązków należy uzgadnianie z reżyserem poglądów na ideologię sztuki. Prasa krajowa podkreślała zgodnie, że w festiwalu sztuk współczesnych reżyserzy i zespoły aktorskie czyniły wszystko, by wyrównać słabości zarówno artystyczne jak i ideologiczne sztuk. Myślę, że ciekawe będzie omówienie dwóch różnych inscenizacji sztuki Iwaszkiewicza "W Błędmierzu", charakteryzujące dwa różne sposoby podejścia do autora i jego utworu.

Sztukę tę krytyk J. A. Szczepański określił jako zapóźnioną ideologicznie i obciążoną "starowarsztatowością"; nie podobają mu się ani psychologizmy sztuki, ani frapujące podobieństwo z "Podporami społeczeństwa" Ibsena. Utwór Iwaszkiewicza wystawił teatr wrocławski w reżyserii Marii Wiercińskiej i krakowski "Stary Teatr" w reżyserii Ireny Babel przy współpracy dra Zygmunta Leśnodorskiego.

Maria Wiercińska poszła skrupulatnie za tekstem utworu, wypuklając psychologizm sztuki, czyli — zdaniem krytyków — "poszła na lep uwodzieńskich sztuczek autora". Przedstawienie wrocławskie miało nastrój zamierzony przez Iwaszkiewicza — dekoracja ciemna, przygasła, efekty związane ze zmierzchem, półmrokiem i ciemnością. Gra aktorów, bardzo zespołowa i konsekwentna, oddawała nastrój fatalizmu, w którym widz czuł, że za dawne grzechy, za przekroczenia ludzkich i boskich norm etycznych człowiek zawsze zapłacić musi. Scena kluczowa utworu, w której Konrad Siwicki wobec wszystkich wyznaje dawne winy i ustępuje dobrowolnie z zajmowanego stanowiska, została wygrana silnie, z akcentami prostymi i ludzkimi, bez holdowania podziałowi na czarne i białe typy ludzi.

Zasadniczy ten konflikt był, zdaniem krytyki, zbyt mieszczańki, aby rozwiązanie jego mogło zadowalać i przekonywać współczesnego widza. Inscenizacja krakowska, wyróżniona na festiwalu, rozdmuchała więc wątek społeczny sztuki. Przy pomocy autora (współpraca teatrów z autorami sztuk — to osobny bardzo charakterystyczny rozdział), który uprościł na prośbę reżyserki część zachodzących w sztuce konfliktów psychologicznych, wydobył z utworu wszystko co typowe, usuwając w cień indywidualne przeżycia bohaterów. Postacie pozytywne wyprowadzono na plan pierwszy, główną troską reżyserki było pilnowanie, by młody aktor grający aktywistę Rysia wytrzymał aktorsko pod względem waloru i ciężaru gatunkowego obok dojrzałej, silnie przez autora nakreślonej postaci Konrada, granej przez świetnego aktora Tadeusza Białoszczyńskiego. Postacie ujemne utworu spłycono świadomie, aby nie wzbudzić sympatii i współczucia widza, usunięto po prostu ze sceny momenty połączone z ich konfliktami dramatycznymi. Konrad przeżywa niejako za sceną decyzję swego odejścia, na scenie oznajmia o niej tylko sucho i krótko; cała scena opuszczenia rodzinnego domu trwa zaledwie minutę; sztukę po prostu odpsychologizowano. Niektóre postacie potraktowano zupełnie inaczej, niż chciał autor; np. ciekawą postać matki sprowadzono do granic głupawej drobnomieszczanki. „Warto świadomie zrezygnować z najbardziej pociągających pomysłów — napisała Irena Babel o swej inscenizacji — na rzecz wzbogacenia nurtu ideologicznego w sztuce, której celem jest ukazanie problemów współczesnego życia w Polsce Ludowej”.

„Czy teatr jest zobowiązany wszystkim środkami, jakimi rozporządza, dążyć jedynie do wiernego odczytania tekstu i odtworzenia obrazu scenicznego autora?” — pyta Maliszewski, autor „Wczoraj i przedwczoraj”, na łamach „Teatru”. Odpowiada sam sobie w myśl obowiązujących instrukcji: „Nie! — wdychając przy tym — a jednak autor ma wiele radości, gdy obraz sceniczny jest bliski jego wizji pisarskiej”.

Jeszcze mniej pietyzmu w stosunku do autora ujawniają inscenizatorzy i reżyserzy sztuk klasycznych i retrospektywnych. Sztuk takich wystawiono w sezonie 1951 sporo — w trzech pierwszych kwartałach roku — 30 (43 inscenizacje). Prawdopodobnie w związku ze słynnym „orzeczeniem” Stalina w sprawie języków narodowych z r. 1950 rozpoczyna się zwrot w kierunku tradycji narodowych w krajach za żelazną kurtyną. Realistyczne i postępowe tradycje sztuki polskiej, dyskusje na temat polskiego stylu narodowego stanowiły główny akcent pierwszego ogólnopolskiego zjazdu badań nad sztuką — ba, nawet festiwal polskich sztuk współczesnych „podmurowano” pozycjami klasycznymi. „Śluby panięskie” w wykonaniu teatru wrocławskiego miały, według słów Sokorskiego, „przerzucić pomost od wieków minionych pod dumną teraźniejszość naszej epoki, epoki socjalistycznego budownictwa”.

Wśród autorów klasycznych, których sztuki wystawiają tea-

try w Kraju, pierwsze miejsce zajmuje Fredro (w okresie sprawozdawczym, grano: „Śluby panięskie”, „Zemstę”, „Pana Geldhaba”, „Ciotunię”, „Ostatnią wolę”, „Męża i żonę”, „Dożywocie”, „Damy i huzary”, „Koncert”, „Nikt mnie nie zna”, „Dwie bliźny”, „Pierwszą lepszą” i „Przyjaciół”). Obok Fredry wystawiono „Fircyka w zalobach”, „Powrót posła” w dwóch inscenizacjach oraz wyciągnięto z zapomnienia komedię Zablockiego „Zabobonnik”. Z utworów romantyków polskich grano „Balladynę” (Lublin, Kraków), „Mazepę” (Białystok) i „Fantazego” (Wybrzeże), a pod koniec roku łódzki Teatr Nowy wystawił „Horsztyńskiego”. Wśród sztuk retrospektywnych największym powodzeniem cieszyła się „Moralność pani Dulskiej” (9 inscenizacji), grano też dwie sztuki Blizińskiego („Rozbitki” i „Marcowy kawaler”) „Starego kawalera” J. Korzeniowskiego, a dwa teatry wystawiły „Szczęście Franja” Perzyńskiego i „Głupiego Jakuba” Rittnera. Najciekawszą pozycją retrospektywną były dwie aktorskie wersje „Grzechu” Żeromskiego w Teatrze Kameralnym w Warszawie.

Krytyka poświęciła sporo uwagi poznańskiej realizacji „Zemsty” (reżyserował Żegalski, najmłodszy obok Rene’go reżyser polski) i „Fantazemu”, który był ostatnią pracą śp. Dobiesława Damięckiego. Dużo pisano też o nowej schillerowskiej inscenizacji „Sułkowskiego” i dwóch wersjach „Grzechu” Żeromskiego — Kruczkowskiego-Korzeniowskiego.

O Fredrze wyszło dość dużo prac teoretycznych (studia K. Wyki), które pomóc mają ludziom teatru w nowym spojrzeniu na Fredrę. Krytyka zachęca do przedstawień fredrowskich, które by miały wydźwięk „demaskatorski”, bliski tzw. realizmowi krytycznemu. Poznańskie przedstawienie „Zemsty” doszło tylko do połowy tej drogi: jest, zdaniem krytyków, „zbyt tradycyjne i rzewne, a postacie Cześnika i Rejenta nie budzą wstrętu ani do sarmatyzmu, ani do kruczków Rejenta, kauzuperdy i filozofa spod ciemnej gwiazdy”. Za to przedstawienie to dało bardzo żywe i realistyczne postacie Wacława i Klary. Najbardziej „demaskatorską” pozycją przedstawienia były dekoracje Jana Kosińskiego: zrecznie skomponowany „zamek stary”, o wyszczerbionych murach, kryły strzechą, wałacy się prawie w gruzy, ale uwieńczony żałośnie pretensjonalną wieżą. Dekorator zamierzał określić w ten sposób stan posiadania obu pniaczy i sprowadzić do niewielkich rozmiarów problemy ich burd, walk i zgody.

W „Fantazym” Słowackiego wydobył Damięcki silne akcenty polityczno-społeczne, osadzając mocno utwór w epoce polski popowstaniowej. Antyarystokratyczne akcenty wydobyto przez skonstruowanie dwóch światów: świata fałszu, zakłamania i egoizmu Respektów, Fantazego, Idalii i świata Diany, Stelli — zwolenniczek idei rewolucyjnej i Jana, którego konflikt uczuciowy zrobiono równocześnie konfliktem klasowym. Księdza Logę pojęto jako ugodowca, podporządkowanego interesom klasowym magnaterii (przy słowach Jana o rewolucji ks. Loga,

przerażony, zasłaniał twarz brewiarzem). Ostatnią rolę Damięckiego był Major w "Fantazym", silnie nakreślona postać dobrodusznego Rosjanina, który z żalem i nienawiścią patrzy na "polskich grafów" krzywdzących jego przyjaciela. Realizację V aktu sztuki oparł Damięcki i scenograf Krassowski na silnym kontraście: Fantazy (ucharakteryzowany na Krasińskiego) i Idalia rozgrywają scenę niedosłego samobójstwa na tle okazałych grobowców magnackich, a scena śmierci Majora przenosi się na lewą stronę dekoracji, na ubożuchny cmentarzyk uniki z małymi, chłopskimi grobami. Przy umierającym Majorze znajdzie się Diana, Stella, Jan i Kałmuk, podczas gdy Respektowie i Rzecznicki pozostaną za płotem ubożego cmentarza — inscenizacja rozdzieli prawie symbolicznie obydwie światy. Pomimo wszystkich zastrzeżeń, jakie można mieć do tej inscenizacji, spojrzenie Damięckiego na utwór wielkiego poety jest bezwarunkowo nowe i ciekawe.

"Sułkowskiego" inscenizował Leon Schiller w Teatrze Narodowym, pracując jednocześnie nad "Hrabinią" Moniuszki, do której libretta dopisał niesłychaną ilość wstawek (npr. divertissement baletowe, kończące się wizją płonącej Bastylli i marszem sankiulotów) — tak przerobioną "Hrabinię" nawet krytyka krajowa uznała zgodnie za zupełne nieporozumienie. Wystawiając "Sułkowskiego" Schiller zamierzał wyciągnąć z utworu nurt rewolucyjny, wydobyć perspektywy ginącego świata królów i książąt i przeciwstawić mu nowy, rodzący się właśnie świat demokratyczny. Samego Sułkowskiego potraktował jako świadomego jakobina, rycerza zarówno rewolucji jak i narodu. Odrzucając przepych zewnętrznych efektów całą uwagę skoncentrował reżyser na słowie. Wydaje się, że schillerowska inscenizacja przyniosła świetny i konsekwentny akt I-szy (ciekawie tylko w jakim kierunku poszły znaczne skróty tekstu?). Bardzo nastrojowe i wyraziste dekoracje Jana Kosińskiego, o ile można sądzić z fotografii, przewyższają wszystkie znane mi oprawy scenograficzne tego dramatu, zwłaszcza świetny obraz weneckiego pałacu wiąże bardzo pomysłowo miejscowe i orientalne elementy stylowe. Krytyka nie mogła się nachwalić pięknej i dyskretnej muzyki Turskiego. Wydaje się, że dużą zaletą inscenizacji jest nowa kreacja roli Sułkowskiego, inna od osterwowskiej: młody aktor Andrzej Szczepkowski stworzył nową postać, mniej poetycką i hamletyzującą, bardziej intelektualną i skupioną, tragiczną przy całym uroku młodości. Następne akty "Sułkowskiego" były ponoć zupełnie puszczane, role aktorskie nie postawione, a krytyka przytrzymała się do inscenizatora, że nie dokonał zasadniczych cięć w utworze i nie wyeliminował choć w części "awantury miłosnej sprzecnej z realistycznym nurtem utworu i zamazującej jego główny sens". schillerowskie zakończenie sztuki — Napoleon przyjmujący strzęp munduru Sułkowskiego z triumfalnym, drwiącym gestem — wydaje mi się wprost parodią intencji Żeromskiego.

Wśród polskich sztuk retrospektywnych na plan pierwszy wy-

biły się dwie aktorskie wersje "Grzechu" w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego. Wiadomo nam z peanów prasy krajowej i z oburzenia pism emigracyjnych, w jaki sposób L. Kruczkowski i Korzeniewski uzupełnili brakujący akt V-ty, odrzucając równocześnie akt IV-ty. Mniej może znany jest fakt, że inwencja dramaturgiczno-reżyserska Korzeniewskiego zmodyfikowała wydatnie cały utwór: rozbudowując szeroko pewne sytuacje (dwie rozmowy Bukowicza z Zofią Parmen) inne zaledwie zamarkowała, a ostatni akt rzuciła na szerokie tło polityczno-społeczne epoki (postać i akcja Bezrękiego). Takie ujęcie aktu IV-tego, zdaniem trzeźwiejszych krytyków krajowych i moim własnym, podważa wiarygodność "Grzechu" przez zrezygnowanie z ataku na moralność mieszczańską na rzecz ataku skierowanego bezpośrednio w tzw. ustrój burżuazyjny. To, że z pokrzywdzonej, biednej Anny robią Kruczkowski i Korzeniewski jakąś "zetempówkę", czy omal przodownicę pracy, staje się zdecydowanym fałszem teatralnym. W ramach jednak ustalonego tekstu pokazał Korzeniewski dwa koncerty zespołowej gry. Dał pełne dwie obsady "Grzechu", z których jedna grała nowocześnie, dyskretnie trafiając w ton postaci rodem z Balzaka, a druga akcentowała silnie namiętności ludzkie, przeżywała mocno, wpadając prawie w ton sztuk Zapolskiej. Prawdopodobnie ta druga wersja bliższa była autentycznym postaciom Żeromskiego. Znakomite kreacje aktorskie stworzyli w pierwszej wersji: Zofia Małynicz jako Parmen i Zelwerowicz w roli Jaskrowicza, w drugiej zaś wybijała się bardzo ludzka i ciepła Anna Aliny Mikołajskiej i Bukowicz Władysława Sheybala, ciekawie pojęty jako bezwartościowy i szkodliwy czaruś i szalawiła. Korzeniewski przeprowadził na każdej postaci utworu dwie etudy charakterologiczne, bardzo konsekwentnie wtapiając każdą z nich w zamierzoną koncepcję przedstawienia. Z punktu widzenia warsztatowego należy podziwiać zarówno świetne rzemiosło reżysera, jak i giętkość i talent aktorów.

Drugą ciekawą inscenizacją Korzeniewskiego było przedstawienie sztuki Bałtuszcisa "Pieją koguty", która w najczarniejszych barwach obrazuje wyzysk biedoty wiejskiej przez tzw. "kułaków" na Litwie przedwojennej. Korzeniewski dał tu wzrowo realistyczną inscenizację nie posługując się żadnymi jaskrawymi efektami i nie wpadając w naturalizm, przed którym broni się z wszystkich sił teatr spod znaku socrealizmu. Chcąc wydobyć silniej klasowe akcenty sztuki i "wyprostować" jej linię ideową, Korzeniewski, zwyczajem ostatnio w Polsce przyjętym, poprawił gruntownie nie tylko przekład sztuki, ale zmienił parę scen w jej tekście. Zresztą środkami czysto teatralnymi Korzeniewski potrafi wydobyć zamierzoną przez siebie linię nawet bez zmiany tekstu. Oto przykład: chciwa i bezwzględna "kułaczka" wysłuchuje nieśmiały protestów wyzyskiwanego biedaka odpowiadając mu tylko monosylabami i klepiąc przy tym bezmyślnie różaniec. Takie przemawianie środkami teatralnymi, dopowiadanie sztuki poza słowa autora widziała już



publiczność u Korzeniewskiego przy jego realizacji sztuki Su-chowo-Kobyłina — „Śmierć Tarekina”, gdy po ostatnich słowach tekstu orzeł dwugłowy z trzaskiem przekreślał się głową w dół, a podmuch wiatru zmiatał ze sceny bohatera sztuki, uwielokrotnionego w szereg jednakowych postaci.

Krytycy nie szczędzą pochwał dla zespołu aktorskiego pracującego pod batutą Korzeniewskiego, zwłaszcza dla Jacka Wo-szczerowicza, który podobno znajduje się obecnie na szczytach aktorskiej ekspresji.

Oprócz sztuki Bałtuszisa wystawiono w okresie sprawozdawczym siedem sztuk współczesnych tzw. krajów demokracji ludowych, w tym jedną niemiecką — „Wójta Annę” Fryderyka Wolffa. Cztery teatry grały Shawa: „Szczygli zaułek”, który uchodzi za sztukę najostrzej i najbezwzględniej demaskującą moralność kapitalistyczną, „Profesję pani Warren” oraz „Pigmaliona”. Warto wspomnieć, że na marginesie tej sztuki toczyła się w prasie teatralnej i literackiej dyskusja, jaki jest stosunek Higginsa i jego nauczania wymowy do spraw językoznawczych, poruszonych w moskiewskiej „Prawdzie” i wypowiedzi Stalina na ten temat. Są to jedyne sztuki współczesne importowane z Zachodu. Ani w roku 1950, ani w 1951 nie grano żadnej współczesnej sztuki francuskiej.

Poważną za to pozycją jest 20 sztuk klasycznych i retrospektywnych obcych, wśród których mamy „Hamleta” (Poznań), „Jak się wam podoba” (Warszawa i Wrocław) i mało graną w Polsce sztukę Szekspira „Dwaj panicze z Werony” (Kielce). Molier reprezentowany jest w tym sezonie przez „Mizantropa” (Katowice), „Szelmostwa Skapena” (Warszawa), „Chorego z urojenia” (Łódź), „Skąpca” (Wrocław) i „Grzegorza Dyndagę” (Gniezno). Lope de Vega wkroczył triumfalnie na scenę polską już w poprzednich sezonach „Psem ogrodnika” i „Owczym źródłem”. W okresie sprawozdawczym te, zdaniem krytyki krajowej, szczyty teatru plebejskiego poszerzone zostały o nową pozycję — o „Nauczyciela tańców” (Bydgoszcz). Warszawski Teatr Kameralny dał utrzymaną w duchu pseudoklasycznym komedię charakterów „Sprytną wdówkę” Goldoniego w reżyserii Wyszomirskiego, Bydgoszcz i Olsztyn wystawiły „Oberżystkę”. Z innych sztuk klasycznych Zachodu przypomniano „Alkarda z Alamei” Calderona oraz dwie uroczyste sztuki Musseta: „Świecznik” i „Nie trzeba się zarzekać”. Jednym z największych sukcesów Teatru Polskiego w Warszawie była „Intryga i miłość” Schillera.

Nie chcę przedłużać nadmiernie mego artykułu, nie mogę więc omawiać ani ciekawej inscenizacji „Hamleta” w reżyserii Horzycy z Białoszczyńskim w roli tytułowej, ani komedij mussetowskich, ani „Intrygi i miłości”. Wszystkie te sztuki starano się mocno osadzić w ich epokach i wyciągnąć na plan pierwszy moment walki postępowych jednostek z zacofanym starym światem. Wszystkie konflikty przedstawiano typowo, a nie indywidualnie. Słowa jednego z krytyków, wypowiedziane w spr-

wozdaniu ze sztuki „Pieją koguty”, że w przedstawieniu teatralnym interesuje widza patologia społeczna, a nie psychofizyczna człowieka — określają może najlepiej to, czego żąda się dziś w kraju od inscenizacji sztuki. Stąd zarzuty skierowane do Białoszczyńskiego, że w końcowych fragmentach jego roli tragedia Hamleta staje się zbyt osobista, zbyt mało wiąże się z tragedią społeczną, z walką postaci pozytywnej o nowy, lepszy świat. Stąd wysunięcie Alcesta w „Mizantropie” jako postaci zdecydowanie pozytywnej, walczącej z otaczającym go przegniłym światem szlacheckim. Sztuka Moliera interpretowana jest jako wyraz protestu przeciw zgniliznie i rozkładowi feudalizmu, a samotniczy bohater sztuki, podobnie jak i Hamlet, jest buntownikiem, którego typowość polega na tym, że wśród ludzi swojej klasy nie ma i nie może mieć uczciwych sojuszników.

Od festiwalu sztuk radzieckich w roku 1949 utarła się tradycja nieoficjalnych festiwalów sztuk tłumaczonych z rosyjskiego, granych przez krajowe teatry jesienią. W sezonie sprawozdawczym 39 scen stałych wystawiło 37 sztuk radzieckich i utworów klasyki rosyjskiej w 52 inscenizacjach. Krytyka krajowa wyraziła głębokie niezadowolenie, że 50% przedstawień było po prostu wznowieniami, a jeden z krytyków oburzał się nawet, że takie podchodzenie do sprawy „stępią twórcy festiwalowy charakter miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej i nadaje mu znamiona oficjalnego serwitutu”. Zwrócono też uwagę na brak utworów radzieckich z pierwszego pięciolecia istnienia ZSSR, które zdaniem czynników oficjalnych najlepiej odpowiadają rzeczywistości współczesnej w Polsce. Wśród klasycznych sztuk rosyjskich nie brak utworów na wysokim poziomie, starannie wystawionych przez teatry. Na plan pierwszy wysuwa się przedstawienie sztuki Gribojedowa „Mądremu biada”, którą, opierając się na wzorach Moskiewskiego Teatru Artystycznego, wyreżyserował starannie Bronisław Dąbrowski w Teatrze Polskim w Warszawie z Kreczmarem w roli Czackiego. Grano dużo sztuk Ostrowskiego („Las”, „Panna bez posagu”, „Grzesznicy bez winy”). Ciekawe też wydaje się przedstawienie „Mieszczan” Gorkiego w Teatrze Współczesnym w Warszawie w reżyserii Erwina Axera również oparte na wzorach MCHATU. Wśród sztuk radzieckich krytyka pisała o inscenizacji „Interwencji” Sławina w wykonaniu młodego zespołu Ateneum w reżyserii Ludwika René. Recenzenci jakoś nie skarżą się na to, że aktorzy polscy nie umiają zagrać współczesnych ludzi radzieckich, jak to czynili w roku 1949 po festiwalu sztuk radzieckich. Przeciwnie, kilkakrotnie podkreślano, że nie tylko młodzież kształcona ostatnio według systemu K. S. Stanisławskiego i na wzorach szkół teatralnych radzieckich osiągnęła dobre wyniki aktorskie; aktorzy ze starszego pokolenia potrafili już wejść w skórę niegdyś obcych im postaci. Zespół Teatru Nowego w Łodzi, który wystawił przeróbkę „Poematu pedagogicznego” Makarenki, potrafił także w sztuce „Zwycięstwo” odtworzyć żywo i realistycznie po-

stacie chłopów, nie uciekając się do żadnych gier z ludowego wodewilu. Zastanawia natomiast fakt, że zupełnie pod tym względem niepodważane źródło, a mianowicie "Trybuna Ludu" narzeka na nieumiejętność grania ról szlacheckich w "Horszyńskim" w tym samym teatrze przez członków tak chwalonego dotychczas zespołu, nagrodzonego państwową nagrodą.

Obserwując pracę teatrów krajowych, zauważyć można, że ośrodki prowincjonalne rywalizują z teatrami stołecznymi w pracy artystycznej. Państwowe nagrody z roku 1951 wyróżniły trzy przedstawienia warszawskie: "Grzech", "Mądremu biada" (w inscenizacji i reżyserii Bronisława Dąbrowskiego) i przedstawienie "Zwykłej sprawy" Tarna przygotowane przez Erwina Axera; nagrodzono też najwyższą nagrodą całokształt pracy aktorskiej Wojciecha Brydzińskiego. Ale nagrodę drugiego stopnia uzyskał również Edmund Wierciński za pracę reżyserską w teatrach wrocławskich oraz zespół Teatru Nowego w Łodzi i reżyserzy Warmiński i Dejmek za pracę nad "Zwycięstwem" i "Poe-matem pedagogicznym" Makarenki.

Nad sztukami wystawionymi w teatrach odbywają się liczne dyskusje zarówno na terenie Związku Literatów Polskich, jak i w Stowarzyszeniu Polskich Artystów Teatru i Filmu oraz w organizacjach społecznych. Może najbardziej charakterystyczne były dyskusje nad sztukami "Pieją koguty", "Zwykła sprawa" i "Tysiąc walecznych", które w obecności zespołu i reżysera toczyły się w centralnej szkole dla działaczy partyjnych PZPR. W dyskusjach usłowano ustalić co wniosły przedstawienia tych sztuk do nowej, tworzącej się rzeczywistości krajowej. Obok pracy bieżącej teatrów sekcja teatralna Państwowego Instytutu Sztuki przystąpiła do pracy nad "przewartościowaniem" utworów dramatycznych w duchu realizmu socjalistycznego, aby — mówiąc słowami Leona Schillera — "odnaleźć więź łączącą dzisiejsze dni z postępowymi okresami przeszłości".

Publicystyka i propaganda zawładnęły sceną polską w równej mierze, a może nawet silniej niż innymi gałęziami sztuki. Czytając prasę fachową, spotykamy ciągle wzory i recepty brane z doświadczeń ZSSR i coś w rodzaju cenzurek, wystawianych poszczególnym osiągnięciom teatralnym za zrealizowanie tych wzorów na terenie Polski. Publicystyka kwitnie w teatrze polskim we wszystkim — od Szekspira i Moliера do festiwalu sztuk współczesnych — obok ciekawych inscenizacji teatralnych, sprawnego warsztatu aktora i reżysera, pięknego niejednokrotnie wysiłku scenografii, gry i pracy zespołowej.

Nie gra się Wyspiańskiego, są duże kłopoty z "przewartościowaniem" jego twórczości. A właśnie ten pisarz, który modlił się, by w kraju naszym najlichszy człowiek był wolny swoją własną wolą, powiedział: "Sztuka jest z ducha, stwarza się, nie robi — a raz stworzona duchem — jest pewnikiem".

Olga ŻEROMSKA

## Teatr emigracyjny

Podjmując próbę skromnej analizy osiągnięć teatru emigracyjnego w roku 1951, próbę połączoną z jednoczesnym ich zestawieniem z realizacjami teatralnymi w Kraju (patrz artykuł Olgi Żeromskiej), zdaję sobie w pełni sprawę z trudności organizacyjnych i materialnych, z jakimi stale walczyć musi polski teatr w W. Brytanii, jedyny polski teatr zawodowy w wolnym świecie.

Chęć ochrony tego teatru skłania olbrzymią większość recenzentów do zasadniczo pobłażliwego traktowania każdej emigracyjnej realizacji scenicznej czy półscenicznej. Powstała milcząca, niepisana konwencja, że teatr na emigracji jest narodowym *tabu*, a pisarz, czy dziennikarz piszący o teatrze powinien być rodzajem bezplatnego agenta reklamowego, zachęcającego publiczność do masowego oglądania poszczególnych spektakli. Z drugiej strony w publicystyce teatralnej hasają jednostki arbitralne, kapryśne lub złośliwe, które swą podświadomą niechęć pisania o rzeczach, o których nie mają pojęcia, wyładowują na aktorach, czy reżyserach, zastępując precyzyjnie ocenę wyświechtanymi przymiotnikami lub epitetami w rodzaju „pan X — drewno”.

Taki stan rzeczy uważam za wysoce szkodliwy i to przede wszystkim dla samego teatru. Ludzie teatru żądają, aby ich pracę traktować poważnie, poważne zaś podejście do zadań krytyka wyklucza stanowczo wszelką pobłażliwość, wszelkie przemilczanie błędów i niedociągnięć — tak samo jak wyklucza złośliwość i osobiste rozgrywki. Tak jak teatr w działalności swej (będącej tylko jedną z gałęzi twórczości artystycznej tej części narodu polskiego, która znalazła się na emigracji), obowiązany jest dać z siebie wszystko, co dać potrafi — tak krytyk, jeśli chce zasługiwać na to miano, musi w pisaniu o teatrze zaangażować całą swą wiedzę fachową, całą dobrą wolę i pełną skalę sprawiedliwej oceny. Ponieważ zaś teatr emigracyjny jest, a w każdym razie walczy o to, by być teatrem zawodowym, miernikiem tej oceny — zdaniem moim — powinny być najlepsze osiągnięcia przedwojenne, a także, jeśli chodzi o sam poziom artystyczny, bieżące realizacje krajowe (z zastrzeżeniem różnicy środków materialnych).

Jak w świetle tych wstępnych uwag przedstawia się rok 1951 w teatrze emigracyjnym?

Zacznijmy od statystyki i segregacji według gatunków. W roku ubiegłym sześć polskich teatrów emigracyjnych — im. Słowackiego, Teatr Aktora, Teatr Komedia, Teatr Sztuk Czytanych, Hemar i Budzyński — wystawiło ogółem 31 premier. W tym mieliśmy 7 prapremier polskich sztuk emigracyjnych, 10 polskich sztuk klasycznych i retrospektywnych, 6 fars i komedii autorów obcych, 1 sztukę religijną („Bóg żywy” — słuchowisko) i 7 premier kabaretów literackich. Proporcja ta byłaby zupełnie zdrowa, gdyby... Zamiast sięgać do ogólników spróbujmy zanalizować niektóre pozycje w ramach powyższej klasyfikacji.

#### Prapremiery sztuk emigracyjnych

Autorami sztuk emigracyjnych po raz pierwszy wystawionych lub odczytanych w ub. r. są: Wiktor Budzyński, Edward Chudzyński, Zygmunt Jabłoński, Stanisław Mackiewicz i Napoleon Sadek. Tematem wszystkich są wydarzenia i problemy współczesne, omawiane w różny sposób i z różnego punktu widzenia.

Najgłębiej sięgnął Zygmunt Jabłoński w sztuce pt. *Dziwna sprawa Marka Pokory*, niestety nie wystawionej, a tylko odczytanej przez zawodowych aktorów w Klubie Towarzystwa Polskiej YMCA. Akcją swej sztuki ambitny ten autor umieścił w nieokreślonej, metafizycznej przestrzeni, gdzie syntetyczny Polak — żołnierz, kacetowiec, bohater wszystkich możliwych przygód, a ostatecznie polski emigrant zamieszkały w Anglii — sądzony jest przez międzynarodowy i międzyludzki trybunał za to, że popełnił samobójstwo, straciwszy wszelką nadzieję i poczucie sensu ziemskiego istnienia. Skazujący werdykt sądu kończy się wezwaniem pod adresem emigracji: „Nie śpijcie!”. Choć nie wszystkie sformułowania Jabłońskiego są dojrzałe i precyzyjne, choć odnosi się wrażenie, że sam autor nie skryształizował jeszcze dość jasno własnej filozofii i światopoglądu — nie podobna odmówić mu talentu, silnego poczucia dramatycznego, umiejętności prowadzenia dialogu, poetyckiego widzenia rzeczywistości i umiejętności korzystania ze wzorów obcej literatury dramatycznej. Nie brak mu już w pierwszych utworach niemałej znajomości techniki sceny. Słowem, Jabłoński w znacznym stopniu opanował środki wyrazu artystycznego i pewnego dnia, gdy zupełnie dojrzeje, może dać dzieło o nieprzemijającej wartości.

Z drugiej sztuki Z. Jabłońskiego — *Geometria Lagerführera Fritscha* — odczytanej publicznie w lokalu Harcerzy, wynika zupełnie jasno, że osią zainteresowań autora są sprawy metafizyczne, w istocie religijne. Bohaterem jest tutaj Ojciec Kolbe przeciwstawiony w sposób bardzo ciekawy, choć nie orto-

doksyjnie katolicki, esesmanowi Fritschowi. Wartość sztuki, nie będącej jeszcze, jak i poprzednia, pełnym osiągnięciem artystycznym i myślowym, polega na wyrwaniu się z małostkowych i letnich szablonów mieszczańskich, na szczerej pasji dociekania prawd przekraczających codzienność, na poszukiwaniu sensu istnienia. Wielka szkoda, że zalet i potencjalnych możliwości talentu Jabłońskiego nie dostrzegł żaden z dwóch polskich teatrów dramatycznych i że pierwsza pełna jego premiera pt. *Before You Die* odbyła się w lutym br. w jednym z angielskich teatrów klubowych w Londynie.

Sprawy krajowe są tematem drugiej prapremiery, równie młodego pisarza, Edwarda Chudzyńskiego i omówionej już na łamach „Kultury”, bardzo słabej sztuki Wiktora Budzyńskiego pt. *Noc przeminęła*. Chudzyński w swym *Podwalu 7* sięga do epepei powstańczej Warszawy. Bohaterów swych umieszcza w zawałonej wskutek bombardowania piwnicy domu przy ulicy Podwale i tam każe im przeżywać falowanie strachu i nadziei oraz rozmawiać o sprawach życia, śmierci, ojczyzny. Dobre osób zaspanych jest w zasadzie ciekawy: ksiądz, jeńiec niemiecki, pelen krzepy powstaniec, sanitariuszka i oficer sowiecki.

Porwanie się na tego typu, nieoryginalną, bo już ograną w filmie („One Against Seven”, „Broken Journey”, „Morning Departure”), ale ciekawą i pełną możliwości sytuację dramatyczną, dobrze świadczy o odwadze zdolnego autora, którego *Trzy wiosny* były sztuką dobrze zdialogowaną i wcale ciekawą. Niestety, Chudzyński nie potrafił oderwać się od szablonów i nie zdołał swej, z założenia gadanej sztuki przeopić dość interesującą dla widza treścią psychologiczną lub religijną, czy metafizyczną. Jego ksiądz jest wycięty żywcem z podręczników seminaryjnego *savoir-vivre'u*, a bolszewik z któregoś z reportaży pierwszego lepszego korespondenta wojennego z 2-go Korpusu. Podobnie jest z innymi postaciami.

Błyskotliwy i utalentowany publicysta i esseista, Stanisław Cat-Mackiewicz próbował w zeszłym roku przypiąć sobie ostrogi dramaturga. Teatr Sztuk Czytanych ZASP-u starannie odczytał jego sztukę *Melina*, będącą wcale ciekawym zbiorem udramatyzowanych na modłę sensacyjną felietonów politycznych, obfitujących — jak zwykle u Cata — w efektowne sytuacje i w zaskakujące powiedzonka. Z dramatopisarstwem roboty ta nie wiele ma wspólnego. Treścią utworu są ujęte w formę rozmów rozważania na temat, co by było, gdyby Hitler nie umarł, gdyby odnalazł się w charakterze uciekiniera z domu wariatów itd. itd. Na te liczne pytania p. Mackiewicz odpowiada, że zmartwychwstałego Hitlera porwaliby Rosjanie, aby użyć go dla swych celów politycznych w charakterze marionetkowego wodza rzekomo wyzwolanych Niemiec. Jednym słowem „Melina” to nieobowiązująca rozrywka umysłowa —

szarada z proponowanym przez autora rozwiązaniem. Do takiej oceny upoważniają błędy w budowie utworu, a więc przede wszystkim mnogość niepotrzebnych, niedokończonych wątków i zbytecznych frendzelków, ginących w próżni, bo nie służących niczemu (jak ów warkocz Niemeczki w rękach jednego z bohaterów, Żyda Katzenellebogena) i dziwaczne pomieszczenie płaszczyzn (w sztuce realistycznej pojawiają się aż cztery duchy, które można by zastąpić prostszymi i bardziej przekonującymi środkami wyrazu). Ale grzechem śmiertelnym „Meliny” jest nieobecność w niej człowieka. Wydaje się, że Mackiewicz nie interesuje wnętrze i los istoty ludzkiej. W sztuce mamy zdarzenia, domysły, polityczne nurty, konszachty i kombinacje, które autor potrafi przedstawić w sposób żywy i interesujący. Natomiast jego ludzie są papierowi, nieprawdziwi, bo płacy, jednowymiarowi, pozbawieni głębi. Ponadto polszczyzna „Meliny” szwankuje niepokojąco i bodaj programowo, bo Stanisław Mackiewicz lubuje się w swych prowincjonalizmach, co nie może budzić entuzjazmu krytyka.

Schodząc coraz niżej po drabinie wartości, trafiamy na sztukę tajemniczego autora, używającego pseudonimu Jan Woyciechowski, zatytułowaną *Okoliczności łagodzące*. O ile w sztukach Z. Jabłońskiego mamy poszukiwanie prawdy — niepewne, nerwowe, ale przejmujące szczerze, o tyle tu autor, znający na pewno niejedną sekret scenicznego kuchni, usiłuje objawiać „prawdy” bardzo wątpliwego gatunku w sposób pretensjonalny i mętny. Powiadam „usiłuję”, bo do objawienia, a choćby jasnego sformułowania tych „prawd” właściwie nie dochodzi. Aby nie być gołosłownym, muszę choć w paru słowach streścić sztukę.

Paweł Tarnowski, emigrant w Londynie, wraca z pracy do domu i oświadcza swemu koledze Leonowi, że przed chwilą zabił zbrodniarza wojennego, gestapowca, którego przypadkowo spotkał na ulicy. Leon, zajęty właśnie fałszowaniem sztychów, wiadomość przyjmuje obojętnie i dopiero po chwili, w swoisty sposób, wskazuje w meritum sprawy: obmyśla dla kumpla fałszywe alibi (do spółki ze swą siostrą), a następnie błaga Tarnowskiego, aby zaniechał zamiaru przyznania się policji do popełnionego przestępstwa. Dopiero w III-cim akcie udaje się rodzeństwu przekonać Tarnowskiego, że to jedyne wyjście z sytuacji. W międzyczasie oglądamy na scenie jeszcze przyjaciółkę Tarnowskiego, Angielkę, która naciągnęła swego pracodawcę na kosztowny prezent i ma w związku z tym przejściowe kłopoty z policją, oraz detektywa Scotland Yardu, polskiego Brytyjczyka Harefielda-Zajączkowskiego, godzącego swą funkcję łapsa z lojalnością wobec Polaków. Do tej akcji przypięto, jak kwiatek do kożucha, lwowskie opowiadanie Leona o jego sentymentalno-dobroczyńno-erotycznej przygodzie z jakąś młodą dziewczyną.

Pomijając błędy w budowie sztuki, błędy językowe w ro-

dzaju zdania „którą ty nie chcesz uznać”, mętność sformułowań i zamierzeń autora, trzeba stwierdzić, że utwór przepojony jest niezdrowym relatywizmem etycznym. Autor zdaje się mówić, że wszyscy na świecie są po trochu przestępcami, ale właściwie nie ma się czym przejmować. Jedyłą, marginesową zaletą treściową, dobrze zresztą zdialogowanej sztuki jest zarysowanie przez Woyciechowskiego niektórych różnic między charakterem narodowym polskim a angielskim.

*Markietankom* Napoleona Sądka należy się, moim zdaniem, najniższe miejsce w hierarchii sztuk emigracyjnych, wystawionych w 1951 roku. Sformułowanie tej oceny jest dla podpisanego niezmiernie przykre, gdyż w pełni docenia on niegłęboką, lecz błyskotliwą talent autora *Kwaterny nad Adriatykiem*, komedii błażej, ale pełnej wdzięku, tryskającej zdrowym i miłym sentymentem, a przy tym napisanej żywo, z dużym wyczuciem scenicznych, komediowych środków artystycznego wyrazu. Rzecz w tym, że „Markietanki” zrobione są o niebo gorzej, niż można i należy od p. Sądka wymagać. Mniejsza z tym, że nie objawiają jakiegokolwiek prawdy — nie każdy pisarz dramatyczny ma ochotę lub chęć bawienia się w nauczyciela czy proroka. Ale jeśli pisze rzeczy bez większego znaczenia, jeśli ma tylko ambicję bawienia widza, to niechże czyni to zgrabnie, ciekawie i wesoło. Niestety, „Markietanki” nie posiadają żadnej z tych zalet: to po prostu grubymi niemi przeszyte obrazki z życia straszliwie banalnych żołnierzy 2-go Korpusu, podlane w dodatku tanim, ckliwym hurrapatriotycznym sosem. Jeśli parę minut widowiska wypełniają grane na zdarzonych płytach, osłuchane do znudzenia melodyjki wojskowe, jeśli w całym tekście, jak w morzu nudy, pływa zaledwie parę skwarek dowcipu, jeśli łapanie amantek na pocałunkach z niewłaściwymi partnerami powtarza się parokrotnie jako jedyny element sytuacyjnego humoru — to chyba wolno stwierdzić, że granie takiej sztuki jest stratą czasu dla aktorów, dla reżysera, dla widzów i dla biednego recenzenta, który w dodatku ryzykuje kompromis z własnym sumieniem, albo popsuć sobie stosunków z sympatycznym i zdolnym autorem. A wszystko to z powodu puszczenia w niepamięć pięknej średniowiecznej teorii o cnocie artystycznej, wymagającej tworzenia zawsze pełnią posiadane go talentu. Co prawda p. Napoleon Sądka może powiedzieć że wcale nie uważa się za artystę (co musiałbym uznać za przesadę i złośliwość w stosunku do samego siebie), ale w takim razie gdzie cnota artystyczna p. Leopolda Kielanowskiego, który zdecydował o wystawieniu sztuki przez teatr zawodowy, podczas gdy „Markietanki” nie bardzo się nadają nawet na scenę ambitnego zespołu świetlicowego?

#### Polskie sztuki klasyczne i retrospektywne

Doroczny „Dzień Aktora” przyniósł w roku ubiegłym Sę-

*dziów* Wyspiańskiego w reżyserii Zygmunta Nowakowskiego i jednoaktówkę Fredry *Zręczność i przekora*, wyreżyserowaną przez p. W. Radulskiego. Było to jedyne w okresie sprawozdawczym przedstawienie polskiego teatru emigracyjnego na normalnej scenie teatralnej (Scala). Ani Wyspiański, ani Fredro nie wyszli tu bez szwanku.

*Sędziom* scenografka Alicja Kruszewska, dała dekorację, odrobione bez żadnej inwencji z opisu Wyspiańskiego. Tekst utworu reżyser odczytał, moim zdaniem, wadliwie, spływając go przez zmechanizowanie grupy sędziów zgodnie ze staromodną, rażącą nowoczesnego widza, konwencją inscenizacyjną. W ramach tych przestarzałych założeń reżyseria była staranna i konsekwentna. Aktorsko spektakl wypadł nierówno, demaskując raz jeszcze brak gry zespołowej, tak charakterystycznej dla teatru emigracyjnego. Na czoło wybiła się Kora Brzezińska w roli Jewdochy i Konrad Tom jako Jukli. Tola Korian miała doskonałe momenty (Joas), ale głosowo nie opanowywała sali.

Postacie jednoaktówki Fredry reżyser ustawił na tle skromnych, rodzajowych dekoracji J. Faczyńskiego. Trudno w ogóle mówić o reżyserii p. Radulskiego, skoro nie wiadomo, czy nie mógł, czy też nie potrafił wyciągnąć z aktorów czegokolwiek zbliżonego do Fredry. Gra aktorów wypadła bardzo źle i nierówno, a piękny tekst fredrowski zginął wskutek nieumiejętności mówienia wiersza i odzwyczajenia się przez artystów od dużej sali.

Teatr „Sztuk Czytanych” dał *Nieboską komedię* Krasińskiego, przy czym wybiła się M. Sznukówna w roli Orcia.

Ze wszystkich możliwych polskich sztuk retrospektywnych wybrały teatry londyńskie w roku 1951 Żeromskiego — *Uciekła mi przepióreczka* i *Grzech*, Perzyńskiego — *Lekkomyślną siostrę*, Morozowicz-Szczepkowskiej — *Sprawę Moniki* i Szaniawskiego — *Most*.

Wystawienia dwóch pozycji Stefana Żeromskiego nie kwestionuję, zwłaszcza, że był to hołd, złożony temu pisarzowi w 25-tą rocznicę zgonu. Pokazanie emigrantom *Lekkomyślną siostrę* demaskującej zakłamaną moralność mieszczańską nie budzi też wątpliwości. Można by także zgodzić się ze wznawieniem *Mostu*, gdyby odczytanie tekstu przez realizatorów wносиło lub mogło wnieść coś nowego. Natomiast wystawienie banalnej, melodramatycznej, całkowicie nieaktualnej i nie dającej się zaktualizować *Sprawy Moniki* było grubym błędem Teatru im. Słowackiego i p. L. Kielanowskiego, jako jego kierownika. Błędem tego nie zmniejsza fakt dobrej reżyserii i dobrej gry aktorskiej w tej lichej sztuce, która raczej zasłużyła na zapomnienie.

*Przepióreczkę* odczytał najpierw — z dużym powodzeniem

— Teatr Sztuk Czytanych, a następnie, przy nie mniejszym poparciu publiczności londyńskiej, zrealizował Teatr Aktora, czyli Wojtecki. Emigracyjna „Przepióreczka” idzie wiernie za tradycją „dwudziestolecia” i pod względem stylu, oprawy scenicznej i wydzwięku reżyserskiego nie szuka, niestety, nowych dróg, które by odpowiadały dzisiejszej epoce. Nawet ramy scenograficzne, które na maleńkiej scenie londyńskiego „Ogniska” powinny były ulec zasadniczym zmianom, pozostały w granicach przedwojennej tradycji. Pan T. Orłowicz nie wyzyskał nawet w małej mierze znacznych możliwości swego talentu i nie wykazał ani odwagi, ani konsekwencji. Jedną ręką usiłował rozszerzyć znikomą przestrzeń sceniczną, pokazując przez okno sylwetkę zamku w Porebianach, drugą zaś najokropniej zagracił scenę ławkami, katedrą i innymi rekwizytami. W rezultacie rozwiązanie sytuacji scenicznych stało się niemal kwadraturą koła, którą zresztą reżyser nie bardzo się przejmował, puściwszy aktorów samopas. Tu jeszcze raz mieliśmy okazję przekonać się, że zły zwyczaj łączenia roli głównej z funkcjami reżysera musi fatalnie odbić się na całości przedstawienia.

Rolę Przełęckiego czytał, a następnie kreował na scenie swego teatru Wojciech Wojtecki. Gdyby nie poważne niedociągnięcia w opanowaniu tekstu na pierwszych przedstawieniach, gdyby nie wyraźnie widoczne w pierwszym akcie natoly łatwizny farsowej — kreację Wojteckiego trzeba by uznać za największe wydarzenie teatralne w roku ubiegłym, a może nawet na przestrzeni ostatnich paru lat. W każdym razie kreacja ta była bardzo ciekawa, gdyż odmienna od osterwowskiej, bardziej nowoczesna, bardziej intelektualna, w sumie bliższa sercu i umysłowi dzisiejszego widza. Przełęcki Wojteckiego wznosił się ponad liryzm i poetyckość tekstu, tak silnie podkreślane przez Osterwę, obracał się w wymiarze etycznym. Smugoniową grała p. Maryna Buchwaldowa, która mimo niezupełnie przekonywującej aparycji (fatalny kostium) — z prostotą i szczerością, bez sztamp i gier, bardzo czysto powtórzyła swą przedwojenną kreację, stworzoną pod okiem Osterwy. Pan J. Buchwald, który również grał Smugonia w przedwojennej Reducie, pozostał nieco w tyle za swoją żoną i za własną, pierwszą realizacją roli. Smugon p. L. Skwierczyńskiego (w sztuce czytanej) był indywidualnością znacznie większą i ciekawszą. Ewa Kunciewicz stworzyła postać księżniczki w stylu zbyt suchym i kostycznym, zwłaszcza w pierwszym akcie. Mimo to szlachetna prostota i czystość podania tekstu wniosły do przedstawienia nutę doświadczonego aktorstwa, tak rzadką na naszej scenie. Pozostali aktorzy nie zasługują na wzmiankę, nie stworzyli bowiem postaci, o które chodziło Żeromskiemu. W emigracyjnej realizacji „Przepióreczki” uderzał ponadto brak jednolitej koncepcji stylu gry aktorskiej (z wyjątkiem czwórki głównych postaci).

Wystawienie wygrzebanej z zapomnienia, młodzieńczej i nie-

wątpliwie słabej sztuki Żeromskiego *Grzech* było pomyślane jako riposta na przeróbkę i realizację tego dramatu w Kraju. Wątpię bardzo, czy ten akt przekory, czy też niesłusznie pojętego posłannictwa, był celowy, choć przedstawienie emigracyjne było z pewnością szczytowym osiągnięciem i jedynym przykładem względnie zespołowej gry w Teatrze im. Słowackiego.

Skoro bowiem młode i najmłodsze pokolenie emigrantów często nie zna *żadnej* sztuki Żeromskiego, pożyteczniej było by pokazać jeden z dojrzałych jego dramatów, na przykład *Turonia* lub *Ponad śnieg bielszym się stanę*, które na pewno nie ukażą się na scenach krajowych, albo *Sułkowskiego*, którego ostatnio „przewartościowano” w Polsce.

Brakujące zakończenie „Grzechu”, w Kraju dorobione według recepty socrealistycznej przez L. Kruczkowskiego i B. Korzeniowskiego, tu spreprował pan Z. Broncel, zapożyczając słownictwo z różnych utworów Żeromskiego. Robota p. Broncela budzi poważne zastrzeżenia: jest kręta i zawiła, podczas gdy tekst Żeromskiego uderza prostotą, graniczącą z nieudolnością (której zapewne wstydział się sam autor, skoro nie starał się o wystawienie lub wydanie całości sztuki). Motyw pięknidzy, i tak już w oryginale przesadzony, rozdał p. Broncel do karykaturalnych rozmiarów, zbyt ujemnie podmalował postać Jaskrowicza i bardzo niekonsekwentnie postawił postać robotnicy Wuliczki.

Nie można się również zgodzić z eklektyczną, czy raczej mójką koncepcją inscenizacyjną p. L. Kielanowskiego, przeprowadzoną zresztą starannie i z dużym (nawet za dużym!) pietyzmem dla autora. Sztukę rozbił realizator na trzy różne stylowo części: realistyczne pierwsze trzy akty, symboliczną i wizyjną wersję aktu IV-go, z którego usunięto urealnijające ten akt postaci bandosów, wreszcie akt V-ty, nawiązujący raczej do stylu trzech pierwszych, ale grany już w innym tonie, silnie przechodzącym w melodramat. Nie udało się też reżyserowi osiągnąć jednolitej stylowo gry aktorów: jedni grają «od kulisy do kulisy», inni przeżywają swe role dyskretnie. Postawienie przez reżysera trzech głównych ról (Parmen, Anna, Jaskrowicz) było, moim zdaniem, fałszywe. Dekoratorka, p. Żeleńska dostosowała swą pracę do reżyzerskiej koncepcji różnych stylów, ale od siebie nie wniosła nic ciekawego, choć mogła była silniej i bardziej celowo operować kolorem.

Jak się rzekło, *Lekkomyślna siostra* Perzyńskiego jest w zasadzie pozycją repertuarową godną poparcia. Niestety, realizacja tej sztuki przez Teatr im. Słowackiego stała na bardzo niskim poziomie. Zobaczyliśmy sztukę zupełnie nie wyreżyserowaną, nie scementowaną, w której wszyscy aktorzy chodzili luzem, tworząc postaci, z których każda — mówiąc językiem aktorskim — była z innej operetki. Co miała wspólnego gra pani Arczyńskiej (Maria) z grą jej partnera p. Rymczy-Szy-

mańskiego? Jak w ramach tej samej koncepcji reżyzerskiej mogła się zmieścić gra p. Ustarbowskiej i p. Hoppena — tego do dziś pojąć nie mogę. Przypuszczam, że prób było za mało i że były niekompletne. Wynik? Przedstawienie nie na poziomie zawodowego teatru. Tylko sumienność p. A. Kruszewskiej w dekoracjach i stylowych kostiumach damskich ratowała widowisko od zupełnej klapy.

#### Utwory obce

Lekki repertuar w roku 1951 dobierali dla swoich teatrów pp. Kielanowski i Wojtecki. Z perspektywy roku ten dział repertuaru wydaje się kapryśny i niekonsekwentny. Motywy kierujące wyborem nie trudno jest odgadnąć: unikanie wydatków (a więc jak najmniej osób w obsadzie sztuki), treść, która by zabawiła, a broń Boże nie znużyła bardzo przeciętnego widza — w miarę pikantna, ale nie za bardzo (bo przecież — duchowieństwo!).

W rezultacie w Teatrze Słowackiego obok kulturalnej i dowcipnej, choć bardzo przestarzałej komedii Flersa i Caillaveta *Ładna historia* (w przekładzie J. Boguckiej) znalazła się płytka, równie mało aktualna farsa muzyczna Langfeldera i Tischa *Czemu kłamiesz kochanie* (z muzyką Märkera i Franka). Teatr Aktora bardzo źle wystawił sztukę dobrego, poetyckiego majstra Acharda, pt. *Jaś z księżycą* (w przekładzie Olgi Żeromskiej) i na próżno usiłował wnieść nowy ton do przedwojennej komedijki Bus-Feketego *Jan*, zmieniawszy jej tytuł na *Polityka i miłość*. Wystawił także zupełnie bezwartościową farsę *Jutro pogoda*.

Nieistniejący już teatr „Komedia” (dyr. L. Skwierczyński) miał jak zwykle, wyższe aspiracje, dając poprawne realizacje jednoaktówki B. Shawa *Mąż przeznaczenia* oraz uroczej komedii Fredry *Świeczka zgasła* (w ramach jednego przedstawienia; reżyseria R. Kowalewskiej).

Jak widać z powyższego, w repertuarze tłumaczonym tylko Shaw i dwie pozycje francuskie zdołają się obronić. Reszta to balast i szkodnictwo, psucie smaku widza bezwartościowymi sztukami, w dodatku granymi zwykle niestarannie, niezespolowo i w złej reżyserii. Nie pokazano *żadnej* obcej sztuki współczesnej z problemem, choć wiem z własnego doświadczenia, że właśnie najpoważniejsi autorzy obcy, jeśli się tylko postarają, zgadzają się na wprost symboliczne honorarium.

Brak miejsca nie pozwala na omawianie sztuk obcych autorów. Nie jest to zresztą potrzebne, bo każdy miłośnik sceny zna Shawa, Acharda i Flersa-Caillaveta i może sobie wyobrazić ich kulawe realizacje w skromnych ramach teatru emigracyjnego, a pozostałe sztuki nie zasługują na obszerniejszą wzmiankę w rocznym przeglądzie. Pilno mi zresztą do ciekawszego tematu.

## Nadsценki literackie

*Niebieski balonik* p. Wiktora Budzyńskiego, który przed dwoma laty dał kilka bardzo ciekawych i wartościowych przedstawień, w omawianym sezonie był wyjątkowo nierówny w zależności od aktorów, których dyrektor zdołał zaangażować. Z drugiej strony teksty Budzyńskiego i melodie J. Markowskiego zdradzały w ubiegłym roku tendencję zniżkową, widocznie na tle, być może przejściowego, wyczerpania inwencji twórczej. W trzech wystawionych przez „Balonik” rewiach spotykało się jednak numery bardzo dobre (jak *Dożynki w Białym Orle*, prawie wszystkie monologi L. Lawińskiego, uroczy występ gościnny Tońcia i parę innych). Niestety, czasami gościli na deskach tej nadsценki aktorzy z nieprawdziwego zdarzenia (np. p. Delmar), obniżając zdecydowanie i tak nierówny poziom rewii.

Nadsценka p. Budzyńskiego zakończyła swą działalność w ubiegłym roku w związku z wyjazdem swego dyrektora. Życzę mu z całego serca owocnej i pełnej artystycznych osiągnięć pracy na nowej placówce poza Wielką Brytanią.

Marian Hemar dał w roku 1951 cztery dobre programy pt. *Gołębek niepokoju*, *Na miękko*, *Strach na wróble* i *Trzynastka*. Wszystkie te przedstawienia w mniejszym lub większym stopniu (bardzo często wzorowo) spełniają wymagania stawiane najlepszym teatrykom literackim i każde z nich mogłoby być z powodzeniem sprezentowane kulturalnej publiczności w dowolnej stolicy świata.

Takiej kwalifikacji poziomu nie osłabia stwierdzenie, że Hemar stosunkowo często wpadał w swych wierszach i piosenkach w ton zbyt sentymentalnej nostalgii, a niekiedy bywał zbyt ekskluzywny w guście *haute bourgeoisie*, zapominając, że w strukturach społeczeństw krajowego i emigracyjnego, w ich poglądach i świadomości socjalnej zaszły znaczne, nie tylko ujemne, ale i pozytywne, a na pewno nieodwracalne zmiany. Jeśli Marian Hemar, czego mu szczerze życzę, powróci do Polski pobolszewickiej, to nie będzie mógł grać na strunach małych smaczków i sentymencików hodowanych przed wojną w Zodiaku czy w Café Clubie. Tamte czasy już nie powrócą, co nie powinno nikogo martwić. W przyszłości widownia polska będzie zupełnie inna i nawet jej część nastawiona na bardziej wyszukany kabaret literacki nie będzie żądać (ani znosić) przeżytków drobnego, czy wielkomiejszczańskich. Na szczęście, coraz rzadziej zdarzają się okazje do formułowania tego typu zarzutów pod adresem Hemara. Jest to artysta myślący i realizator czuły na życzliwą krytykę. Potrafi z niej korzystać, co powoduje stałe doskonalenie treści i scenicznego kształtu jego programów.

Dla mnie osobiście istnienie i praca Hemara jest jedyną jasną plamą w ponurym obrazie życia teatralnego na emigracji.

Hemar dowiódł, że można bez subwencji prowadzić teatr z prawdziwego zdarzenia. Pomagają mu w tym poważnie: scenograf T. Orłowicz, muzyk J. Kropiwnicki oraz takie aktorki i aktorzy, jak Tola Korian, J. Jasińska, H. Kitajewicz, W. Majewska, Zięciakiewicz, Malicz, Krajewski i gościnnie Wojtecki.

## Ludzie teatru

Według mej prywatnej statystyki, za której stuprocentową ścisłość nie mogę ręczyć, w roku sprawozdawczym przebywało stale w W. Brytanii 66 ludzi teatru, to znaczy reżyserów, aktorów i scenografów. Ich aktywność zawodowa była stosunkowo bardzo duża, bo tylko 11-tu nie brało czynnego udziału w życiu teatralnym, choć z tej „martwej” jedenastki parę osób wystąpiło w „Dniu Aktora” (nie znaczy to, że aktywni w pełni żyli ze sceny).

Zjawiskiem bardzo smutnym był jednak fakt, że wśród nieaktywnych znajdowały się świetne talenty, jak Pawłowska, Jarossy i Dorwski, a ponad wszystko aktorka i reżyserka Lena Zelwerowicz, której ani razu, mimo doskonałego przygotowania, nie użyto do zadań reżyserskich.

Choć reżyseria sztuk jest bodaj najsłabszą stroną teatru emigracyjnego, także druga reżyserka, R. Kowalewska, nie została w pełni wykorzystana, gdyż pracowała tylko nad dwoma spektaklami. Dziwi to tym bardziej, że nie posiadającej wykształcenia reżyserskiego p. J. Domańskiej powierzono — bez nadzwyczajnego rezultatu — wyreżyserowanie „Mostu” Szaniawskiego.

Aktywnym reżyserom — pp. L. Kielanowskiemu, W. Radulskiemu i W. Wojteckiemu — zmuszony jestem postawić bardzo ciężkie zarzuty. Nie znam w drobiazgowych szczegółach ich metod pracy i natężenia dobrej woli, której bynajmniej im nie odmawiam. Znam natomiast sztuki podpisane reżysersko przez tych trzech artystów. Widok aktorów grających przeważnie siebie, nie umiejących mówić tekstu, a nawet popełniających błędy językowe — jest w równej, albo większej mierze dowodem zaniedbań reżyserów, jak aktorów, których tu mam na myśli.

A któż, jeśli nie reżyserzy, ponosi odpowiedzialność za puszczenie na scenę słabo grających amatorów po kilku zaledwie próbach? (pp. Hoppen, Chudzyński, Ossowska). Przy współpracy ze scenografami reżyserzy nasi nie potrafią od nich wymagać dostatecznej troskliwości, skutkiem czego zdarzały się przedstawienia, gdy widz miał ochotę zamknąć oczy, by nie oglądać dekoracji, jak to było z „Markietankami” na Ealingu.

To samo przedstawienie było, niestety nie odosobnionym przykładem rozpuszczenia aktorów przez reżysera. Nawet w najcięższych warunkach pracy można było zrobić dodatkową

próbę wobec tak daleko posuniętego rozkładu sztuki.

Tym samym osobom, ale tym razem w charakterze dyrektorów teatrów (to znaczy z wyłączeniem p. Radulskiego) pragnę szczerze poradzić, aby w większej mierze wyzyskiwali pomijane dotychczas, a nieraz bardzo zdolne siły aktorskie i nie obawiali się angażować aktorek i aktorów młodszego i najmłodszego pokolenia. Przykład p. W. Krajewskiego świadczy, że można mieć z nich pożytek.

Poważną i ciągle aktualną bolączką teatru jest brak młodych amantów. W związku z tym nasuwa się pytanie, czy i kto ponosi odpowiedzialność za utopienie w morzu zmywaczy talerzy i pracowników London Transport około dziesięciu młodych chłopców ze Studium Dramatycznego II. Korpusu? Wątpię, czy brak ten da się uzupełnić w zaimprovizowanej, jednorocznej (sic!) szkółce dramatycznej ZASP-u, pracującej na bardzo wolnych obrotach (po parę godzin na tydzień).

Pod adresem ogółu aktorów zgłaszam zarzuty ogólnikowe, ale chyba dostatecznie uzasadnione tym przeglądem: za mało pracy nad sobą, zbyt częste i zbyt monotonne gierki, za mało szacunku dla ojczystego języka.

Organizację aktorską ZASP ośmielam się zapytać, jakim cudem doszło do nagrodzenia przez nią, czy też wyróżnienia li-chej sztuczki Jana Woyciechowskiego „Okoliczności łagodzące” i dlaczego zdolny dramaturg Z. Jabłoński nie doczekał się nawet czytanej realizacji któregoś ze swych późniejszych utworów?

### Wnioski

Przystępując do końcowych wniosków, świadom jestem społecznej potrzeby dopomożenia teatrowi w organizacji widowni. Temat ten podejmowany był parokrotnie w czasie dyskusji w polskiej YMCA w Londynie, którą należy tu wymienić jako jedyną (poza przyznającym nagrody i urządzającym rozgadane, lecz niezbyt owocne przyjęcia Towarzystwem Przyjaciół Teatru) ośrodek organizacyjny, który stara się coś konkretnego dla teatru uczynić. Sprawa ta przekracza jednak ramy skromnego przeglądu i należało by jej poświęcić szkie osobny, podobnie jak krytyce teatralnej, a raczej jej nieobecności na łamach pism emigracyjnych.

W związku z wyjazdem z Wielkiej Brytanii wielu ludzi teatru, spodziewać się należy poważnych trudności i dużych zmian w emigracyjnym życiu teatralnym. Wierzę jednak, że kryzys można będzie opanować, jeśli pozostający na miejscu reżyserzy i aktorzy (nie tylko ci, co praktykowali dotychczas, ale i ci, czy te, które się chowały lub były odsuwane od sceny) — zrozumieją, że teatr na emigracji nie jest żadnym tabu, ani kapliczką, ale zwykłym warsztatem rzetelnej artystycznej pracy.

W rezultacie wszystko sprowadza się do ludzi: do ich cnoty

artystycznej, do spokojnego, miarkowanego rozsądkiem, ale trwałego zapału, do umiłowania swej sztuki, której można i trzeba służyć nawet w najtrudniejszych warunkach. Ludzie teatru powinni pamiętać, że są w stosunkowo lepszej sytuacji od pisarzy, muzyków czy plastyków. Ich sztuka jest potrzebna rzeszom emigrantów, a jeśli będzie wykonywana uczciwie, na pewno zostanie oceniona.

Aby jednak do tego doszło, ludzie teatru muszą zrozumieć, że uleganie złym smakom najmniej wyrobionej widowni do niczego ich nie doprowadzi. Jeśli się żąda poparcia społeczeństwa, trzeba sobie jasno zdawać sprawę z własnych, prostych i jasnych obowiązków. Ponadto błędem jest sądzić, że widz emigracyjny żąda tylko bezmyślnej i lekkiej rozrywki. Powodzenie teatru Hemara, a jeszcze silniej sukces „Przepióreczki” przy jednoczesnej klapie kasowej robionych pod rękomy gust hostelowca „Okoliczności łagodzących” obaliło tę opinię.

Twierdzę stanowczo, że polski emigrant żąda od teatru solidnego, poważnego zaspokojenia swych potrzeb artystyczno-kulturalnych. Ma do tego pełne prawo, zwłaszcza, że wobec braku polskich filmów teatr jest jedyną syntetyczną i dostępną ogółowi sztuką polską na obczyźnie.

Aby jednak coś osiągnąć w trudnych warunkach emigracyjnych, trzeba skupić wysiłki, przemyśleć gruntownie repertuar, środki i możliwości działania, by żadnego wysiłku nie trwonić na daremno.

Daleki jestem od zachwyty dla osiągnięć artystycznych teatru w Kraju. Jednak nasi ludzie teatru powinni zrozumieć, że jest coś z prawdy w twierdzeniu Lenina o roli artysty jako inżyniera dusz ludzkich. Przed Leninem, daleko piękniej i pokorniej powiedział Wyspiański o aktorach:

*„To nie są błazny, chociaż błaznów miano,  
oklaskiem darząc, w oczy im rzucono,  
lecz ludzie, których na to powołano,  
by biorąc na się maskę i udanie,  
mówili prawdy wieczne przykazanie”.*

Przebywający w wolnym świecie polscy ludzie teatru powinni głęboko zamyśleć się nad tymi słowami, które przed wojną umiał na pamięć każdy aktor polski. Warto dać z siebie wszystko, aby kiedyś móc powiedzieć, że w czasie, gdy aktorstwo polskie w Kraju nie mogło przemawiać pełnym głosem, niosło się emigrantom polskiej i ogólnoludzkiej „prawdy wieczne przykazanie”.

Janusz JASIEŃCZYK.



## Ukraińska literatura emigracyjna

Zorientowanie się w ukraińskim ruchu wydawniczym na emigracji jest o tyle nie łatwe, że od czasu masowego exodusu z Niemiec, w gruncie rzeczy nie istnieje żaden większy ośrodek centralizujący, ani żadne czasopismo literackie, które by odgrywało rolę wystarczającej busoli czy drogowskazu. Polska literatura emigracyjna skupia się właściwie bez reszty dokoła londyńskich "Wiadomości" i paryskiej "Kultury"; inne pisma, nie wyłączając tygodnika "Życie", który zajmuje się przede wszystkim zagadnieniami religijno-moralnymi, mogą uzupełniać orientację, ale i nic ponadto. Otóż takich właśnie pism, ogniskujących ruch literacki, skupiających wszystkich pisarzy, którzy posiadają istotne znaczenie, Ukraińcom zabrakło. Usiłowań w tym kierunku było bardzo wiele, przeważnie jednak kończyło się na efemerydach, często interesujących, niestety, uwiedłych, zanim zaczęły owocować. Było to zjawisko zrozumiałe. Polska emigracja miała swoje instytucje państwowe, placówki dyplomatyczne, wreszcie wojsko, co dało potrzebną odskocznnię na początek; ukraińska znalazła się wraz z zakończeniem wojny w obozach dla dipisów i dopiero zaczynała mozolnie wydobywać z nich swoich intelektualistów, artystów i pisarzy, gdy w Londynie już odradzały się "Wiadomości", a w Rzymie drukował się pierwszy numer "Kultury", zanim przeniosła się ona do Paryża i następnie do Maisons-Laffitte.

Poza tym wydaje się — być może jest to błąd obserwatora, patrzącego z dość dalekiej perspektywy i nie zawsze rozporządzającego całością materiału — że przy organizacji ukraińskiego piśmiennictwa emigracyjnego zabrakło również i autorytetów, już to ze względu na animozje polityczne, już to z tej racji, że niektórzy starsi pisarze trzymali się raczej na uboczu. Przedwczesna śmierć Jurija Kłena, jedyne go z piątki słynnych kijowskich "neo-klasyków", któremu jeszcze przed wojną udało się wydostać zagranicę, zabrała pisarza dużej klasy i wielkiego prestiżu — strata, jak dotychczas, niezastąpiona.

Proces doszlusowywania nowych, naddnieprzańskich emigrantów do tych, którzy Zachód europejski poznali wcześniej i nie tylko z baraków obozowych i przedpokojów UNRRA'y, wymagał pewnego czasu i nie mógł odbyć się bezboleśnie. Zbyt inna była atmosfera psychiczna, w której przez całe lata trwali ci

ludzie, aby pierwsze kontakty obeszły się bez zgrzytów. Po wstępnym okresie, który można by określić jako "zachłyśnięcie się" swobodą myślenia, a zwłaszcza mówienia i pisania, musiał przyjść następny etap "aklimatyzacyjny", a wszelka aklimatyzacja tego typu nie jest nigdy rzeczą prostą ani łatwą. W tej grupie "nowych", mniej zresztą licznej od pisarzy pochodzących z ziem zachodnich, nie brak kilku wybitnych indywidualności. Są wśród nich i ludzie stosunkowo młodzi, którzy w roku 1941 wprost z ławy szkolnej poszli na front lub do partyzantki.

Wojna dokonała szeregu bolesnych wyrw w szeregach ukraińskiego piśmiennictwa. Ofiarą Gestapo padł poeta Oleh Olżycz, jeden z najwybitniejszych liryków ostatniej doby\*). Wczesną wiosną 1942 roku zginęła w Kijowie rozstrzelana przez Niemców znakomita poetka, Olena Teliha. O Juriju Kłenie (właściwe nazwisko Oswald Burkhardt) już wspominałem. Również na emigracji zmarli w skrajnej nędzy prozaik i poeta, Leonid Mossendz, oraz dobrze kiedyś zapowiadający się dramaturg, przedwcześnie zmarowany przez ciężkie życie, Awenir Kołomyjeć.

Zaraz po wojnie, jeszcze w roku 1945, powstał w Niemczech tak zwany MUR, czyli Mysteckij (Artystyczny) Ukraiński Ruch, organizacja pisarzy, która od początku usiłowała uporządkować i zorganizować sprawy zawodowe i wydawnicze. Pod jej auspicjami odbyło się parę zjazdów, na których poza kwestiami ściśle organizacyjnymi żywo dyskutowano przyszłe drogi rozwojowe literatury emigracyjnej. Obszerne sprawozdania z tych zjazdów i polemik pojawiały się w periodycznych zeszytach, wydawanych na cyklostylu. Ukazało się ich bodaj cztery, czy pięć.

O ile można się zorientować, większość książek, które ukazały się w owych gorączkowych latach, zawdzięczała wyjście na świat mecenasowskim gestom bardziej, niż jakiejś określonej polityce wydawniczej. Niekiedy decydowała przynależność partyjna zainteresowanego pisarza. Zresztą panowała dość daleko idąca dowolność, w wyniku czego wyszło drukiem sporo utworów, pozbawionych jakiegokolwiek wartości literackiej, podczas gdy zabrakło wydawców dla książek, które od dawna powinny być dostać się do rąk czytelnika. Fakt, że spadek literacki Jurija Kłena, zmarłego w 1947 roku, nie doczekał się jeszcze prasy drukarskiej, dowodzi, że ukraińska emigracja nie potrafiła dotąd właściwie zorganizować swego ruchu wydawniczego. Ale nie polskiemu pisarzowi, który zbyt dobrze znał pod tym względem własne podwórko, krytykować Ukraińców.

Z pism literackich, wychodzących w pierwszym powojennym okresie, bodaj żadne nie przetrwało do naszych dni. Było ich stanowczo za dużo. Gdziekolwiek zebrało się kilku pisarzy, po-

\*) Sporo wierszy Olżycza z przedwojennego tomu "Riń" przełożyli na polski Józef Czechowicz, Tadeusz Hollender, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, niżej podpisany i inni. Drukowane były w "Skamandrze", "Biuletynie Polsko-Ukraińskim", "Kamienie", "Wołyniu", we lwowskich "Sygnałach" i kolumnie literackiej "Kuriera Porannego".

wstawała inicjatywa wydawnicza. Najbardziej może wyrównany poziom reprezentowała "Arka", dalej szły wydawane w Salzburgu "Litawry", "Chors", wreszcie "Suczasyk", "Zahrawa", "Kerma", "Zweno", "Ridne Słowo", "Switannia", "Literaturno-Naukowyj Wistnyk", "Orlyk"... Już sam nadmiar tych czasopism, rodzących się z lekkiej ręki i przeważnie przestających wychodzić po kilku numerach, świadczył o braku koordynacji i rozbięciu życia literackiego. Intensywna emigracja za ocean szybko położyła kres tej wydawniczej rozrzutności.

Z pism ukazujących się obecnie zanotujmy przede wszystkim filadelfijski dwumiesięcznik "Kijów" i niedawno założony w Nowym Jorku pod redakcją Jurija Kosacza miesięcznik "Obrii" ("Horyzonty"). W Argentynie wychodzą dwa pisma — "Porohy" i "Owid"; w Kanadzie — "Kultura i Oświata" i "Nowe Dni". Od dwóch do czterech kolumn poświęca literaturze i sztuce monachijski dwutygodnik "Suczasnna Ukraina"; dodatek ten skupił sporo wybitnych piór i utrzymuje się na dobrym poziomie. Paryska "Ukraina", redagowana od 1949 roku przez Ilkę Borszczaka, ma charakter raczej naukowy, poświęcając dużo miejsca historii i filologii, ale i tam znaleźliśmy sporo materiałów literackich. Wszystkie te pisma walczą z poważnymi trudnościami finansowymi. Stara emigracja, urządzona życiowo, nie zdradza większego zainteresowania literaturą. Wystarczają jej stare pisma, założone przed dziesięć czy piętnastu laty i jakże często udzielające przytułku i popierające zdecydowanych grafomanów\*).

Prawie wszystkie dotychczas istniejące czasopisma literackie chorowały na eklektyzm artystyczny. Tu konieczny jest rzut oka wstecz, aby zrozumieć, co oznacza i jakie niebezpieczeństwa w sobie zawiera postawa eklektyczna na terenie ukraińskim.

Bujny rozkwit piśmiennictwa na Ukrainie Sowieckiej w latach dwudziestych sprowokował brutalny terror Moskwy. Grupa neo-klasyków została rozbita, jej członkowie, z wyjątkiem Rylskiego i Kłena zlikwidowani fizycznie. Chwyłowyj popełnił samobójstwo. Również zlikwidowano świetnie rozwijający się teatr Łesia Kurbasa. Mykoła Kulisz, pisarz dramatyczny o olbrzymich możliwościach, powędrował do więzienia i na zesłanie. Wspaniały fajerwerk twórczy liryki młodego Pawła Tyuczyny zgasł w mrokach soc-realistycznej grafomanii. Może jeden Mykoła Bażan, poeta o dużej kulturze i znakomity tłumacz, potrafił znaleźć pewne *modus vivendi* między rzetelną sztuką poetycką i codzienną ingerencją partii. Niekiedy w jakimś fragmencie dłuższego epickiego poematu zadźwięczy rytm i rozbłyśnie metafora dawnego Maksyma Ryłskiego. Nie daje po dziś dzień za wygraną Wołodymir Sosiura, uchowany jakimś cudem, mimo wciąż ponawiających się ataków bonzów

\*) autor zastrzega się, że jego orientacja w ukraińskim ruchu wydawniczym nie jest całkowita, stąd możliwe przeoczenia i nieuniknione uogólnienia.

marksistowskiej ortodoksji, oskarżających go o nacjonalizm. Ale to już nieliczne ogniki, jeszcze pełgające w martwym popiele pogorzeliśka. Moskwa żąda "polit-gramoty" i jej nakazów trzyma się ściśle młody narybek literacki. Czytając wiersze takiego Małyszki, "bohatera Związku Sowieckiego" z czasów minionej wojny, wielokrotnego "ordienonosca" i niedawno laureata Stalina, widać jak na dłoni proces marnowania się autentycznych talentów, wprzężonych w chomąto bezdusznej propagatki.

W konsekwencji żelaznej polityki sowieckiej literatura ukraińska mogła rozwijać się organicznie. Tradycja rwała się co chwile, aż doszło do tego, że największe osiągnięcia poprzedniego pokolenia stawały się niedostępne młodym pisarzom, jak to było z utworami Chwyłowego, Zerowa i Kulisza. Pozostawało piśmiennictwo za kordonem. Ale przy całej żywości ruchu literackiego Lwów nie mógł zastąpić Kijowa i Charkowa, jak powstałych strat nie były w stanie odrobić ośrodki emigracyjne w Pradze czy Warszawie, chociaż działali tam pisarze tej miary, co Jewhen Małaniuk, Jurij Łypa, Ołeksza Stefanowicz, Ołeh Oljycz, Ołena Teliha... Z drugiej strony i mimo niewątpliwych osiągnięć szeregu wybitnych jednostek, literatura halicka z trudem tylko i za cenę wielu upadków pozbywała się piętna prowincjonalizmu, zaściankowoci, tego, co krytyczny Ukrainiec określa jako małomiasteczkowe "proswitlanstwo". Byli znakomici pisarze — nie było normalnego życia literackiego.

Gdy przegrzmiała krwawa epopea drugiej wojny, a wraz z jej zakończeniem rozwiały się nadzieje natychmiastowej odbudowy wolnego państwa, piśmiennictwo ukraińskie znalazło się niemal w całości na emigracji. Jak już pisałem, nastąpił proces zlania się dwóch fal emigracyjnych, proces — być może — jeszcze nie całkowicie zakończony, ale jak najbardziej oczywisty. Ale właśnie dlatego, że tyle elementów heterogenicznych spotkało się ze sobą i to w warunkach zupełnego oderwania od kraju, jeszcze bardziej hermetycznego, niż w wypadku polskim; właśnie dlatego, że i jedni i drudzy mieli za sobą dwadzieścia kilka lat nienormalnego bytowania, przy wszelkich pozorach zewnętrznej normalności, potrzeba — więcej: konieczność! — wypracowania i wytyczenia pewnych punktów triangulacyjnych stawała się ze wszech miar oczywista. Literatura ukraińska od 1921 roku rozwijała się w warunkach emigracji fizycznej — na Zachodzie, emigracji wewnętrznej, psychicznej — na Wschodzie. Ponadto jest ona od dłuższego już czasu literaturą *par excellence* polityczną, nie w prymitywnym, tendencyjno-agitatorskim znaczeniu tego słowa, ale w takim, w jakim nią była twórczość polskich poetów romantycznych, Wyspiańskiego i Żeromskiego. Otóż nie ma i nie może być pisarza prawdziwie *z a n g a ż o w a n e g o*, który by mógł sobie pozwolić na eklektyzm artystyczny. Eklektyzm i zaangażowanie się — to para źle dobrana, która musi plodzić bastardów.

A więc tak, ukraińska prasa literacka chorowała od początku na eklektyzm. Rozumiano dobrze całą nienormalność tego zjawiska, ale, chcąc z temu zaradzić, przerzucono się w drugą ostateczność: zaczęto walić kłode przez pień. W słusznym dążeniu do utrzymania za wszelką cenę jakiejś tradycyjnej linii rozwojowej i jednoczesnego zbliżenia się do Europy, "zachodnienia", zaczęto na gwałt szufladkować pisarzy, segregować ich między różne kierunki i szkoły, często w ogóle nie istniejące, podawać a d h o c ukute definicje, rozdawać generalskie szlify, lub nakładać s a n - b e n i t a estetyczne — swoista biurokracja literacka, poczeta z najlepszych intencji, ale nolens volens jeszcze bardziej dezorientująca pisarzy i czytelników i dezorganizująca ruch piśmienniczy. "Nowy romantyzm", "styl organiczny", "neo-klasycyzm", "tragiczny humanizm" — od wszelkiego rodzaju i z m ó w aż roło się na łamach czasopism, przy czym niejednokrotnie używano tych samych określeń w znaczeniu bardzo różnym a nawet wręcz odwrotnym. Idąc za niewątpliwie zdrową tendencją szybkiego odrobienia opóźnień w stosunku do Zachodu, proklamowano pewnego poranka sur-realizm, jako kierunek najbardziej nowoczesny, to znów, wpadając w inną przesadę, równie anachroniczną, cofano się ku "Waplite" \*) i dawano przebrzmiałemu symbolizmowi à la Wołodymir Swidziński, czy impresjonizmowi typu Jewhena Płużnika. Kiedy indziej sypały się gromy na kontynuatorów kijowskiego neo-klasycyzmu i Wasyl Barka, niewątpliwie bardzo utalentowany, ale i mocno grzęznący w manierze sentymentalista-mistyka, awansował z czwartku na poniedziałek na godnego spadkobiercę Szewczenki i Tyczyny. Inflacja haseł i programów obok inflacji czasopism literackich stała się jedną z głównych cech tego gorączkowego okresu.

Ze wszystkich rodzajów literackich warunki emigracyjne najmniej sprzyjają rozwojowi rzetelnej krytyki. Jej brak stanowi poważną bolączkę polskiej literatury emigracyjnej i na tę samą przypadłość cierpi w może jeszcze większym stopniu środowisko ukraińskie. Oczywiście, zawsze znajdują się wolontariusze, przy każdej okazji parający się wystawianiem cenzurek, potępianiem jednych i wynoszeniem pod niebiosa innych, ale z prawdziwą krytyką ma to nie wiele wspólnego. Taki wolontariusz nie liczy się z reguły z autonomicznymi prawami każdej autentycznej twórczości, szukając u krytykowanego autora nie tego, co on sam chciał powiedzieć, ale tego, czego pragnie zaimprovizowany krytyk. Nie znając zakulisowych zakamarków, trudno zorientować się w przyczynach licznych złośliwych wystąpień, a nawet systematycznie przeprowadzanych nagonek, to pewne przecieź, że krytyczne porachunki, bardzo częste

\*) "Waplite" — organizacja literacka, założona w Charkowie przed rozgromem środowiska pisarskiego na początku lat trzydziestych. Przewodził jej Mykoła Chwyłowyj. Usiłowała pogodzić postulaty literatury narodowej z porowolucyjnym romantyzmem społecznym — próba zlikwidowana, rzecz prosta przez N.K.W.D.

na łamach czasopism literackich, sprawiają takie wrażenie, jakby ich autorom bardziej chodziło o animozje personalne, czy rozgrywki wewnętrzno-partyjne, niż o lojalną walkę na idee i koncepcje. Zapewne z tych samych względów nie doszło do powstania jednego centralnego organu literackiego o mocnych podstawach finansowych i dostatecznym prestiżu wobec czytelnika.

Niekiedy do krytyki zabierają się zupełni dyletanci, a gdy do braku kompetencji dochodzi jakiś ukryty kompleks, wyniki bywają prawdziwie niespodziewane. Tak np. omawiając utwór epicki młodego poety i wykazując formalne wpływy Puszkina, krytyk wyraża przypuszczenie, że autor pragnął w ten sposób "zemścić się na Puszkinie za jego ideową ukrainofobię" i, wykorzystując technikę puszkiniowską, stworzył wartościowy poemat ukraiński. Wychodząc z tego założenia, poeci francuscy powinni byli po roku 1871 pisać techniką Goethego i Schillera.

Nie znaczy to jednak, aby w czasopismach ukraińskich nie pojawiały się recenzje inteligentne i nie toczyły interesujące dyskusje na dobrym intelektualnym poziomie. Ale właśnie podkreślone już parokrotnie rozbieżności środowisk literackich sprawia, iż czytelnik zaledwie jest pozostawiony samemu sobie i często bywa wyprowadzany w pole przez osoby niepowołane.

Z ukazujących się obecnie czasopism wyróżniłem dwumiesięcznik "Kijów", "Obrii", oraz dział literacki w "Suczajnej Ukrainie", "Kijów", w którego komitecie redakcyjnym zasiadają Swiatosław Hordyniński i Bohdan Krawciw, poeci znani i uznani jeszcze przed wojną, ma, z grubsza biorąc, charakter magazynu typu "Skamandra" z jego drugiej epoki. Zbyt szczupłą objętością (jak na dwumiesięcznik) przynosi w każdym numerze oryginalne poezje o wyrównanym na ogół poziomie, wartościowe studia literackie\*), noty krytyczne. Dużą zasługą "Kijowa" stanowi jubileuszowe wydanie (w 150-tą rocznicę) "Słowa o pułku Ihora", w pięknej bibliofilskiej postaci, z obszernymi komentarzami, uzupełnione fragmentami przekładów na obce języki.

Z temperamentem i rozmachem redagowane "Obrii" (pierwszy numer ukazał się w maju ub. roku) postawiły sobie ambitny cel pójścia "po linii największego oporu" w przekonaniu, że "nasza trudna epoka stawia wszystkim swym uczestnikom wymagania najcięższe, a nie najlżejsze". Ton pisma bojowy, a chwilami nawet zaczepny, sporo młodych współpracowników, rozległa skala zainteresowań, widoczne próby rewizjonizmu. Ale właśnie bogactwo tematyki powoduje niekiedy pewną zdawkowość w omawianiu stawianych problemów: szczupłość miejsca zmusza do przesadnego streszczenia i wiele pozycji, aż proszących się o rozmiary artykułu, sprowadza się do krótkich no-

\*) Warto zwrócić uwagę na doskonały essay Małaniuka o twórczości Maksyma Rylskiego, chociaż marginesowa ocena Puszkina wydaje się przesadzona, i na rzetelnie opracowany szkic Jurija Szerecha "Dwa style literackiej krytyki".

tatek. "Obrii" walczą energicznie o podniesienie poziomu literatury emigracyjnej, nie krępują się w ostrych atakach, i zdaje się, że już odgrywają rolę przysłowiowego kija w mrowisku.

Również solidną pozycję stanowią kolumny politycznego dwutygodnika, "Suczasnna Ukraina", poświęcone "Literaturze — Sztuce — Krytyce". Inne pisma tego typu udzielają miejsca sprawom literackim raczej skąpo i niesystematycznie.

Co uderza w czasopiśmiennictwie ukraińskim, to duża ilość przekładów z literatur zachodnio-europejskich. Baudelaire, Mallarmé, Rimbaud, Valéry, Superville, Gide i Malraux; Novalis, Rilke, George i Hesse; Lorca i Ortega y Gasset; Whitman, Lovell, Sendberg i Spender. Również spotykamy obfitą informację (w "Obrijach" zwłaszcza) o życiu literackim i artystycznym na Zachodzie. Bardzo dużo przekłada z kilku języków Mychajło Orest, poeta-filozof, którego pięćdziesięciolecie obchodzili niedawno ukraińskie sfery kulturalne. W "Suczasnnej Ukrainie" ukazał się w ubiegłym listopadzie jego przekład mickiewiczowskiej "Alpuhary".

"Przypuścmy, iż okoliczności tak się złożą, że jutro wrócimy do wyzwolonej Ukrainy. I tam zażądają od nas sprawozdania: Coście robili? Co przyniosicie?"

...Czas już byłoby zdać sobie sprawę: znajdujemy się na emigracji. W naszej działalności znaczenie i pozytywną wartość ma tylko to, co przynosi korzyść naszemu narodowi... Emigracyjne sprawy go nie interesują. Naród nie będzie czytał naszych gazeciarskich polemik. Zażąda od nas jasnego, niedwuznacznego sprawozdania: gdzie wasze duchowe wartości?"

I czy będziemy zmuszeni pochylić głowy i odpowiedzieć milczeniem?"

Takimi słowami stworzył Jurij Szerech pierwszy numer "Obriów". Słowami, jakie mogłyby do siebie zastosować również inne emigracje. Bo każdy — obojętnie, z własnej woli, czy w wyniku okoliczności — kto znalazł się zagranicą, zaciągał dług wobec swego narodu i, jeśli się z niego nie wywiązuje w należyty sposób, jest zwykłym zbiegiem, nie emigrantem.

Pisarza odpowiedzialność ta dotyczy bardziej, niż kogokolwiek. Ale za nim w każdym poszczególnym wypadku wydamy osąd, trzeba wziąć pod uwagę warunki, w jakich znalazła się emigracyjna literatura. I gdy społeczeństwo zapytuje pisarzy: Jak się wywiązujecie ze swych obowiązków? — ci mają pełne prawo odpowiedzieć również zapytaniem: Co uczyniliście, aby nam przyjść z pomocą?"

Otóż literatura ukraińska na emigracji rozwija się właśnie z taką intensywnością, na jaką pozwalają nieprzychylnne warunki zewnętrzne. Wiemy, że w zaraniu tułaczki powojennej wielu pisarzy znalazło się niemal w zupełnej nędzy. Być może, Kłen, Mosendz, Kołomyjeć żyliby po dziś dzień, gdyby udzielono im na czas odpowiedniej pomocy. A i obecnie, choć ogólna sytuacja uległa znacznej poprawie, walka o chleb powszedni utrudnia pracę literacką w nie mniejszym stopniu, niż oddalenie od

kraju, słaby kontakt z czytelnikiem, rozproszkowanie ośrodków kulturalnych. No, ale to są zjawiska, nieodłącznie związane z każdą emigracją, niezależnie od narodu i epoki.

Stosunkowo najlepsza jest sytuacja poetów. Warsztat lityczny nie zajmuje tyle "miejsca", co twórczość prozaika i dramaturga. Poza tym zawsze łatwiej wypchnąć w świat tomik wierszy, niż wydrukować powieść, albo ujrzeć swój dramat na scenie.

Na ogół biorąc, po wojnie nie było żadnych większych rewolucji poetyckich. Liryka kontynuuje tradycje dawniejsze i, jak dotychczas nie zanoszą się na bliski przełom. Trudno mi w tym pobieżnym szkicu mówić o związkach, jakie łączyły lirykę pierwszej emigracji z "neo-klasycyzmem" kijowskim. Są one często zaprzeczane, lub podawane w wątpliwość, a przecież, jeśli nie psychiką poetycką, jeśli nie klimatem, to w każdym razie formalnie, Olżycz, Teliha, Hordyński, a nawet Małaniuk, Stefanowycz i Laturyńska znaleźli się bardzo blisko kijowian. Romantyczna i barokowa poezja Kosacza, przeładowany metaforyką imażynizm młodo zmarłego, a świetnie zapowiadającego się, choć zagrożonego manieryzmem, Antonycza — to były raczej peryferie, o pełnym wydziwieniu artystycznym, ale peryferie.

I oto okazuje się, że młodzież poetycka, przybyła z Ukrainy Sowieckiej — Łyman, Sławutycz, Połtawa — idzie tą samą klasycyzującą, czy nawet zbliżoną do postawy parnasistowskiej drogą. Nie chcę, by mnie źle zrozumiano: klimat psychiczny wielu z nich — starszych i młodszych — nie ma nic wspólnego z zimnym, intelektualnym artystostwem, np. Zerowa, ale tyrania klasycystycznego stylu wciąż ciąży nad większością. Cóż na to poradzić, że taki Zujewskij, utalentowany młody poeta, którego tom "Złote Wrota" Wołodimir Derżawin powitał jako "odrodzenie symbolizmu" i który istotnie jest urodzonym symbolistą, nie potrafił dotąd odciąć się całkowicie od obcego mu stylu i zdobyć się na adekwatny wyraz własnych treści poetyckich.

Ta przewlekająca się tyrania klasycyzmu powoduje pewną jednostajność formalną w rytmie, metryce i budowie strofy przede wszystkim. Wiersz wolny w emigracyjnej liryce prawie nie istnieje. Bodaj nie ma poety, który by nie składał hołdu sonetowi (o świetnych zresztą tradycjach w ukraińskiej nowoczesnej poezji) a nawet aleksandrynom. Liryka ukraińska nie przeszła głównym nurtem przez rewolucyjne wstrząsy awangardowe, które wprawdzie mocno zaśmiały w ubiegłym trzydziestoleciu literatury europejskie, ale i dokonały tylu doniosłych i płodnych eksperymentów artystycznych. Największy i najbardziej konsekwentny nowator w osobie Mykoły Bażana własnej szkoły w warunkach sowieckiego życia nie stworzył, a na emigracji nie miał kontynuatorów, ani nawet naśladowców.

Całkowicie poza zasięgiem neo-klasycyzmu znaleźli się Wasyl Barka i Iwan Bahrianyj. Pierwszy dał we wcześniejszym okresie swej twórczości zastanawiająco świeże, oryginalne i bardzo odrębne od wszystkiego, co się czytało w tym czasie,

próbki liryki, żywo przypominającej (ale nie naśladowniczej) młodego Tyczyne i nawiązującej do szewczenkowskiej ludowości, jak to słusznie podkreślił ówczesnie Jurij Szerech. Ale nie wiadomo dlaczego poeta zszedł z prostej drogi przyrodzonych możliwości twórczych i wpadł w skrajną manierę, w której infantylny sentymentalizm łączy się z rozdętym bombastycznie barokiem, a niezbyt udana stylizacja tradycyjnej kozackiej dumy z przeładowanym zdobnictwem szczegółów.

Bahrianij, po wydaniu obszernego tomu, "Złoty bumerang", w którym zebrał swe młodzieńcze utwory sprzed wojny, odszedł od poezji, jak się zdaje, na stałe, poświęcając się prozie, teatrowi, malarstwu i polityce. Duży talent, jeszcze większy temperament\*), grzeszy nadmierną deklaratywnością i estradowością, oraz brakiem kontroli nad własnymi — nie byle jakimi! — zasobami poetyckimi.

Deklaratywność, poetycka publicystyka często brózdzą w utworach młodego pokolenia. I tu trzeba oddać sprawiedliwość krytyce emigracyjnej, wobec której tyle zastrzeżeń zgłosiłem na wstępie, a która energicznie zwalcza objawy patriotycznego tromtadactwa i łatwej pseudopoetyckiej "plakatowości".

Przedwojenna liryka ukraińska nosiła w sobie przeczucie zbliżających się historycznych katastrof, huczał w niej stłumiony grzmot nadciągającej burzy, z którą łączyły się nadzieje uciemiężonego narodu, ale na dzień tej nadziei tkwiło gorzkie ziarno tragicznych, choć niejasnych obaw. Klasyczny koturn potykał się raz po raz o kamienie drogi, której ostry zakręt już się przywidywał w mroku epoki; natężony do bólu głos przełamywał się w powstrzymywanym spaźmie; przyszłe ruiny dygotały czadem pogorzeli i niepokoili w złowróżbnych snach. Znała ten katastrofizm i młoda poezja polska, również chwytająca w nagłym, olśniewającym skrócie nędzę i wielkość naszych czasów. Ale katastrofizm poetów ukraińskich miał nieco inny wydźwięk, gdyż inaczej przeżywana rzeczywistość narodowa i osobista narzucała takim samym przeczuciom i wizjom swą nieuniknioną korektę. Zbliżająca się apokalipsa osiągnęła najpiękniejszy i najpełniejszy wyraz artystyczny w szczytowym tomie Jewhena Małaniuka, "Pierścień Polikratesa", wydanym na krótko przed wojną. Gdy zapowiadana katastrofa nadeszła, poeta przywitał ją jak znajomego, choć strasznego gościa, i na jego tragiczną lirykę zeszło uspokojenie człowieka, który wie, że "wiek nasz — to oślepy Homer, że wiek nasz to Bethoven głuchy".

Katastrofizm, uszlachetniony głębokim poczuciem religijno-moralnym, stanowi główną cechę nowej twórczości Hordyńskiego ("Ogniem i wichrem") i Ołeksy Stefanowycza, jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów, dobrze umiającego ważyć wartość każdego słowa, twórcy, dla którego odpowiedzialność

\*) O Iwanie Bahrianym pisałem szczegółowo w "Kulturze" w obszernej recenzji z powieści "Ogród Getsemański".

artystyczna i moralna — to jedno. Miłośnik ukraińskiego średniowiecza — "książęcej epoki" — sięga chętnie do starego eposu kijowskiego, kronik i mitów, traktując je jako pendant do naszych czasów. Ze zbliżonych źródeł pije Oksana Laturyńska — wołynianka, jak i Stefanowycz. Ciekawe i warte zanotowania zjawisko: w swoim czasie mawiano o Łesi Ukraince, że jest najbardziej męska z ówczesnych pisarzy ukraińskich. Dwie czołowe poetki współczesne — zamordowana przez Niemców Ołena Tełiha i Laturyńska — godnie kontynuują tradycję Łesi Ukrainki. Heroiczna, natchniona patosem walki liryka Tełihy i przesycona historyzmem w najlepszym tego słowa znaczeniu poezja Laturyńskiej są tego wymownym dowodem i z całą słusznością zaliczane były przed laty do przebrzmiałego już kierunku, tzw. "literackiego imperializmu". Nie próżno ktoś oświadczył, zresztą w formie nieco przesadzonej, że jeśli który naród zbliżył się do matriarchatu, to właśnie ukraiński.

Utalentowana poetka żywiołowego sensualizmu, mniej szczęśliwa w tematyce patriotycznej, Natalia Liwyćka-Chołodna, umilkła po wojnie całkowicie.

Zaduma filozoficzna, czysty spiritualizm, moralna samowiedza charakteryzują w wysokim stopniu poezję Mychajły Oresta, ponadto niestrudzonego — jak już zazaczyłem — tłumacza wielkich twórców zachodnio-europejskich. Do tego samego rodzaju należy poetycka twórczość Wołodymira Szajana, dalekiego zresztą od klasycznego opanowania Oresta ("Hymny ziemi", "Powstań Perunie"). Mistyczna, potracająca o panteizm liryka i proza Szajana, stojącego w ukraińskim życiu literackim zupełnie na uboczu, wraca do mitologii pra-słowiańskiej, szuka natchnienia w filozofii staro-indyjskiej, wreszcie nie obcy jej są polscy romantycy mesjaniści, Słowacki przede wszystkim.

Podobnie jak w Polsce przed wojną, ukraińska poezja emigracyjna zdradza wyraźne tęsknoty za wielką formą epicką. Olbrzymi poemat historyzoficzny, dotąd niewydrukowany w całości, Jurija Kłena, pt. "Popiół imperiów"; "Wołyński Rok" Mosen-dza, pisany tradycyjną oktawą, trochę w stylu "Beniowskiego", lub "Podróży na Wschód"; ogłaszany obecnie we fragmentach poemat wojenny Hordyńskiego, "Oksana"; "Poeta" Todosa Ośmaczki, wreszcie "Córka bez imienia" Jara Sławutycza i epickie, ambitnie zakrojone próby Łeonida Połtawy — oto bogaty plon tych kilku lat emigracyjnych.

Z ostateczną oceną poematu Kłena, mającego wszelkie dane na wielką epopeę narodową, trzeba poczekać do czasu ukazania się całości. Co do innych prób, od razu rzuca się w oczy ich anachroniczny charakter poetycki, z czego zresztą musiał zdawać sobie sprawę Hordyński, skoro w podtytule nazwał swój utwór "powieścią", jak za najlepszych romantycznych czasów. "Córka bez imienia" Sławutycza nie wychodzi, jeśli wolno sądzić ze znanych mi urywków, poza rymowaną gawędę, mimo całej tragiczności tematu. Obszerny poemat (oktawą!) Ośmaczki — to zupełny chaos, gdzie wszystko jest ze sobą skłębione i poplą-

tane: hyper-metafory z makabryczną parodią, słowne eksperymenty z tyradami i wypadami w stylu Byrona, podniesionego do sześcianu, elephantiasis rozszalałego ekspresjonizmu z najbardziej pospolitymi banałami — a obok tego rozsiane tu i ówdzie doskonale artystycznie obrazy, udane poszczególne strofy, a nawet całe ustępy, słowem "ogród nieplewiony, wszelkiego ziela pełny". Szczęśliwszą drogą, przynajmniej w założeniu, poszedł Połtawa; stylizacja pod epos staro-ruski wydaje się przy próbach tego rodzaju bardziej usprawiedliwiona, ale ogłoszone krótkie fragmenty nie dają jeszcze podstaw do obowiązującej oceny.

Z ostatnich debiutów zanotują tylko jeden, podający jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Mam na myśli szczupły zbiorek młodziutkiej Emmy Andijewskiej, który ukazał się przy końcu ubiegłego roku. Kilkanaście lirycznych miniaturk nosi wszelkie znamiona ciekawego i oryginalnego talentu. Śmiałość obrazowania, delikatność uczuć, autentycznie poetycka atmosfera. Trochę ciężą niezbyt szczęśliwe reminiscencje spóźnionego imażynizmu i symbolizmu, nieco nieporadne naiwności. Ale w sumie i zważywszy wiek autorki — poważna zapowiedź. Dla przykładu poemacik pt. "Jesień":

## I.

*W złocistych wodach szerniałe listowie,  
jak w zmarszczkach błagalne żebraków dłonie  
minionych, zbolatych dni.*

*Na dnie falami zbląkanymi ryby.  
Prąd wody precz je goni —  
napływają na ich miejsce wciąż nowe.*

*Promień słońca na wodzie — nim do brzegu przybił,  
już tonie.  
I tylko prąd i ryby.*

## II.

*...I trzciny jako surmy serafinów  
gną się nad wodnym rozlewiskiem.  
Zabłyszną cienie z gestniejącego dymu:  
„Chodź do nas” — i już giną ślady wszystkie,  
przepadły — białym makiem zczeszły we śnie.  
Rozkwitną lilie, ledwie rozbudzone.*

*Zbląkaną świetlik wpośród liście pełźnie.  
A woda mieni się  
kameleonem.*

Tak by wyglądała z lotu ptaka ukraińska poezja emigracyjna. Są w tym obrazie nieuniknione luki, gdyż uwzględnienie wszy-

stkich piszących i drukujących poetów zamieniłoby krótki szkic w rodzaj książki telefonicznej. Z pominiętych wspomnę jeszcze Bohdana Krawciwa, który przed wojną zdobył sobie dobrą pozycję cyklem wierszy więziennych, a na emigracji wydał tom "Korabie", gdzie m. in. czytelnik znajdzie szereg tęgich sonetów. Wreszcie trzeba choćby wymienić Bohdana Niżankywskiego, zmarłego w 1947 roku w pełni twórczej młodości Andrija Harasewycza, Petra Karpenkę-Krynycę, Marynę Prychodźko, Wadyma Łesycza, Teodora Kurpity, Jurija Czornego...

Osobna wzmianka należy się dość bujnie rozwijającej się poezji satyryczno-parodystycznej. Przepyszne "Diaboliczne parabole" Porfirija Horotaka (pseudonim Kłena) — to prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju; nie brak szczęśliwych momentów satyrycznych w poemacie Mosendza, "Kanitfersztan"; doskonałe parodie literackie zawiera zbiorek "Karykatury z literatury" Teoka (wieść gminna niesie, że głównym autorem jest Teodor Kurpita); parodie, albo satyryczną burleskę uprawiają Osmaczka, Barka, Połtawa, Żdan Krycia, Roksolana Czerieniwna...



Przystępując do omówienia innych działów twórczości literackiej, autor z góry zapowiada, że jego orientacja w dziedzinie prozy i teatru emigracyjnego jest znacznie słabsza, a w każdym razie grubo niedostateczna. Tu nawet trudno brać odpowiedzialność za oceny, gdyż w wielu wypadkach trzeba by od drugiej i trzeciej ręki. Stąd też trzeba się ograniczyć do przeglądu bardzo ogólnego zatrzymując się szczegółowiej nad kilkoma tylko pisarzami.

Tak więc zupełnie nie znam nowel i powieści Domontowycza, Ihora Kosteckiego, Dokiji Humennej, nie znam też powojennej twórczości Ułasa Samczuka, którego doskonałą powieść "Wolyn" wydał, bodaj że w 1938 roku, warszawski "Rój" w tłumaczeniu Tadeusza Hollendra. Proza ukraińska walczy o wyjście z kręgu etnograficzno-zaściankowej i społecznej rodzajowości, o ogólną narodową syntezę, o uniwersalną problematykę. "Doktor Seraphicus" i historyczne nowele Domontowycza, beletrystyka Kosteckiego, którego niektórzy krytycy uważają za najbardziej "zachodniego", najbardziej europejskiego pisarza, wreszcie "Młodość Wasyla Szeremety" Samczuka i w szerokiej epickiej skali pomyślana powieść tegoż autora, "Ost", przedstawiająca proces konsolidacyjny narodowej świadomości ukraińskiej w latach wojny — to, sądząc z powszechnej opinii, pozycje najważniejsze.

O powieściach Czaplenki, tyle dyskutowanej Humennej, jak również o "Starszym bojarzynie" Todosie Osmaczki trudno mi — nie czytając ich — powiedzieć coś obowiązującego, skoro sama krytyka ukraińska nie może się dotychczas pogodzić: jedni odmawiają tym utworom wszelkiej wartości, inni uważają za poważne osiągnięcia.

“Ogród Getsemański” Bahrianego (wcześniejszych “Łowców tygrysów” nie znam) potraktowany został przez krytyków niesprawiedliwie. Przy wszystkich swoich wadach artystycznych, jest to wstrząsający dokument walczącego człowieka, a przy wszystkich przerostach i opuchlinach formalnych i treściowych, daje stronie i rozdziału na wysokim narracyjnym i psychologicznym poziomie. Ale cóż... skoro niektórzy podają w wątpliwość nawet jej wartość dokumentalną...

Temperament publicystyczny Kosacza narobił mu tylu wrogów, że każda nowa książka tego płodnego i ambitnego pisarza budzi najsprzeczniejsze opinie i oceny. Bujny i barokowy, chętnie goniący za zewnętrznymi efektami, nie zawsze znajduje jednolity styl artystycznego wyrazu i okręt jego prozy, unoszony żaglami ekspresjonistycznego liryzmu, równie dobrze przybija zwycięsko do portu, jak osiada na pierwszej lepszej mieliźnie. Ale te nowele i fragmenty większych całości, które znam (“Rubikon Chmielnickiego”, “Cezar stepów”, “Zaproszenie na Cyterę”), stanowią niewątpliwie wartościowe zdobycze, a przede wszystkim noszą zdecydowane piętno silnej i krwistej osobowości. Niektóre jego utwory doczekały się przekładu na język niemiecki, przy czym krytyka potraktowała je przychylniej, niż własni współrodacy.

Tradycjonalistyczną, niekiedy przeładowaną szczegółami archeologicznymi, powieść historyczną uprawiają Fedir Dudko (“Wielki hetman”) i Panas Fedenko (“Hetman Sahajdacznyj”); w poetyckiej prozie, niepozbawionej pewnych ech nietzscheańskich wybijają się wspomniany uprzednio Wołodymir Szajan; dobrą prozę wspomnieniową ogłasza Mychajło Bażanśkyj; doskonale, jeśli wierzyć krytyce, studium psychologii dziecka dał w powieści “Poranek” Oleksa Izarśkyj\*).

Ze zrozumiałych względów jeszcze mniej może autor powiedzieć o emigracyjnym teatrze. Żaden z utworów dramatycznych, wydanych w tych latach do mnie nie dotarł; również czasopiśma “Teatr”, drukującego urywki nowych dramatów, nie udało mi się wy dostać. Węć tylko z drugiej ręki wzięta garść telegraficznych informacji. Sztuka Samczuka “Huczaj żarna” oparta jest na tematyce wojny i zbrojnego oporu na Ukrainie; poetycka baśń Hordyńskieho “Włodarz gór” wykorzystuje całe bogactwo legend huculskich; trzy dramaty (“Wróg”, “Zuzula” i “Rzecz o Jerzym Zwycięzcy”) napisał Kosacz; “Generał”, “Pogrom”, “Morituri” — to tytuły sztuk teatralnych Bahrianego; feministyczna komedia Ludmiły Kowałenko, “Ksantypa”, została mocno skrytykowana, natomiast pisarka zdobyła uznanie dla swoich dramatów naturalistycznych (“Domacha”); Kostećkyj w “Bliznięta jeszcze spotkają się” poszedł po linii zachodnio-europej-

\*) O doskonałym, choć w warunkach sowieckich zmuszonym do ciągłych artystycznych i ideowych kompromisów, prozaiku Arkadiju Lubcence, autorze “Wertepu”, nie piszę, gdyż zmarł on w roku 1945, na progu drugiej emigracji i tym samym do omawianego okresu nie należy.

skiej komedii intrygi; dramat historyczny uprawia Łedian (trylogia “Hetman Bohdan Chmielnicki”).

Stawiając czoło wszystkim obciążeniom, wynikającym z nie-normalnej sytuacji, emigracyjna literatura ukraińska idzie naprzód i mimo wszystko tworzy poważne wartości. “Znajdujemy się w niekulturalnych warunkach — pisał przed pięcioma laty Jurij Kłen — w ciasnocie, często nie mając własnego kąta, często wśród ruin najbardziej zniszczonych miast, pod grozą utraty nawet tego kąta z twardym łóżem, gdzie prowizorycznie przytuliliśmy głowy. Jesteśmy ludźmi bez imienia i państwa, bez określonego obywatelstwa. A jednak uparcie trwamy na naszym wędrownym szlaku i nie chcemy z niego zbroczyć... I w tych ciężkich warunkach życiowych, zdani na łaskę obcych narodów, nadal tworzymy swoją kulturę”.

Istotnie, tułactwa na taką skalę, w takich rozmiarach żaden naród, prócz polskiego, w dziejach nowożytnych nie zaznał. “Narodem w wędrowce” nazwał drugą emigrację ukraińską Julian Kardosz w jednym z numerów “Kultury”. A przy tym naród, dla znakomitej większości mieszkańców krajów, w których rozbija swoje wędrowne namioty, nieznan nawet z imienia. Na ukraińskich emigrantów spadł więc podwójny obowiązek: nie tylko “nadal tworzyć swoją kulturę”, ale i złożyć przekonujące świadectwo swego istnienia, swej obecności narodom szerokiego świata. Trudne to zadanie, bo nie wystarczy przyjść do intelektualistów amerykańskich z — znakomicie zresztą redagowanym — “Kwartalnikiem Ukraińskim” w języku angielskim, ani podjąć inicjatywy angielskiego wydania ukraińskiej Encyklopedii. W naszej przełomowej epoce nie dość bowiem walczyć o prawo do samodzielnego życia, choćby się na to prawo po tysiackroć zaaszczyło; trzeba dźwignąć je do ideału, to znaczy nadać swym narodowym racjom sens uniwersalny. Emigracyjny smutek, tęsknota za utraconą ojczyzną, jakże ludzkie i usprawiedliwione, ważą same przez się niewiele. To, o co wołali i rozbijali się wszyscy wielcy Ukraińcy, od Pantelejmona Kulisa po współczesnych: wyjście z własnego regionu w świat — może się udać tylko pod znakiem odważnego włączenia się w prąd myślowe, tym światem wstrząsające, podjęcia ogólnoludzkich problemów w najszerszych perspektywach i wreszcie — choćby tu podnosiły się najostre sprzeczności — rewizji “ukrainizmu”, jeśli można tak się wyrazić, w skali geograficznej i historycznej, zdecydowanie przekraczającej magiczny krąg własnej ojcowizny. Bez zaściankowej pruderii i kompleksów, bez demagogii patriotycznej i ulegania frazesom, bez uciekania w “wiśniowe gaje” i pod cień naddnieprzańskich topoli, nawet gdyby były one najpiękniejsze na ziemi. Zachować wierność swemu sztandarowi potrafi każdy kto mężny; ale aby dostrzymać kroku historii, trzeba się zdobyć na coś więcej, niż męstwo.

Sądzę, że czytelnik polski zastosuje bez trudu niejedną z rozsianych tu uwag i do naszej własnej sytuacji emigracyjnej. Zaś ci Polacy, którym wzajemna nienawiść nie zamąciła jasnego widzenia rzeczy i spraw, i którzy nie pozbyli się tradycji polskiej rycerskości, będą wraz z niżej podpisanym życzyli powodzenia w wysiłku kulturotwórczym naszemu wschodniemu sąsiadowi. Temu sąsiadowi, od którego dzieliło nas tyle i dzieli po dzisiejszy dzień nie łączy wspólna klęska i wspólna tragiczna dola.

Józef ŁOBODOWSKI

*Redakcja „Kultury” zamierza systematycznie omawiać sprawy ukraińskie jak również stosunki polsko-ukraińskie. Do tego celu niezbędne są materiały: książki i czasopisma. Dostajemy ich dużo — ale nie wszystkie. Zwracamy się na tym miejscu do wydawnictw i pisarzy ukraińskich z prośbą o systematyczne nadsyłanie nam wszystkich ukazujących się prac i druków w dwóch egzemplarzach.*

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

*jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.  
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.*

*W każdą niedzielę dodatek.*

*Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,  
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,  
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.*

*Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo  
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)*

*Redakcja, administracja, drukarnia:*

*17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau  
US Zone, Germany.*

## «Fortuna Cezara»

«...Najzasłużniejszy pisarz, który 50 lat pracował w nędzy dla narodu, i były członek Rządu, Joachim Lelewel, pochowany jest dans la fosse commune i nie ma kawałka kamienia pomnikowego od narodu. Gdyby to był hrabia Kopciszewski, którego rodzi hrabina Popciszewska, miałby niezawodnie pomnik».

*...żaluję tylko, że być może,  
Iż nawet grobu mego mieć nie będę,  
Tak, jak prosiłem o to mych przyjaciół.*

Dopełnieniem krzywdy, której Norwid doznał od współczesnego mu społeczeństwa, jest że dotychczas nie doczekał się indywidualnego kamienia grobowego mimo jego usilnych prób kierowanych do przyjaciół. Chciał mieć ten kamień jako jedynę *mienie* pielgrzyma, kamień, który przechowa jego imię na *pourót*, przez niego samego zapowiedziany.

Mija już pięćdziesiąt lat od czasu tego «powrotu» — wskrzeszenia poety przez Miriama, a prochy Norwida wciąż czekają w swojej «fosse commune» na płytę grobową.

Znając nawet pobieżnie dzieło Norwidowe, obojętność ówczesnego społeczeństwa polskiego, włącznie z najwybitniejszymi jego przedstawicielami, obojętność spychająca poetę już za życia do grobu, wydaje się nam dziś niepojęta, a tłumaczy ją ponieważ kilka przyczyn. Pierwszą z nich był chyba blask jego poprzedników, zwłaszcza Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego, który olśnił współczesnych, a następnie nowatorstwo formy, oryginalność indywidualnej myśli, bardziej powszechnej, historycznej, «globowej», aniżeli aktualnej i narodowej, wreszcie też drażliwość i pełne bolesnych urazów usposobienie poety.

Ale dlaczego jeden z najwymowniejszych, najzupełniej jasny wiersz Norwida, napisany przed samym pogrzebem Mickiewicza (styczeń 1856), «Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie?», przesłany na ręce Bohdana Zaleskiego, został wyszperany i wydrukowany dopiero w r. 1908, czyli z opóźnieniem 52 lat? Jeżeli tak postępował z rękopisami serdecznego przyjaciela *poeta* — czegoż można było się spodziewać po innych?

Dlaczego Krasiński, który pierwszy wyciągnął do Norwida rękę w Rzymie, który zostawił nam nieporównanego uroku



portret jego z tych czasów, w listach do Delfiny Potockiej (...fantazji ogrom i tkliwości). Ogień w alabastrowym naczyniu. Sto luciołek skupionych razem w duszę jedną. Choroba, nędza, a wszystko to w tęczy — »), który chyba również w Rzymie, może po przeczytaniu poematu «Quidam», powiedział mu w uniesieniu: «Pisz, pisz w imię Języka Polskiego!» — nie otoczył następnie należytą opieką twórczości przyjaciela? Wszyscy oni, bo i Krasinski, i Adam Potocki, i Roger Raczyński, i Czartoryscy wspierali go nieraz, pod postaciami zamówień, lub kupna obrazów, jak wspierali innych emigrantów w potrzebie, dając być może pełną dziesięcinę dochodów ze swoich magnackich dóbr, ale uwzględniający nawet nadwrażliwość Norwida, musiał być jakiś brak dotkliwy w tych datkach, skoro zostawiały tak gorzki posmak u obdarowanego.

«... żaden dar bez dania czegoś z siebie nie jest przyjmowalnym» — określał poeta «tej prostej obyczajności maksymę». Wspominając zaś kontrakt zawarty z Potockim, pisał: «... ten Pan nie nabrał jeszcze wprawy w Mecenasowski piękny zawód i nie umie szanować pióra mego. (Jak wszyscy hojni ludzie *favoryzuje nie ocenia*, co i jednej i drugiej stronie niewygodne i ubliżające)».

«... mam znajomych i przyjaciół sporo w arystokracji polskiej... — przyznawał w r. 1872. — Prawda! — Oni nawet kiedy postawią mi nieszeptny grób i, gdybym przyjął, daliby jałmużnę. — Lecz co do zajęcia się rzeczą umysłową, albo oceną jej, to przecież zawsze są zajęci czy to kuracjami u wód, czyli spekulacjami kursowymi»...

Żaden z tych możliwych przyjaciół, którzy go tu i ówdzie «favoryzowali», nie uznał za wskazane zabezpieczyć korespondencji poety (ani też pomyśleć o tym upragnionym grobie). Mimo «odysseicznych wędrówek» Miriama i jego starań trwających lat dziesiątki, z wielu przyjaznych stosunków poety i długoletniej wymiany korespondencji nic się nie dało odszukać. Nie znaleziono ani listów do Antoniego Czajkowskiego, któremu Norwid dedykował w r. 1842 «Pióro» a w r. 1865 «Fortepian Szopena», ani listów do Władysława Wężyka, z którym kilkakrotnie wędrował po kraju, i do Włodzimierza Łubieńskiego, zmarłego w wieku 24 lat, który, zdaniem Norwida, «był najgenialniejszy pokolenia całego mego człowieka» i którego pamięci poświęcił «Promethidiona»; nie odnaleziono ani jednej odpowiedzi Norwida na zachowane listy Zofii Węgierskiej itd.

Czy p. Maria Kalergi-Muchanowa wyróżniła chociażby listy poety z reszty korespondencji swoich «świętecznych czcicieli»? Nie wiemy, ale nie odnaleziono ani jednego bezpośredniego słowa Norwida do tej, która była jego «śmiercią i życiem».

To, co z jego listów doszło rąk naszych w formie pewnej ciągłości i całości, zawdzięczamy przede wszystkim rodzinie Zaleskich i kilku kobietom, jak Maria Trembicka-Faleńska i Konstancja Górską, wierna korespondantka aż do śmierci poety. Ten tak bardzo niekompletny zbiór obejmuje jednak 846 listów.

Niechęć współczesnych jak również ich obojętność przeszły już po śmierci poety na «synów». Stanisław Tarnowski w swojej Historii Literatury Polskiej (ok. 2.500 stron) nie wspomina ani jednym słowem o dziele Norwida.

Władysław Mickiewicz opowiadał mi przed laty, że odnalazł w papierach rodzinnych całą garść biletów wizytowych Norwida, a każdy był inny, to wykrojem czcionek, to winięta: listkiem, wianuszkami, gołąbkami.

— Pan je zachował?

— Nie, gdzieżby! — odparł z lekceważeniem. — Pozerstwo!

Jeżeli tyle znalazło się biletów, to ileż było wizyt poety składowanych Mickiewiczowi, o których nic nie wiemy poza tymi z «Czarnych Kwiatów» i z kilku wzmianek listowych?

«Widziałem niedawno Pana Adama — donosił w r. 1851 Zaleskiemu — który jest dziwnie miły teraz i w blasku prawdy swojej — prosty — słodki — ... Nie bywam tam często, owszem, jak najoszczędniej — ... chórów greckich nie lubię, a ten wielki człowiek ma ich dwa — jeden *echem* mu, drugi *śmiechem* — oba niechrześcijańskie!».

«Pono Pan Adam w Fontainebleau — pisał nieco później do tegoż Zaleskiego — jeżeli będziesz de omnibus rebus mówił, to i od nędzoty mojej rzewnie racz go pozdrowić!».

«Widzisz — jak mi biedno i ciasno — skarżył się Zaleskiemu tego samego roku — Pan Adam jeden, lubo rzadko niezmiernie go widuję i lubo szeroko nie mawia, serdecznie mnie uściśnię, jak spotka gdzie — ci co się sami nadarli po tej bronie żelaznej, to czują choć nie mówią!»

W odczytach o Słowackim, rozważając zagadnienie «warstw» i «stron» prawdy, które się dają wyrazić, powiada, że «drugi prawd okres dla uwydatnienia swojego potrzebuje dramatu życia — *paraboli*. Powieści i pogadanki paraboliczne Mickiewicza dramatyzowały życie prawdy opowiadanej — ale któż je spisywał i cenił w ostatnich Mickiewicza latach? Oskarżę tu, że upominałem o to za życia Adama — któż to podjął? Zginęły!».

Może ktoś powtórzył Władysławowi Mickiewiczowi to oskarżenie a także opinię Norwida, wyrażoną w ostatnim roku życia w liście do Zaleskiego:

«Młody Mickiewicz robi ze swego papy to, co Francuzi robią *palinodyami z Wiktorem Hugo* — czyli, że to nie będzie ani człowiek, ani pisarz, ani poeta, ale *Fenomen* — jest to smętnem, bo fenomena pokazują na Jarmarkach! *Palinodyostawia!*»

(Norwid chyba pierwszy wytknął Władysławowi Mickiewiczowi już w r. 1882 to sławienie przez zaprzeczenie cech człowieczeństwa, co Boy nazwał brązownictwem).

Czy dlatego nie znalazł się ani jeden list Norwida do «Pana Adama» w 2-tomowej korespondencji Mickiewicza (listów pisanych do niego), ogłoszonej przez syna? Nawet nie ów protest przeciwko «Składowi Zasad», protest, któremu Norwid przypisywał niemałe znaczenie?

Inaczej, ale bez żadnej czujności, niestety, odniósł się w mło-

dości do swego dziwnego krewniaka z Przytułku św. Kazimierza Konstanty Komierowski, pasierb Ksawerego Norwida, brata Cypriana, uroczy i, na swój sposób, bardzo kulturalny pan.

— Matka — opowiadała mi — przekazywała Norwidowi przeze mnie niedużą ale stałe wypłacaną rentę. To mu nie wystarczyło... zdaje się, że lubił niekiedy zaglądać do kieliszka... A jak tylko coś nie było po jego myśli, to chwycił za parasol i mówił: «Jak tak, to wyjeżdżam do Ameryki!». A zresztą — przerwał p. Konstanty moją indagację — trochę zirytowany i zawstydzony, byłem młody, jechałem do Paryża, żeby się zabawić, cóż mnie wtedy Norwid mógł obchodzić?

Stały i do dziś dnia stawiany poecie zarzut, to jego «niezrozumiałość». Dlaczego ten skomplikowany szyk wyrazów, ta mania słowotwórcza, te enigmatyczne skróty?

*On skarży się na ciemność mej mowy —  
Czy choć świecę raz zapalił sam?  
Sługa mu ją wnosił pokojowy...*

W rozprawie «Światłość a Ciemność», która była odpowiedzią Cieszkowskiemu i Krasińskiemu na podobne zarzuty, powołuje się poeta na słowa z Ewangelii św. Jana: «Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły». «I każda inna światłość nie jest z tej światłości, — dodaje, — ale z tej, której koniec — która się pożera sama sobą — która się potępia sobą, co dzień, co gazeta, co cytacja... Ale się zniszczy i pozrze».

Czy zresztą mógł się wyrażać jasno człowiek, którego nikt nie słyszał, któremu nikt nie odpowiadał, któremu żaden słuchacz nigdy w życiu nie nie *dośpiewał*, którego myśli nikt nie «przytulił do łona swej duszy», którego nieliczne utwory drukowane przeszły bez echa, który na swoje arcydzieła nie mógł znaleźć wydawcy, mimo niestrudzonych i niezliczonych zabiegów?

Dosyć wspomnieć o kolejach zbioru «Vade mecum», stu wybranych i najstaranniej dobranych liryk.

*Złożone ze stu peretek nawlektych  
Logicznie w siebie jak we tzę tza wciętych...*

zbioru odsyłanego z rąk do rąk, od wydawcy do wątpliwego przyjaciela i znowu do innego wydawcy przez całe lat *czternaście*, dzieje zakończone gorzką wypowiedzią poety, że już nikogo szukać nie będzie, żeby go zrozumiał w administracji jego prac — «bo nie ma z kim gadać o tem»...

«Potrzebuję *na głos* coś powiedzieć — wyznawał przyjacielowi, posyłając mu jeden ze swoich rękopisów — jak ten co w głuchej samotności wypuszcza słowo, żeby przeciw głos człowieka usłyszeć»...

«Oto krewni moi — skarżył się innym razem — poniekąd milionowi i przyjaciele istotnie milionowi pracowali i pracują usilnie nad tem, ażeby mnie i moją całą żywotność umysłową

zdeptać nogami i na śmiecie wkopać i zatrzeć, i oddalić od wszelkiego życia — pytając tylko, nie czem pomódz do czekających rozwoju prac? jak żywi i chrześcijańscy — ale pytając tylko, czy już dobrze krwią pluje? czy już chyli się?... bo śmierć tylko śmierć węszy i pojmuje»...

Na niejaką obronę tych krewnych i przyjaciół, redaktorów i wydawców trzeba przypomnieć, jak nieustępliwe bywały warunki Norwida: dyktował bezapelacyjnie terminy wydania: «trzy tygodnie po odebraniu rękopisu» — pisał do Mieczysława Pawlikowskiego; «...nie sprzedam inaczey jeno z *zareczeniem na piśmie*, iż w ciągu dwóch miesięcy wyjdzie w druku» — oświadczał w sprawie poematu «Quidam Krasińskiemu. W razie niedotrzymania terminu żądał zwrotu rękopisów, zniszczenia ich, lub wymazania jego nazwiska. Zrażał albo zniechęcał swoich najlepszych przyjaciół pogardliwym sarkazmem, bezkompromisową surowością swoich sądów; gdy go proszono o wspomnienie o Krasińskim: «Gdzie? Komu? — pytał — palcem dotknąć żadnego dziennika nie warto».

W takich warunkach i przy takim usposobieniu poety ile utworów jego zaginęło bezpowrotnie, ile sam zniszczył w chwilach rozpacz, ile poszło do kosztów redakcyjnych? Nie miał czasu sporządzać odpisów gnany do ostatniej chwili wewnętrznym nakazem tworzenia oraz nieubłaganą troską o chleb powszedni.

*...bez blasku chwały  
I bez niecnoty blasku —*

Na kilka miesięcy przed śmiercią zamierzał wysłać Zaleskiemu rękopis poematu miłosnego, który określił jako swoje «male arcydzieło». Pytał: «...jaką pewną drogę wskażesz do przesłania rzeczy, która jest fortuną Cezara?».

W tym samym roku zbierał jeszcze materiały do «Kleopatry» (tragedii historycznej). Z dalekiego Ivry jeździł do bibliotek paryskich, żył w kręgu Cezara. Ów list, jeden z ostatnich, gdzie mówił ponadto o nowym odkryciu, «jakiego jeszcze nie zrobiono», tchnie otuchą i wiarą w swoją gwiazdę, wiarą, która go niekiedy nawiedzała w chorobie i nędzy, wyzwalając od nękającej trwogi. Podobnie Cezar w kruchej łodzi na wzburzonym morzu zaufał swojej fortunie.

(Ale co się stało z poematem miłosnym, «Fortuną Cezara»...)

W takich dniach Norwid wiedział, że *wróci*, w swoim czasie wróci i że go wtedy *posłyszają*, mimo że *jego* już tu nie będzie.

Nie zawiedzie go jego fortuna!

*Dość jest, jeżeli z wierszy tych zostanie  
Dwa w życiu, jeśli medalem przystawia  
W skarbonkę słowa wierszy stąd dwa wkanie...  
Skończyłem.*

*Życzę-ć, czytelniku, zdrowia.*

«Pisz, pisz! W imię Języka Polskiego!» — mówił Zygmunt. Jaki był stosunek Norwida do jego wielkich poprzedników? Dwukrotnie wkłada poeta w usta Tyrteja Lacedemońskiego tajemnicze słowa:

*Cedr nie ogrody, lecz pustynie rodzą,  
Próżnia kotłuską olbrzyma;  
Wielcy poeci dopiero przychodzą  
Kiedy ich niema!...*

A przecież było ich trzech kiedy przyszedł...

*Nie wziąłem od was nic, o! wielkoludy,  
Prócz dróg zarosłych w piotun, mech i szalej,  
Prócz ziemi klątwą spalonej i nudy...  
Samotny wszedłem i sam błędzę dalej.*

Nic nie wziął, nigdy się z nimi nie równał ani porównywał, nigdy też w listach jego, ani w poezji, ani w rozprawach nie zadźwięczała nuta zawiści. Dla innych był przeznaczony czasów. Poważając, umiał się różnić, szlachetnie się różnić jako «sługa prawdy».

Spotkanie z Mickiewiczem odbyło się również w Rzymie w początkach r. 1848. Bliskie porozumienie zbliżyło wtedy Norwida do Krasińskiego, ale Mickiewiczowi, twórcy «Składu Zasad», kategorycznie się sprzeciwił i manifestacyjnie opuścił zebranie, na którym omawiano formacje Legionu i wybór dowódcy, ku oburzeniu sejmikujących rodaków.

«Nie umiem powiedzieć — pisał do gen. Jana Skrzyneckiego — jak mnie to wiele kosztowało. Widzieć się przymuszony tak wielkiej sławie narodowej i siwym włosom prawdy gorzkie słowa powiedzieć»...

«Pojmujesz — dodawał w liście do Zaleskiego — iż milejby mi było ucześć się do tej *Sławy-staw* narodu i za chorągwią jej popłynąć, niżli zaprzeczyć mu i zostać *niepostępowym* maruderem! — Ale cóż było robić?!»...

Pamiętajmy, że Norwid miał wtedy 26 lat, a Mickiewicz 49. Że Mickiewicz przeraził go w owe dni swoim «mistycznym radykalizmem» i tą rysą, którą określił jako pęknięcie «sprężyny, która zarazem jest wędzidłem»: wyczuł w nim gwałt w stosunku do ludzi, którymi chciał zawładnąć, dobijanie się o «rząd dusz» zapowiedziany w «Improwizacji».

*A jeżeli się sprzeciwią,  
Niechaj cierpią i przepadną.*

«Na niczem osadzić się nie można w stosunkach z nim — pisze Norwid — ... i chyba niewolnikiem jego zostać trzeba».

W dwadzieścia lat później, zdając sprawę z wypadków rzymskich w r. 1848, pisał:

«Jak i co to było za uznanie, którem onego czasu Mickiewicz otoczony był, to o tem dziś mało kto wie, a pochodziło to, jak do dziś i zawsze u Polaków, z tej przyczyny, iż nikogo nigdy nie oceniali i nie cenili — nigdy! — zawsze: albo lekceważyli, albo bałwochwalili, z powodu, iż rzeczy te dwie same przez się robią się, bez osobistej usilności».

To rzymskie przeciwstawienie się bynajmniej nie popsulo, jak wiemy, stosunków wzajemnych i kiedy Norwidowi przyszło porzucić stary ład i swoją złą dolę, pozostawiając za sobą stos odrzuconych rękopisów, kilka połamanych ołówków i zardzewiałych ryłców, to jeszcze on, niedoceniony poeta, wyciągnął rękę do Mickiewicza, od tyłu już lat zamilkłego, prosząc go o słowo-proroctwo:

*Z ogromnych lasów na słońce zachodu,  
Jak ptowe ptaków stada, wyglądają  
I dostrajają cichy świegot głodu  
I ręki, ziarnem promiennej, szukają...*

*Rzuc jeszcze ponad południkiem globu  
Perłowych tęczę ziarn, o siewco jary...*



Słowackiego poznał Norwid na kilka miesięcy przed jego śmiercią. On to jakoby, zdaniem Tarnowskiego, zaniósł Zygmuntowi odpowiedź Słowackiego na «Trzy psalmy». Wspomnienia tych ostatnich spotkań utrwalił w «Czarnych kwiatach».

Po latach, nie znalazłszy o nim w wykładach o literaturze słowiańskiej «ani jednego prawie słówka», zrobiło mu się wstyd «takiego personalizmu, lubo personalizmu geniusza», i postanowił Słowackiego «podnieść». Stąd powstały w r. 1860 owe odczyty o Słowackim «w sześciu publicznych posiedzeniach», jedno z nielicznych wystąpień Norwida, którym zwrócił na siebie uwagę. Odczyty owe ukazały się drukiem w następnym roku.

Braterski hołd złożony umarłemu.

Śmierć Krasińskiego przeboleł Norwid podwójnie, jako Polak i jako przyjaciel. Z ich bliskich, serdecznych stosunków, dysput, poróżnień i pogodzeń pozostał *jeden jedyny* list Norwida do Zygmunta z marca 1858.

«...Piszę na stoliku, na którym opierał się Zygmunt — donosił gen. Skrzyneckiemu po śmierci przyjaciela, — kiedy nie wiedziałem, że raz ostatni mówię z nim, a jednakże tak Bóg chciał, iż w tej rozmowie wszystko zawarło się, co nieledwie ukoilo mi i ukaja po tej ogromnej stracie. Wielki to jest szwank postradać *szlachetnie różniącego się przyjaciela*, w tej epoce zwłaszcza, w której łatwiej może napotkać ludzi zapamiętałe się kochających, niż umiejących szlachetnie i z miłością różnić się».

Zygmunt umarł ostatni z trójcy wielkich poprzedników Norwida. Z ich laurów nie wziął poeta

*Listka jednego, ni zabczka w liściu,  
Prócz może cieniu chłodnego nad czołem...*

Chciał uczcić ich pamięć.

«...mógłbym — pisał do Pawlikowskiego w kraju — (jak przeboleję jeszcze nieco i uspokoję nerwy spazmem stargane...) mógłbym zebrać noty i dać *trzy medale*, ścisłą legendą ich trzech, bo już oto z oczu mi poszli we trzech...

«Zrób układ za mnie, znajdź księgarza, który mi wyda w 3 tygodnie po odebraniu rękopisu książeczkę nieco grubszą od tej o sztuce... a przyślę ci o Adamie, Juliuszu i Zyguncie — 3 medale...

«Własnym kosztem niedawno oto wydałem, więc nie mogę, bo i tak ciężko mi żyć, ciężiej skarżyć się».

Nie znalazł się ani księgarz-wydawca, ani potrzebny na wydanie malej książeczki grosz — «Trzy medale» nie zostały napisane.

Tyle lat minęło od tamtego czasu ale wstyd tej niedbałości i tej głuchoty zdaje się do dziś dnia palić nam czoło, jak grzech nieodpokutowany.

«Jestem w długach, zmęczony — nie spotkałem nigdy zrozumienia i ocenienia u swoich. — Ile razy serce otworzyć chciałem, otwierano mi drzwi» — pisał poeta w r. 1872, a na rok przed śmiercią wyznawał: «Z ojczyzny przez kilkadziesiąt lat wygnania i walki nie odebrałem nigdy nic miłego ani konsekwentnego — NIGDY NIC».

Norwid nie doczekał się nagrobka ani od dalekiej rodziny, ani od rozproszonych lub odumartwych przyjaciół, ani od ówczesnej arystokracji polskiej, tych bene nati et possessionati, od których tak wiele wtedy zależało, ani też od Miriama. Ta powinność przypadła naszemu pokoleniu emigracyjnemu nie tylko «wnuków» ale też i «prawnuków». Projektowany nagrobek nad wspólnym dołem, gdzie szczątki poety tyle lat spoczywały w zapomnieniu, nie wyrówna jeszcze krzywdy, którą poniósł, bo ilu z nas dziś, w rozproszeniu, zdołało mu odpiąć z niewagi tą czujną uwagą, która «wzrusza martwe znaki»? Kto z nas zna Norwida, kto ma możność go poznać? Komu jest dane posiadać oba tomy jego korespondencji (t. 8 i 9 «Wszystkich Pism» w wydaniu Miriama), albo t. 5 «Prozy epickiej», t. 6 «Pism o sztuce i literaturze» oraz t. 7, wydany w ub. roku w Kraju? Kto ma «Dzieła» Norwida w wydaniu «Parnasu Polskiego» (żadna z bibliotek paryskich włącznie z Biblioteką Polską ich nie posiada). W Polsce wydano podobiznę autografu «Vade-Mecum», z przedmową i notami śp. prof. Wacława Borowego, fotokopia, na której można śledzić charakter pisma i stopniowe, w ciągu długich lat, wnoszone przez autora poprawki,

nieraz prawie nieczytelne. W kraju wyszło również dzieło Tadeusza Filipa «Fortepian Szopena», o charakterze wprost egzgetycznym, oraz szereg studiów i nowych wyborów jego poezji.

Prawda, że niektóre lapidarne wypowiedzi Norwidowe, skróty myślowe, obrazy poetyckie, kute i odważone jak *medale*, są przytaczane dziś równie często, o ile nie częściej, niż mickiewiczowskie cytaty: służą jako tytuły książek, motto artykułów, hasła społeczne, bywają wplatane jako ilustracje poetyckie do prozy opisowej itd., to jednak nie świadczy bynajmniej o znajomości, ani o należyтым *oceniu* dzieła poety-myśliciela.

«Wszyscy uczyliśmy się dziś Norwida» — powiedział mi, jeszcze w Polsce, jeden z jego entuzjastycznych wielbicieli nie historyk literatury, ani teoretyk prozodii, ani też poeta z zawodu, ale świątobliwy kapłan, kaznodzieja, misjonarz...

Pisałam o Norwidzie jego własnymi słowami. Oby zabrzmiały żywym głosem poety, który już 68 lat temu «odszedł w świat niewidzialny, zmarszył tu».

Maria CZAPSKA

## "ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI  
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,  
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:  
WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A :  
WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,  
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:  
WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV<sup>e</sup>,  
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal  
Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

## Na marginesie nagród literackich

Jury literackie na emigracji nie jest — mimo pozorów — instancją równoznaczną z takimiż zespołami w krajach wolnych. Różni się od nich przez sytuację utworów, o których wypada mu orzekać, jak i przez skutki swego orzeczenia.

Książki polskie drukowane w kraju — podobnie jak książki ukazujące się w krajach wolnych — figurują w bibliografii, są omawiane w czasopismach i rozsyłane do bibliotek. Mimo szybkich zmian w ocenie i cenzurze książek, utwór raz ogłoszony w kraju nie może zniknąć całkowicie z pamięci i możliwości wglądu. Los książek ogłoszonych w rozproszeniu emigracyjnym jest znacznie mniej pewny. Żadne pismo emigracyjne nie prowadziło dotąd systematycznego przeglądu publikacji. Znane są różne oceny in globo literatury emigracyjnej, brak jednak dotąd próby inwentaryzacji najważniejszych chociażby utworów ogłoszonych przez emigrantów.

W Szwajcarii mieszkali za wszystkich czasów emigranci polityczni z różnych krajów. Niektórzy — jak np. Dragomanow — posiadali tam nawet własne drukarnie. Robiąc poszukiwania w centralnej bibliotece szwajcarskiej, gromadzącej wszystkie druki krajowe, przekonałem się, że przeważna część książek ogłoszonych w Szwajcarii przez emigrantów znikła bez śladu, nie zostawiając po sobie ani jednego egzemplarza, a często nawet i pamięci. Wybrałem ten przykład dlatego, że Szwajcarii nie znała wojen, okupacji ani innych wypadków powodujących niszczenie książek.

Ten sam los grozi publikacjom obecnych emigrantów. Niebezpieczeństwo to jest tym większe, że społeczna ocena wartości książki uległa od XIX wieku wielkim przemianom i — jak można wnosić chociażby z ostatnich publikacji UNESCO na ten temat — książka nie korzysta dziś z prerogatyw i ochrony prawnej, jakie przysługiwały jej jeszcze niedawno. Konfiskata "Kultury" w Szwajcarii wskazuje, że wydrukowane drogą tyłu ofiar książki emigrantów mogą być bezkarnie deptane na ochotnika przez pierwszych z brzegu barbarzyńców.

Jury emigracyjne rozważa więc i wybiera książki nie figurujące w żadnej bibliografii, nie omawiane przez krytykę i nie korzystające z opieki i praw przysługujących innym książkom. Nie opłacające kosztów druku, odcięte od swych nabywców i czy-

telników, publikacje emigracyjne z natury rzeczy znane są tylko stosunkowo niewielkiej i przypadkowej ilości osób.

Dla tych przyczyn nagrody literackie na emigracji — zwłaszcza wobec mnożenia się ich — posiadają pewne znaczenie inwentaryzacyjne. Są — w braku innych — czynnikiem chroniącym pewną ilość książek wybranych od zagłady i niepamięci. Uważałbym za pożądane, aby czasopisma emigracyjne ogłosiły listę książek, które zostały dotąd wyróżnione przez nagrody literackie.

Skutki wyróżnienia przez jury emigracyjne są również odmienne od skutków innych nagród literackich. Lista nagrodzonych nie jest zazwyczaj przewodnikiem dla późniejszego historyka literatury, który dokonuje najczęściej innego wyboru. Żadne jury literackie nie powinno mieć pod tym względem złudzeń. W normalnych warunkach nagrody literackie posiadają jednak ważne skutki doraźne. Nawet późniejsza nagroda literacka francuska lub amerykańska dostarcza laureatowi długotrwałych korzyści materialnych: rozszerza w istotny sposób zakres jego czytelników i przez to zapewnia możliwość wydania kilku następnych książek. Obok otaczającej je powierzchownej sensacji, nagrody literackie są czynnikiem podtrzymującym materialnie życie literatury.

Nagroda jury emigracyjnego nie pociąga za sobą takich skutków. Nagrody nie pokrywają kosztów druku i nie mogą zyskać autorowi nowych czytelników, ponieważ liczba ich na emigracji jest z natury rzeczy ograniczona i stanowi niejako numerus clausus. Nagroda jury emigracyjnego jest więc przede wszystkim i wyłącznie niemal wyróżnieniem honorowym. Materialna strona nagrody — suma zbierana długo ze składek — nie zmienia jej istoty. Jest jedynie świadectwem, że zawarty w niej zaszczyt nie jest pustym słowem, lecz — jak wszystkie zjawiska społeczne tego rodzaju — wyrazem upornej woli zbiorowej i jako taki spada porównu na nagrodzonych i ofiarodawców.

Niepewny los książki i jeszcze mniej pewny los zawieszzonego w próżni pisarza sprawiły, że przez długi czas nikt nie zachęcał emigrantów do tego rodzaju działalności. Nie czyniły tego ani własne organizacje emigrantów, ani tym mniej społeczeństwa obce, wśród których przebywamy i które wysunęły w stosunku do nas jednomyślny i jednoznaczny program rozproszenia i asymilacji.

Nie zachęceni przez nikogo pisarze wytrwali sami, niejako przeciw wszystkim. Jeszcze bardziej uderzające jest pojawienie się wśród nas pisarzy młodych, niecbarczonych przyzwyczajeniem pisania. W ich samotnej determinacji jest coś łączącego wszystkich emigrantów, którzy wyszli na obczyznę bronić swych praw zbiorowych i indywidualnych i, rozproszeni i bezsilni, trwają w swej odpornej i bezskutecznej postawie, jak gdyby powtarzali wciąż w myśli słowa Willema Orańskiego: "Il n'est pas besoin d'espérer pour entreprendre ni de réussir pour persévérer."

Ta wspólna postawa łączy wszystkich emigrantów, nawet tych,

k którzy patrzą krytycznie na jej bezowocność. Lecz tylko pisarzom udało się dokonać czegoś, co ma szansę przetrwania nawet w razie całkowitego przeprowadzenia programu rozproszenia i asymilacji emigrantów. Wśród klęsk i niepowodzeń, z jakich składa się historia obecnej emigracji, utrzymanie się, chociażby w bardzo skromnym rozmiarze, piśmiennictwa polskiego na obczyźnie jest, jak dotąd, pierwszym, niespodzianym sukcesem. Złożył się nań wysiłek osób rozproszonych, trwających i działających indywidualnie, poza wszelkimi kadrami organizacyjnymi.

Wytworzenie się w najniepomyślniejszych warunkach, drogą indywidualnych i przekornych wysiłków, tak złożonego zjawiska społecznego jak literatura emigracyjna, jest świadectwem siły moralnej zawartej w postawie człowieka broniącego, chociażby samotnie swoich praw. Jest także napomnieniem i przestrożą dla wszystkich słabych w myśli, którzy — w naszym wieku propagandy i niwelacji — gotowi są brać zdanie większości za prawo i powszechność mniemania za dowód jego słuszności.

Fundowanie nagród literackich, podjęte również samorzutnie przez społeczność emigracyjną, jest dowodem trafnego rozpoznania tych faktów oraz próbą ustalenia ich znaczenia i zasięgu wśród chaosu zmiennych koniunktur i wypadków.

Samorzutna pomoc, jaką ofiarowuje społeczeństwo emigracyjne literaturze, jest z jego strony deklaracją łączności i solidarności z krajem. W warunkach obecnych nic zapewne nie może być silniejszym wyrazem tej solidarności, jak utrzymanie wspólnego języka i tradycji przekazanych przez literaturę.

Żadne jury literackie nie stawia sobie za cel samej tylko konsekracji talentów. Wszyscy jurorzy są zgodni w tym, aby nie kumulować wawrzynów i nie nagradzać autorów już wyróżnionych przez powodzenie. Zadanie swe widzą raczej w przedłużaniu listy wyróżnionych. Dla takiej taktyki jury emigracyjne ma szczególne powody. Wobec niewielkiej liczby piszących nie uda mu się odkryć talentów zapoznanych. Jury emigracyjne może jednak mieć ambicję zebrania rozproszonych po paru kontynentach resztek polskiego Parnasu i ukazania jednolitości jego inspiracji i tradycji.

Mój wybór był następujący.

#### Józef Łobodowski

Józef Łobodowski wyróżnił się sam, nie czekając niczyjej zachęty. Żywiołowa potęga jego talentu i dumna postawa pisarza emigracyjnego dały mu pozycję imponującą, do której żadne laury nie mogą dodać nic istotnego. Przyznanie mu nagrody jest czymś, co społeczność emigracyjna winna jest przede wszystkim samej sobie. Jest rzeczą zawstydzającą, że utwory Łobodowskiego pozostają rozproszone po czasopiśmie i nie doczekały się dotąd wydania w książce. Być może przyznanie nagrody przełamie tę obojętność i pozwoli na wydanie jego dzieł przez subskrypcję czy przez składkę publiczną. Jeżeli jakaś instytucja

otworzy taką składkę czy sybskrypcję, pragnąłbym figurować na liście primo loco.

Utrwalenie jego pism w formie książkowej jest niezbędne także z racji ich szerokiego promieniowania. Łobodowski jest spadkobiercą naszej wielkiej poezji romantycznej nie tylko w talencie, ale także w instynkcie politycznym. Mam tu na myśli tzw. szkołę ukraińską romantyków. Łobodowski pogłębił i uzupełnił tę tradycję przez swe przekłady poetów ukraińskich i białoruskich, podjęte z wyjątkową znajomością rzeczy, genialne w wykonaniu.

Jaki był sens "szkoły ukraińskiej" w czasach wielkiej emigracji? Była w niej próba wzięcia w posiadanie pamięci krajów i ludów odtraconych przez nieudolność polityczną Polaków i pochłoniętych — jak się wówczas zdawało — na zawsze przez Rosję. Była też myśl stworzenia wspólnoty ludów pod uciskiem moskiewskim lub bariery dzielącej Polskę od Rosji. Taki był instynkt polityczny wielkiej emigracji, jej reakcja na pojawienie się zielonych mundurów rosyjskich w Warszawie.

Czy "szkoła ukraińska" znalazła oddźwięk po drugiej stronie? Dzieła poetów emigracyjnych były mało znane współczesnym w Warszawie, tym mniej w Kijowie i Petersburgu. A jednak ślady ich znajdujemy nawet w biografii Gogola, który — jak wiadomo — porzucił mowę przodków, aby zostać wielkim pisarzem rosyjskim. Jedyna pozostała po nim stronica pisana po ukraińsku, jest to jego list do Bohdana Zaleskiego.

Z tych tradycji wielkiej emigracji wąski tylko strumień przedostał się do Polski niepodległej i jeszcze węższy do obecnej emigracji. Łobodowski znalazł dla tych tradycji nowe drogi, nowe formy i nowe audytorium po obu stronach granic etnicznych. Stworzenie przesłanek materialnych dla jego promieniowania jest zadaniem społeczeństwa emigracyjnego.

#### Teodor Parnicki

Teodor Parnicki ma lat 43, mieszka w Meksyku i pracuje obecnie nad nową powieścią historyczną. Dotąd ogłosił dwie powieści historyczne. Każda z nich jednak wymagała wielu lat uporczywych studiów, długich okresów skupienia, niezbędnych do wyczarowania z krótkich i niejasnych tekstów błyskotliwego obrazu przeszłości. Sama natura jego twórczości wyodrębnia Parnickiego z jego pokolenia, które — żyjąc w niespokojnych i zmiennych czasach — nie miało ani warunków ani ochoty do tego rodzaju studiów. Pokolenie to wydało przeważnie talenty naturalne, nieoszlifowane przez żadne głębsze studia literackie. Był to czas kultu talentów, i mało kto zdawał sobie sprawę, że Słowacki i Mickiewicz należeli do najwyższataceńszych ludzi swego czasu. Wśród swych rówieśników Parnicki jest pisarzem z cenzusem, pisarzem szkolonym, znającym doskonale łacinę, historię i wiele innych rzeczy.

Dzięki tym kwalifikacjom mógł Parnicki stanąć w pierwszym

szeregu odnowicieli powieści historycznej. Rodzaj ten znikł był na dłuższy czas z powierzchni literatury i zaczął odradzać się w formie stawiającej autorom wielkie wymagania. Nie jest dziełem przypadku, że odnowa jego zaczęła się w krajach anglosaskich, w cieniu starych uniwersytetów, gdzie tradycji klasycznych nie przerywały w ciągu wieków żadne wypadki zewnętrzne, i że do dzieła odnowy wzięli się najwykształceni pisarze naszych czasów jak Robert Graves i nieco później Thornton Wilder. W Polsce Parnicki był jedynym przedstawicielem tego rodzaju powieściopisarstwa.

Wypadki ostatnich lat nadały jego samotnej twórczości nowy, uderzający sens.

Kraj nasz przeżywa w tej chwili okres przymusowej rebarbaryzacji. Polska ma być cofnięta do roli jednego z plemion słowiańskich, które pod wodzą Rosji uczestniczyć mają w wspólnym pochodzie przeciw światowi zachodniemu. Polska wyrosła jednak dawno ze swych słowiańskich początków, przez wieki miała łączyć za język urzędowy i wydała sławnych łacińskich poetów. Nie mieści się więc w ponurym programie Trzeciego Rzymu i trzeba ją dziś ociosywać siekierą do rozmiaru przeznaczonego jej miejsca.

W tej perspektywie powieść Parnickiego o ostatnich Rzymianach stawiających opór barbarzyńcom nabiera znaczenia, które uszło uwagi czytelników. W chwilach klęski Polacy wracali zawsze do wspomnień klasycznych. "A przed nim leży Phedon i żywot Katona", pisał Mickiewicz. Parnicki jest dziś nawiązanym przedstawicielem klasycznych tradycji naszej literatury na emigracji, i wyróżnienie jego jako pisarza emigracyjnego będzie znamiennym gestem. Przypuszczam też, że rodzaj jego delikatnej pracy wymaga zachęty i znaku, że jego samotny trud został zrozumiany i nie jest nam obojętny.

Paweł HOSTOWIEC

Komitet nagrody literackiej, ufundowanej drogą zbiórki z inicjatywy i staraniem Polaków-gruźlików w Niemczech, na podstawie jednomyślnego orzeczenia jury przyznał dwie nagrody po 500 DM: powieściopisarzowi Teodorowi Parnickiemu, przebywającemu na uchodźstwie w Meksyku i poecie Józefowi Łobodowskiemu, przebywającemu na uchodźstwie w Hiszpanii.

Komitet był ukonstytuowany następująco: przewodniczący — mgr Jar Jar Janusz, sekretarz — Tadeusz Boliwa-Melka, skarbnik — Janina Lubczyńska.

Skład Jury był następujący: Jerzy Giedroyc, Paweł Hostowiec i Wojciech Zaleski.

## Sprawy i troski

### Les Ageux i niektóre inne sprawy

Należę do tych upartych ojców, którzy pragnęli jak najdłużej umożliwić swym dzieciom wychowanie w języku polskim. Nie brak, jak wiadomo, na emigracji takich, którzy nie czynią tej "strasznej krzywdy" swym dzieciom, lecz przeczornie wysyłają je jak najwcześniej do szkół dla tubylców. Ma to swoje dobre i złe strony, a decyzja zależy od punktu widzenia. Jeżeli się stoi na stanowisku, że Polska istnieje i że skończy się okupacja, to decyzja jest właściwie powzięta. Ułatwia ją pogląd, że dzisiejszy świat wygląda nieco inaczej niż świat XIX wieku.

Jak wiadomo, w tym XIX wieku kula ziemską podzielona była na państwa europejskie, ich kolonie, posiadłości i strefy wpływów. Świat dzisiejszy, a w jeszcze większym stopniu świat jutra są nieco inne. Unikam wyrażenia będą, bo dla ludzi obdarzonych wyobraźnią stosunki jutra, które się ukształtują w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, już są rzeczywistością. Otóż ten nowy świat, może nie zupełnie wspaniały, ale niewątpliwie pod wielu względami lepszy od wczorajszego wygląda tak, że istnieją samorządzące się narody różnych ras, które jednak nie są suwerenne, samowystarczalne i odcinające się od innych. Dlatego w całym świecie rozprzestrzeniają się w różnym stopniu ludzie różnych narodowości, wśród których wyraźnie odróżnić można kilka narodowości światowych. Można je spotkać wszędzie. Polacy niewątpliwie znajdują się na jednym z ostatnich miejsc wśród narodów światowych, ale wskutek dziwnego biegu dziejów Polaków, niewątpliwie do tej kategorii należą. Bardzo trudno przekonać niedowiarka, że tak jest istotnie. Trudność jest natury materialnej: trzeba by mu pokryć koszty podróży, dajmy na to, z Berlina przez Szwajcarię do Włoch, stąd przez Paryż do Londynu, przez Madryt do Kanady, z Kanady przez Stany Zjednoczone do Ameryki Południowej, a stamtąd przez Afrykę Południową i Indie do Australii...

Nie samo rozmieszczenie decyduje o światowości danego na-

rodu. Decyduje o tym także jego zdolność do tworzenia koncepcji jednoczących świat i służących światu. Otóż tę zdolność Polacy niewątpliwie posiadają z wyjątkiem prawie nie wchodzących dziś w rachubę tzw. kół politycznych.

Z tych powodów natury rozumowej uważam, że rodzice, którzy długo utrzymują swe dzieci w kręgu kultury polskiej bynajmniej nie czynią im "krzywdy", pod warunkiem, że równocześnie otwierają im oczy na świat i furtki prowadzące do tego świata w postaci umiejętności mówienia i pisanja jeszcze jednym czy dwoma językami.

Zadanie to staje się dziś coraz trudniejsze i osobiście znam tylko dwa skromne bastiony kształcenia młodzieży na poziomie szkoły średniej w kulturze polskiej, które jeszcze istnieją, z tego jeden na kontynencie europejskim, tj. Les Ageux.

Trudno powiedzieć w jak wielkim stopniu tradycja decyduje o duchu szkoły. Gdzieś do roku 1940 dla mnie, człowieka bez żadnej "bliższej Ojczyzny" w Polsce, najwyższą tradycją wychowawczą była tradycja Krakowa i jego uczelni. Była to przecież tradycja stolicy Polski z okręgu największej jej potęgi, tradycja najświetniejszej Uczelni Jagiellońskiej i tradycja niemal nieprzerwanej ciągłości polskiej szkoły.

Tradycja Les Ageux jest nieco inna. Wywodzi się ze szkół emigracji polskiej XIX wieku, a także z gimnazjum w Villard de Lans. Spośród uczniów tego gimnazjum w okresie "resistance" (wyrażenia tego używam tylko z uwagi na koloryt lokalny, skądinąd nie wiem, czy jest tu właściwe) Niemcy rozstrzelali trzech profesorów i 20 (dosłownie: dwudziestu) uczniów tego gimnazjum. Przez to tradycja Les Ageux jest bardzo warszawska.

Jest to tradycja strasznego przeciwieństwa między bohaterstwem bez miary i brakiem jego namacalnych skutków. Tradycja przeciwieństwa, które gnębi myśl polską od XIX wieku, ale najsilniej w latach ostatnich. Jeszcze do bardzo niedawna byłem zdania, że tradycja ta jest wspaniała, bohaterska, ale tragicznie bezcelowa. Teraz znów, widząc Zachodnią Europę, zaczynam mieć wątpliwości, ale wiem, że my sami tych wątpliwości jeszcze nie rozstrzygniemy. Niech więc nasi synowie wyrastają w tej tradycji, znając równocześnie wszystko, co powiedziano i napisano o jej tragicznej bezcelowości, niech wiedzą i czytają i o tym, że krew użyźnia glebę i o tym, że krew zamienia glebę w błoto i o tym, że się czasem krew po prostu sprzedaje.

Świadomość tych dylematów stwarza jednak o wiele lepszą atmosferę wychowawczą niż ta, jaką się tu i ówdzie w świecie spotyka, wyrastanie w tej świadomości wykształcić może ludzi, którzy zdolni będą do współtworzenia Europy — t r o c h ę lepszej Europy i świata, t r o c h ę lepszego świata.

Les Ageux jest szkołą, łączącą młodzież, jak się to mówi, "pochodzenia wojennego" z dziećmi górników, robotników i rzemieślników polskich, mieszkających we Francji. Jest dlatego

szkołą przymierza między starymi i nowymi czasy, jest szkołą najbardziej nowoczesnie polską.

Czy będzie nią długo? Nie wiadomo. Ta reduta jest mało efektywna i żąda nie takich ofiar, jakie zazwyczaj Polakom imponowały. Nie trzeba lekkomyślnie dla Les Ageux umierać. Trzeba zrobić coś, na co się zdobywamy o wiele trudniej: trzeba się wyrzec pewnych przyjemności i szkołę wesprzeć materialnie.

Władze czwartej republiki pomne faktu, że u genezy tej szkoły są 23 nazwiska padłych w szeregach walki o Polskę i Francję, uczniów i profesorów pozwoliły na naukę w Les Ageux, mimo iż tzw. ambasada nie była z tego zadowolona. Les Ageux stanowi bowiem przeciwwagę dla gimnazjum Lamandé, czyli reżimówki do niedawna cieszącej się we Francji wszelkimi przywilejami i oficjalnym uznaniem. Ochotniczym reprezentantem Francji-sojuszniczki w Les Ageux jest emerytowany profesor Cotaz, świetny wykładowca literatury francuskiej, jeden z tych, którzy "chwilowo" nie biorą żadnej pensji.

Problem Lamandé—Les Ageux jest problemem quasi hamletowskim dla profesorów, uczniów i rodziców tych ostatnich. W Lamandé profesor otrzymuje normalne wynagrodzenie. Za naukę, łącznie z dostatnim utrzymaniem uczeń płaci 4.000 fr. miesięcznie, a jak się tych 4.000 franków nie ma, nie płaci się nic. Tymczasem w Les Ageux od czasu wyczerpania resztek z dawnych czasów profesorowie otrzymują śniadanie złożone z kawy zbożowej i chleba z margaryną, najprostsze "obozowe" obiady i także kolacje, tudzież zaliczki: czasem 2, czasem 3 tys. franków na miesiąc. Uczniowie płacą 6.800 franków łącznie z utrzymaniem jak wyżej. Jeść czy też nie jeść — oto jest pytanie.

Nasuwa się mimowoli porównanie z tą uczelnią wyższą, w której "starannie" wybrani kandydaci mają opłacone wszystkie wydatki na naukę i książki tudzież otrzymują pełne doskonałe utrzymanie, mieszkanie i 9.000 franków miesięcznie "kieszonkowego". W tej uczelni młodzież środkowej Europy wychowywana jest — co tu dużo mówić — w duchu więcej lokalnym niż europejskim, korzystając nadprogramowo z ogromnej "publicité".

Patrząc się na sprawę z punktu widzenia Polaków we Francji trzeba powiedzieć, że idzie jakby cicha walka między Les Ageux i Lamandé. Walka prowadzona siłami straszliwie nierównymi. Jeżeli by była przegrana, a na to się zanoszą, to skompromitowana będzie we Francji sprawa obrony wolności i niezależności kultury polskiej, tudzież sprawa zabezpieczenia przed zarazą starszej i nowszej emigracji polskiej we Francji. Trzeba nie mieć krzty wyobraźni politycznej, by nie zrozumieć, jakie znaczenie dla ducha i nastroju Polaków we Francji ma tych kilkunastu młodych chłopaków z Nordu i nie z Nordu, którzy co roku wychodzą z prawdziwie polskiej szkoły średniej i są przedmiotem uwagi i zainteresowania tych, którzy w myśl ty-



siącletnich tradycji polskich prują wewnątrz ziemi, by wydobywać z niego to, co jest człowiekowi potrzebne do życia.

W epoce ciasnoty horyzontów i tępego nacjonalizmu nikomu nie przyjdzie na myśl łączyć sprawy szkoły ukrytej gdzieś wśród drzew parku pod Pont St. Maxence ze sprawą walki o siłę, jaką daje praca górnika... A ten związek jest.

Trudno mi wchodzić w analizę przyczyn, dla których Les Ageux pozostawiono po prostu do załatwienia samym Polakom i to tym najbardziej — z Francji. Pozwała nam to na jasne zrozumienie, że między naszą wewnętrzną polską sprawą obronienia przed Moskwą garstki młodzieży polskiej we Francji, a tym całym hałasem reklamy, uchwał organizacji, komitetów, zjazdów, podróży sleepingami i samolotami, konferencji i oświadczeń i kosztów bez miary w związku z "obroną spuścizny kulturalnej narodów środkowej Europy, pragnących zachować wolność" nie ma nic wspólnego. To są jakby dwie różne rzeczy.

Szuka się pretekstów dla utrzymania tego rozdziału. Rzekomo Les Ageux nie daje dalszych możliwości kształcenia się, choć co roku zjawiają się nowi lekarze, inżynierowie, księża, którzy kiedyś ukończyli Les Ageux. Komuś się nie podoba, że rzekomo na tę czy inną postać historyczną kładzie się w Les Ageux za dużo czy za mało nacisku. O preteksty nie trudno.

Na serio, sprawą ostatniej wolnej szkoły średniej na kontynencie zajmuje się tylko paru fanatycznie przywiązanych nauczycieli, trochę rodziców, uczniów, kilku przyjaćli. Ogół, nie wyłączając różnych niby — rządowych i nierządowych instytucji, jest zdania, że jakoś to będzie, a jak nie będzie, to i tak nie ma nieszczęścia. Posad i prac zleconych w Les Ageux nie dają.

Przez pryzmat sprawy Les Ageux widać jeszcze raz bezmyślność emigracji, która uważa, że można urzeczywistniać polskie cele bez polskiej organizacji. Jest w niej spontaniczność inicjatywy, zdumiewający dynamizm, jest żywioł młodej siły wchodzącej w świat, a nie ma formy zapewniającej byt w określonym kształcie. Jak gdybyśmy byli skazani na to, by po wyblaknięciu "okrytych chwałą sztandarów" stać się tylko dobrym i podatnym tworzywem wlewanym w formy dla nas, a bez nas przygotowane.

Straszliwe dziedzictwo mentalności warstwy, na którą przez stulecia pracowali inni mści się. Nie rozumiemy, że są rzeczy, których za nas nie zrobi dziś nikt. Ta mentalność musi być przeorana — zaczynając od szkoły.

Paweł DUNIN.

## Emigracja polska w Kanadzie

### CZĘŚĆ I.

#### 1. Geneza

Kanada, w odróżnieniu od St. Zjednoczonych, nie była przed wojną terenem masowej emigracji polskiej. Składały się na to zarówno przepisy emigracyjne, jak struktura gospodarcza kraju. Kanadyjskie ustawodawstwo rozróżniało trzy kategorie emigrantów: 1) pożądaných (Preferred), 2) tolerowanych (Non-preferred), 3) niepożądanych (Restricted). Do pierwszej należeli: Skandynawowie, Holendrzy, Belgowie, do drugiej Słowianie, a do trzeciej Włosi, Grecy i inni. Taka klasyfikacja oznaczała, że rząd kanadyjski nie był zainteresowany w masowej emigracji elementu polskiego, nie dawał emigrantowi polskiemu żadnych ułatwień czy ulg. Wręcz przeciwnie, ustanowił barierę przez którą przypuszczano jedynie tych Polaków, którzy skłonni byli przyjąć pracę w rolnictwie, względnie osiedlić się na roli. W konsekwencji więc emigracja polska miała charakter rolniczy i kierowała się głównie do zachodnich prowincji: Manitoba, Alberta i Saskatchewan. Nie dawała natomiast Kanada żadnych szans emigrantom-Polakom w wolnych zawodach, przemyśle itp.

Problem podjęcia masowej emigracji polskiej powstał dopiero po zakończeniu wojny światowej. W latach wojennych Kanada udzieliła schronienia pewnej grupie Polaków, składającej się w przeważającej mierze z inżynierów, techników oraz kwalifikowanych pracowników przemysłu wojennego. Zasilili oni natychmiast kadry rozbudowującego się przemysłu wojennego w Kanadzie. Przybyły również w tym czasie grupy górników, skierowane z szeregów polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Skierowano ich do kopalń węgla w Nowej Szkocji. Ponadto zjawili się w Kanadzie — przejściowo — lotnicy polscy oraz instruktorzy. Wszystkie wymienione powyżej grupy nie stanowiły jednak w ścisłym tego słowa znaczeniu — nowych emigrantów, traktując swój pobyt jako czasowy, do zakończenia działań wojennych. Wypadki polityczne jednak potoczyły się inaczej aniżeli oczekiwali tego Polacy i, w konsekwencji, owe grupy czasowych i przypadkowych emigrantów stały się załącznikiem powojennej, masowej emigracji polskiej.

Wiosną 1946 r. rząd brytyjski powziął nieoczekiwane postanowienie przeniesienia wszystkich polskich oddziałów wojskowych na wyspy brytyjskie, celem przeprowadzenia demobilizacji. Jednocześnie rząd brytyjski wyraził gotowość zatrzymania w granicach Zjednoczonego Królestwa tych wszystkich Polaków, którzy z jakichkolwiek powodów odmówią powrotu do Polski. Ponadto rząd brytyjski zadeklarował gotowość udzielenia bezpłatnych transportów tym, którzy uzyskają wize emigracyjne do jakiegokolwiek kraju.

Główne wysiłki czynników emigracyjnych polskich szły w kie-

runku uzyskania zgody odpowiednich władz na masową emigrację do Kanady — po uprzednim stwierdzeniu, iż nie ma szans na zmianę amerykańskiego ustawodawstwa emigracyjnego. Te zainteresowania Polaków pokrywały się z tendencjami urzędowych czynników kanadyjskich. Szybko rozbudowującemu się państwu dawał się dotkliwie we znaki brak rąk robotniczych. Sytuacja powojenna na tym odcinku była raczej bardzo trudna, chaotyczna i nie łatwo można było znaleźć odpowiednich kandydatów na emigrację. W tych warunkach Polacy, znajdujący się w dobrze zorganizowanej armii, otoczonej sławą zwycięstw, stanowili doskonały rezerwuar. Można było pozwolić sobie na przeprowadzenie selekcji i wybrać z tych szeregów najbardziej przydatnych. Polskie siły zbrojne, pod dowództwem brytyjskim, były w stanie dostarczyć Kanadzie około 180.000 emigrantów. Ogólna ilość Polaków, gotowych do wyjazdu do Kanady wynosiłaby zapewne ponad 500.000. Cyfra ta obejmowałaby członków rodzin wojskowych oraz setki tysięcy Polaków, znajdujących się w obozach w Niemczech i Austrii oraz w innych krajach europejskich.

Rząd kanadyjski nie był jednak przygotowany na tak gigantyczny program emigracyjny. Niezależnie zapewne od czynników gospodarczych na przeszkodzie jego realizacji stanęły względy natury politycznej. Z jednej strony rząd kanadyjski niewątpliwie obawiał się tak wielkiej i zwartej emigracji jednej grupy narodowościowej, posiadającej mocne i wyraziste oblicze, wyobrażając sobie iż wchłonięcie takiej masy napotkać musi na wielkie trudności i połączone być może z różnymi komplikacjami. Następnie, władze musiały mieć wątpliwości czy kandydaci na emigracji są istotnie skłonni przystosować się do nowych warunków życia, osiaść na stałe w nowym kraju. Wreszcie wszystkie czynniki niechętnie Polakom — w tym i komuniści polskiego pochodzenia — prowadziły energiczną akcję w celu niedopuszczenia do Kanady byłych żołnierzy polskich, jako rzekomych... faszystów, którzy zamiast pracować będą prowadzili "niebezpieczną" robotę polityczną.

Rzecznikiem masowej emigracji Polaków był przede wszystkim Kongres Polonii Kanadyjskiej (Canadian Polish Congress), zrzeszający ponad 90 procent polskich organizacji społecznych, religijnych i kulturalnych. Opracował on odpowiednie memoriały, złożone władzom rządowym, interweniował, podejmował kroki w prasie oraz wśród członków Parlamentu. Po licznych rozważaniach — rząd kanadyjski zdecydował się na posunięcie o charakterze kompromisowym. Wychodząc z założenia, że Kanada potrzebuje nowych ludzi, a przede wszystkim iż brak jest rąk roboczych w rolnictwie, postanowił sprowadzić spośród byłych polskich żołnierzy ok. 5 tysięcy osób na dwuletnie kontrakty w rolnictwie. W konsekwencji tego wysłano do Włoch, gdzie była największa ilość wojska polskiego, specjalne komisje, które przeprowadziły selekcję i kwalifikowały kandydatów do wyjazdu. Ta pierwsza fala nowych emigrantów składała się z lu-

dzi młodych, niezonatych, fizycznie bardzo zdrowych i posiadających kwalifikacje rolnicze. Część z nich odplynęła od razu z Włoch, pozostali z portów brytyjskich. Rozmieszczeniem ich w Kanadzie zajęło się Ministry of Labour, podczas gdy Kongres Polonii Kanadyjskiej oraz jego organizacje członkowskie, przystąpiły do roztoczenia nad nimi opieki, do wdrażania ich na nową drogę życiową. Ministry of Labour — na podstawie raportów lokalnych swoich komórek — w stosunkowo krótkim czasie stwierdziło, iż nowy element jest pod każdym względem wartościowy. Polacy nie tylko bowiem doskonale wywiązywali się z na ogół bardzo ciężkich warunków kontraktowych, ale zachowywali się bez zarzutu w życiu społeczno-publicznym. Kroniki policyjne nie zanotowały żadnego poważniejszego wykroczenia ze strony nowoprzybyłych. Niewiele ponad 20 osób wyraziło chęć powrotu do Polski względnie zostało uznanych z innych powodów za uciążliwych i niepożądanych w tym kraju.

To pomyślnie doświadczenie z pierwszą grupą emigrantów, byłych żołnierzy, miało decydujący wpływ na dalszą politykę emigracyjną rządu kanadyjskiego. Prysły obawy i zastrzeżenia i uznano Polaków za najbardziej pożądaných emigrantów. Plan emigracyjny został rozszerzony, nieco liberalizowany, umożliwiając przyjazd zarówno samodzielnym farmerom, posiadającym minimum kapitału \$2.000 na zakup własnego gospodarstwa, jak i osobom sprowadzanym indywidualnie na różne rodzaje pracy, dalej osobom posiadającym kwalifikacje zawodowe (lekarze, inżynierowie, technicy itp.). Władze kanadyjskie — niezależnie od powyższego — w dalszym ciągu werbowały Polaków na kontraktowe roboty, lecz tym razem również do górnictwa i przemysłu, przy czym wszystkie nowe kontrakty zarówno rolne jak i przemysłowe opiewały już tylko na jeden rok. Lokalne urzędy pracy (Employment Office), poczęły okazywać duże zrozumienie wobec nowoprzybyłych, unikając zbyt sztywnego stosowania norm prawnych. Miało to szczególnie wielkie znaczenie dla robotników rolnych czy leśnych, których pracodawcy zwalniali z pracy po sezonie, a którzy siłą faktu musieli szukać nowej pracy w przemyśle, a więc gałęzi do której nie byli — w myśl zawartego kontraktu — upoważnieni.

## 2. Szacunek statystyczny

Według oficjalnych danych ostatniego spisu ludności z r. 1941, ilość Polaków w Kanadzie wynosiła — 167.485 osób, z tego mieszkało w Ontario — 54.893, Manitoba — 36.550, Saskatchewan — 27.902, Alberta — 26.845, Quebec — 10.036; w pozostałych prowincjach ilość Polaków wahała się od jednego (Prince Edward Island) do kilku tysięcy (British Columbia — 8.744). W większych miastach według tegoż źródła mieszkało — 44.923 Polaków, z tego w: Toronto — 11.517, Winnipeg — 11.024, Montreal — 7.045, Hamilton — 5.312. Ten spis nie obejmował jeszcze nowej emigracji polskiej. Do ogłoszenia wyniku spisu ludności z

r. 1951 wszelkie dane o ogólnej liczbie Polaków muszą mieć charakter wyłącznie szacunkowy.

W ostatnim roku przedwojennym — a więc w r. 1938 — przybyło do Kanady nie więcej aniżeli 5.000 Polaków, a do wybuchu wojny w r. 1939 ok. 2.000. Na tym kończy się właściwie masowa, bezpośrednia z Polski, emigracja. (Nawiasowo, a dla pełnej ścisłości należy wyjaśnić, że rozróżnienie — istniejące w Polsce — pomiędzy pojęciem narodowości a obywatelstwa nie jest przestrzegane w miejscowej praktyce ewidencyjnej, co powoduje pewne zamieszanie i dość znaczne odchylenie w cyfrach, gdy chodzi właśnie o Polaków. I tak np. w emigracyjnych arkuszach ewidencyjnych Ukraińców — obywatel polski — niewątpliwie podpadał w rubryce "nationality" jako "Polish", podobnie jak i inni obywatele polscy różnych narodowości. Jednocześnie jednak wiadomo, że w okresie powojennym — wykorzystując niejednokrotnie całkowity brak dokumentów autentycznych — wielu niepolskich obywateli — przede wszystkim sowieccy — podawali się za Polaków względnie obywateli polskich, by z jednej strony uniknąć deportacji do ZSSR z obozów w Niemczech, Austrii, Francji i innych krajów europejskich, z drugiej pozyskać wizę emigracyjną do USA czy Kanady. Z tych względów dopiero indywidualne zeznania nowych imigrantów w Kanadzie odnośnie ich przynależności narodowej — dane spisu ludności z r. 1951 — stanowić będą obiektywną podstawę dla oceny liczebności poszczególnych grup narodowościowych. Dane znajdujące się dziś w poszczególnych urzędach państwowych muszą natomiast być traktowane ostrożnie i trzeba zakładać istnienie błędów).

Nasze dane szacunkowe opierają się na własnych sporadycznych badaniach grup imigrantów, sprawdzanych przy pomocy sieci polskich organizacji społecznych, parafii itp.

W okresie od r. 1941 do 1944 r. przybyło do Kanady nie wiele ponad 1.000 Polaków, z tego ponad połowę stanowili — wspomniani już powyżej — technicy (inżynierowie) oraz kwalifikowani robotnicy. W grupie tej znajdowało się kilku znakomitych specjalistów, profesorów uniwersytetu. Weszli oni do miejscowego przemysłu, stworzyli własne warsztaty pracy, opatentowali wynalazki oraz procesy technologiczne. Niemal wszyscy pozostali po zakończeniu wojny w Kanadzie.

### 3. Struktura socjalna

W czasie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu zaszły poważne zmiany w strukturze socjalno-zawodowej ludności polskiej. Była ona kiedyś w 80 procentach rolnicza i ponad 50 proc. jej mieszkała w zachodnich prowincjach. Jeszcze przed przybyciem nowej fali emigrantów nastąpiły w tym układzie przesunięcia. Rozpoczęła się mianowicie migracja z Zachodu na Wschód, z wsi do miast. Ten ruch ludności — zapoczątkowany w czasie wojny — miał podłoże czysto gospodarcze. Roz-

budowany przemysł wojenny potrzebował rąk roboczych i dawał wysokie zarobki, również powojenny układ gospodarczy w dalszym ciągu sprzyja tej tendencji odpływu z rejonów rolniczych do przemysłowych. W/g obecnej szacunkowej oceny, która winna jednak być raczej dokładna, nie więcej aniżeli 40 proc. Polaków zajmuje się rolnictwem, a prowincje zachodnie zamieszkuje li tylko ok. 30 proc. ludności polskiej.

Najbardziej ostrożny szacunek wojennego i powojennego przybytku polskiego do Kanady, obejmujący okres od r. 1941 do czerwca 1951 zamknąć należy cyfrą 40.000. Składają się na nią: ok. 2.000 przybyłych do 1946 r., ok. 5.000 b. żołnierzy przybyłych do marca 1947 r., ok. 30.000 przybyłych do końca marca 1951 r., pozostali od kwietnia do czerwca 1951 r. Z zestawienia tego staraliśmy się wyeliminować wszystkich, których narodowość polska jest wątpliwa.

Wśród emigrantów, przybyłych do marca 1947 r. większość (wszyscy, z wyjątkiem pierwszej grupy przybyłej w czasie wojny), stanowią byli członkowie polskich sił zbrojnych. W pozostałych grupach odsetek żołnierzy spod dowództwa brytyjskiego zmniejsza się systematycznie i w ostatniej fazie nie przekracza już 20 proc. Dawni kombataneci reprezentowani są w niej przez byłych żołnierzy z kampanii wrześniowej 1939 r., względnie z oddziałów podziemnych Armii Krajowej (Polish Home Army). Nowi przybysze napłynęli z następujących krajów: Wielka Brytania, Niemcy, Włochy, Austria, Belgia, Holandia, Szwecja, Norwegia, Francja. Ilość przybyszy z pozostałych krajów włącznie z Polską, nie stanowi nawet jednego procentu. Z Polski — bezpośrednio — przybyło po wojnie najwyższej kilkadziesiąt osób, natomiast kilka tysięcy spośród nowych emigrantów opuściło już Polskę pod rządami komunistycznymi, przybyło jednakże do Kanady poprzez okresowe pobyty w Niemczech, Francji, Belgii, Szwecji, Norwegii itp.

Ponad 50 proc. wszystkich emigrantów przybyło z Włoch i Wielkiej Brytanii. Ta grupa była (i jest) w najlepszej sytuacji. Posiadała bowiem pewien drobny kapitał, chociażby w postaci należności (odprawy) demobilizacyjnych, a niejednokrotnie oszczędności, sięgające kilku tysięcy dolarów. Znakomita większość posiadała niezbędne minimum znajomości języka angielskiego oraz wyposażenie osobiste, umożliwiające im przetrzymanie roku bez potrzeby nabywania nowej odzieży. Przybysze z pozostałych krajów lądowali w portach kanadyjskich bez jednego dolara i bez użytecznego dobytku osobistego.

### 4. Kierunek osadnictwa

Jak już wspomnieliśmy grupy powojenne do końca niemal roku 1949 były w 80 procentach kierowane do pracy w rolnictwie. Obowiązywały na przemian dwuletnie i jednoroczne kontrakty. Z nielicznymi wyjątkami emigranci wypełniali kontrakty, zmieniając czasami chlebodawców, ale nie rodzaj

zatrudnienia. Warunki bytu i pracy w rolnictwie były różnorodne. Miesięczna płaca wahała się od \$40 do \$80 plus mieszkanie i utrzymanie. Większość farmerów nie oszczędzała swe siły roboczej, a raczej potwornie ją wykorzystywała. Wielu robotników rolnych uskarżało się na złe warunki mieszkaniowe oraz na niedostateczne pożywienie. Znane są nam wypadki, że robotnik farmerski dokupywał sobie pożywienie. Farmerzy nie pokrywali nawet najdrobniejszych kosztów leczenia robotnika, który miał wypadek przy pracy, natomiast odtrącali mu należność za nieprzepracowane dni, odtrącali należność za uszkodzony, względnie zniszczony sprzęt gospodarski. Często zalegano z wypłatą należności, samowolnie obniżano wysokość umownej zapłaty. Zanotowano nawet wypadki zwykłych oszustw pracodawców w stosunku do robotnika, które skierowano na drogę sądową. Charakterystyczne jest, że ci nowi przybysze, nie mieli zastrzeżeń nawet do najniższych stawek i zmiany miejsca pracy następowały nie z tego powodu, lecz wskutek zwalniania przez farmerów, którzy nie chcieli zatrudniać robotników w martwym sezonie, złego odnoszenia się farmera do robotnika. Na ogół Polacy mieli ambicję dotrzymania kontraktów, rozumiejąc, iż od ich zachowania się zależy los dalszych kandydatów na przyjazd do tego kraju. Zarówno opinia Ministry of Labour jak i związku farmerów wypadły bardzo korzystnie. Znamienne jest np., że podczas obrad związku farmerów w r. 1950, w odpowiedzi na utyskiwania pewnego farmera na robotników polskich, większość delegatów stanęła w obronie tych ostatnich, oświadczając wręcz, że wina leży po stronie farmerów, którzy nie dbają należycie o swoich robotników.

Praca w rolnictwie okazała się jednak nieatrakcyjna nawet dla tych, którzy z zawodu i pochodzenia są farmerami. W konsekwencji, poza nielicznymi wyjątkami, robotnicy rolni po zakończeniu kontraktów, skierowali się do miast. Ta migracja znowu pociągnęła za sobą dalsze obniżenie ludności polskiej w prowincjach zachodnich i wzrost jej głównie w Ontario.

W prowincji Quebec rozróżnić należy dwie polskie grupy zawodowe: górników i robotników przemysłowych. W tejsze prowincji — w mieście Montreal — znajduje się również największe skupienie polskiej inteligencji. Górnicy skupieni są przede wszystkim w Val d'Or i Rouyn-Noranda. Przeważa wśród nich element zakontraktowany w obozach DP w Niemczech. Ogólna ilość ich — wraz z rodzinami — nie przekracza 1.000. Warunki płac i mieszkaniowe są raczej dobre, ale ciężka praca wyczerpuje szybko nawet ludzi bardzo zdrowych i młodych. To, podobnie jak niedostateczne — zdaniem górników — ubezpieczenia społeczne (np. górnik dopiero po przepracowaniu 5-ciu lat uzyskuje prawo do odszkodowania za utraczone zdrowie przy pracy, a w wypadku poprzedniego zachorowania korzysta tylko z bezpłatnego leczenia, bez jakiegokol-

wiek dotacji finansowej), minimalne, jednorazowe odszkodowanie za częściową utratę zdolności do pracy wskutek kalekotwa, powoduje, że po dwóch do trzech latach pracy, Polacy porzucają kopalnie dla przemysłu. Charakterystyczne jest, że opuszczają wówczas prowincję Quebec i kierują się do Ontario.

Ten proces odpływu rozpoczął się w połowie roku 1950 i jest w toku. Dla ilustracji podajemy, że w okresie od maja do połowy czerwca 1951 r. tylko z kopalń Rouyn-Noranda wyjechało 58 polskich górników.

W Montrealu Polacy pracują głównie w przemyśle. Miejsce-woy ośrodek inteligencji zawdzięcza w znacznym stopniu swoje istnienie m. in. oddziałowi Polskiego Instytutu Naukowego w USA. Osiedliło się tam m. in. kilku byłych dyplomatów, szereg wyższych oficerów itp. Na miejscowych uczelniach wykłada kilku Polaków a kilkudziesięciu kontynuuje swoje studia.

Około 80 proc. nowoprzybyłych Polaków — czynnych zawodowo — pracuje w przemyśle. Wachlarz wykonywanych zajęć jest olbrzymi: od zwykłych posług aż do specjalistów. Znajdujemy ich w drobnych — niemal chałupniczych — zakładach aż do największych koncernów. Pracują przy wyrobie lasów w pn. Ontario i Br. Columbia, pracują przy konstrukcji nowych zapór wodnych, elektrowni, szos i odcinków kolejowych. Znajdujemy ich w różnych "special gang" Canadian National i Canadian Pacific Railways, są w kopalniach w Timmins i Sudbury w Ontario, Coleman, Calgary, Edmonton w Alberta, Sydney w Nova Scotia, znaleźliśmy ich w przedsiębiorstwach konstrukcji wzdłuż i wszerz całej Kanady. Są bowiem Polacy w Yukon i North West Territories. Ba, nie brak i grupy polskiej, pracującej na Alasce.

Na podstawie szacunkowych obliczeń — w wyniku badań reprezentacyjnych — wydaje się, iż 95% nowoprzybyłych pracuje najemnie, a tylko 5 proc. posiada własne warsztaty, a z całej nowej emigracji — czynnej zawodowo — nie więcej aniżeli 3 proc. nie pracuje fizycznie.

Analiza zawodowa, przeprowadzona również metodą reprezentatywną — wykazuje, że wśród czynnych zawodowo nowych emigrantów polskich 70 proc. również przed wojną utrzymywało się z pracy fizycznej. Do grupy tej wliczono takich, którzy wskutek wieku byli tylko częściowo zatrudnieni względnie jeszcze nie pracowali, ale przeznaczeni byli do pracy fizycznej; 10 procent stanowią dawni zawodowi oficerowie i podoficerowie, pozostałe 20 proc. to osoby, które poprzednio nie pracowały fizycznie, przeważnie urzędnicy państwowi, samorządowi, prywatni, adwokaci, sędziowie, profesorowie itp.

Przeciętny wiek wynosi 30-35 lat. Jest jednak wiele roczników młodych. W pierwszej grupie, która wyjechała z Włoch, przeciętny wiek był poniżej 30 lat. Emigranci przybywający z państw skandynawskich nie przekraczają 25 lat. Czynnik kanadyjskie rekrutowały w Niemczech również tylko młodsze

roczniki. Wyższa granica wieku dopuszczalna była jedynie dla udających się na zakup farm, do rodzin, względnie dla lekarzy. Stosunek kobiet do mężczyzn wśród nowoprzybyłych wynosi 1 : 3. Pewna ilość samotnych mężczyzn posiada swoje rodziny w Polsce i nie może się z nimi połączyć. Wreszcie osiadła w Kanadzie grupa sierot polskich, których rodzice zginęli w obozach lub więzieniach sowieckich, a ewakuowanych z ZSSR wraz z wojskiem w r. 1942 (marzec-sierpień). Przybyła ona — ogólna ilość ponad sto — z Afryki po odmowie powrotu do Polski.

## CZEŚĆ II.

### 5. Proces przystosowania się

Problem przystosowania się nowej grupy ludnościowej do warunków życia w kraju emigracyjnym jest jednym z najistotniejszych. Nie leży bowiem w interesie żadnego państwa utrzymywanie w swoim organizmie grupy etnicznej, która pozostanie zamknięta w swej własnej skorupie, obca wobec wszystkich czy nawet większości, problemów państwa oraz otaczającej jej społeczności. Jest jednak również niekorzystne dla państwa jeśli obca grupa narodowościowa czuje się źle na nowym terenie, gdy jest wyraźnie niezadowolona z nowych warunków, z otaczającej jej rzeczywistości.

Jeśli więc z jednej strony każde państwo imigracyjne podchodzi z dość znaczną dozą ostrożności do nowoprzybyłych i raczej aptekarsko dawkuje rozciąganie na nich wszystkich praw i przywilejów obywatelskich, to jednak z drugiej strony musi unikać jawnej i ostrej dyskryminacji, aby uchronić się przed hodowaniem wrogów.

Kanada знаła Polaków i otwarcie bram dla powojennej emigracji było tylko częściowym eksperymentem. Rząd działał jednak bardzo ostrożnie i nie ryzykował masowego wpuśzczenia kilkuset tysięcy Polaków. Nie wchodząc w próbę analizy oporów i hamulców rządu kanadyjskiego trzeba stwierdzić, iż nowi emigranci różnili się od przedwojennych i to nie tylko pod względem społecznym! A więc przede wszystkim nie przybywali z kraju ojczystego. W znakomitej swej większości byli od lat oderwani od prac i zajęć zarobkowych, od normalnego trybu życia.

Ich więź rodzinna rozluźniona, tradycja osłabiona, przyzwyczajenie do regularnej pracy zarobkowej stępione. Ciężkie osobiste przeżycia w wojsku, w niewoli, podczas okupacji, w obozach niemieckich i sowieckich, wyłobily na nich swój stigma. Ta masa ludzka była raczej przyzwyczajona do słuchania rozkazów względnie zdobyła wysoki kunszt omijania ich. Dawni emigranci — z okresu niepodległości Polski — mieli zaplecze. Mogli liczyć na obronę swoich interesów i praw przez reprezentantów dyplomatycznych i konsularnych państwa pol-

skiego, wiedzieli iż mogą w każdej chwili wrócić do kraju rodzinnego. Jeśli pozostawili tam rodzinę, mieli z nią stały kontakt i mogli stypulować termin połączenia się.

Zważywszy więc całkowicie odmienną sytuację nowej emigracji, problem przystosowania się jej mógł nasuwać poważne obawy i dawał niewątpliwie władzom kanadyjskim, ich decyzji wpuszczenia emigrantów polskich, posmak niebezpiecznego, ale interesującego eksperymentu socjalnego.

Przyjrzyjmy się więc temu procesowi przystosowania się! Nowych przybyszów, oszołomionych podróżą, odzianych jeszcze w mundury wojskowe, po krótkich powitaniach przez władze emigracyjne oraz organizacje polskie, natychmiast skierowywano do miejsc pracy. (Dalsze transporty — zarówno byłych wojskowych jak i cywilnych załatwiano już bez wspomnianych formalności grzecznościowych). Wobec tego, że każdy transport stanowił zaledwie cząstkę ogólnego zapotrzebowania na ręce robotcze, grupa rozpyływała się w jednostki. Nie rzadko — w następstwie tego — najbliżsi przyjaciele poszukiwali się za pośrednictwem prasy polskiej, względnie organizacji społecznych, gdyż nie zdołali wymienić ze sobą swoich adresów. Ci, którzy znaleźli się w rejonach, w których są większe skupiska polskie (np. wokół St. Catharines, Hamilton, Toronto, Windsor, Kitchener, Brantford, Port Arthur w prowincji Ontario, względnie Edmonton, Calgary, Lethbridge, Coleman w Alberta, Brandon, Flin Flon, Winnipeg w Manitoba itp.) szukali z nimi kontaktu. Był on jednak raczej sporadyczny i jednostronny, to znaczy, iż zwracano się do Kongresu Polonii Kanadyjskiej czy też organizacji członkowskich o pomoc, informacje itp. Nowoprzybyli natomiast — szczególnie w pierwszym roku swego pobytu — nie przystępowali do istniejących organizacji polonijnych. Ich wstrzeźliwość w tej dziedzinie, była raczej przykrą niespodzianką dla starej Polonii. Dalej można było stwierdzić, że obawy — i nadzieje — iż ci przybysze będą tworzyć partie polityczne, będą aktywnymi orędownikami emigracyjnych stronnictw politycznych i ich władz, były całkowicie nieuzasadnione. Dla jednych (władz kanadyjskich) była to miła niespodzianka, dla drugich (ośrodków emigracyjnych w Londynie) przykre rozczarowanie.

Proces asymilacji do zewnętrznych warunków życia, do miejscowego "way of life" nastąpił niemal z błyskawiczną szybkością i stanowi swojego rodzaju fenomen. A więc przede wszystkim znakomita większość uznała że pobyt w tym kraju ma charakter stały. W konsekwencji postanowili ustabilizować sobie warunki życia, zakończyć wieloletnią wędrówkę i połączone z tym tymczasowość. Zamiast więc jak dotychczas to się działo — siedzieć na zapakowanych walizkach, gotowi do dalszych wędrówek aż do powrotu do Polski — przystąpili do rozpakowania tych walizek.

Praca zarobkowa stała się więc ważnym czynnikiem, elementem podstawowym dla osiągnięcia owej stabilizacji. Obok

tego rozwinął się zmysł oszczędnościowy, który zajął miejsce rozpowszechnionej lekkomyślności, bez troski o dzień następny. I tak np. ankieta przeprowadzona wśród pierwszej grupy nowych emigrantów, która przybyła na dwuletnie kontrakty rolne, a więc której dochody były raczej bardzo skromne, wykazała iż wartość oszczędności rocznych wynosiła przeciętnie na głowę \$500, po odliczeniu oczywiście inwestycji na garderobę i wydatków na paczki do rodzin w Polsce. Po przejściu do miast wartość oszczędności rośnie przeciętnie o 100 proc. W/g odpowiedzi różnych nowoprzybyłych, zatrudnionych w przemyśle, roczna wartość oszczędności wynosi \$1.000 i ponad tysiąc dolarów. Dane te odnoszą się do osób samotnych, względnie do rodzin, w których dwie osoby są zawodowo czynne. Standard życiowy emigranta nie odbiega od standardu osiadłego, z wyłączeniem wartości majątku nieruchomego oraz wysokości oszczędności bankowych. Powszechna jest tendencja "dorobienia się". Jaskrawym wyrazem tej tendencji jest praca nadliczbowa, dodatkowa, praca obu członków rodziny, itp. Ta praktyka ma na celu przyspieszenie i podwyższenie oszczędności. To podejście umożliwiło nowym emigrantom nagromadzenie w ciągu dwu, trzech lat środków na zakup samochodów, względnie domów mieszkalnych, a nawet jednych i drugich. Dług hipoteczny na domach spłaca się przy pomocy komornego, płaconego przez lokatorów. Nie sposób ustalić wysokości oszczędności Polaków — nowoprzybyłych, licząc na głowę nie są one zbyt wielkie, ale trzeba przyjąć jako pewnik, że wszyscy mają warunki do oszczędzania i że co najmniej 90% istotnie oszczędza. Można śmiało zaryzykować, że nie tylko stopa życiowa nowego polskiego robotnika i rolnika w Kanadzie jest wyższa od przedwojennej w Polsce, ale że ich przeciętna zamożność jest bez porównania wyższa aniżeli w Polsce. Ten stan niewątpliwie najbardziej wpłynął na tempo procesu przystosowania się, na wykuszanie się dawnego trybu życia, na brak chęci przedłużania przeszłości.

Nowi emigranci — po przejściu do miast — zaczęli zasilać miejscowe organizacje polonijne. Jest to jednak proces raczej odcieślały, powolny, oporny. Ich udział w życiu organizacyjnym jest minimalny, nie odpowiada nawet proporcjonalnemu odsetkowi starej emigracji, zrzeszonej w organizacjach. Powstały tylko trzy nowe organizacje, skupiające wyłącznie nowoprzybyłych: Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, działające w całej Kanadzie na zasadzie odpowiedniego patentu urzędowego (Dominion Charter), posiadające szereg Kół — ogółem 23 — ale nie będące najsilniejszą organizacją polską; Stowarzyszenie Polskich Imigrantów Wojennych w Kanadzie, działające wyłącznie na terenie Montrealu, Quebec oraz Grupa Inżynierów i Techników, która w roku 1941/42, powołała organizację p.n. "Stowarzyszenie Techników i Inżynierów Polskich w Kanadzie". Jest to organizacja przede wszystkim o charakterze zawodowym. W łonie jej znaleźli się wszyscy specjaliści zatrudnieni w przemy-

śle wojennym oraz pracownicy naukowci. Inżynierowie i technicy polscy wnieśli bardzo wiele do kanadyjskiego życia i przyczynili się do spopularyzowania sprawy polskiej. Znaleźli się między nimi naukowcy i praktycy. Pierwsi zajęli miejsca na uczelniach, drudzy w fabrykach. Polacy zarejestrowali tutaj różne patenty, zainicjowali produkcję nowych artykułów. Fachowe pismo, wydawane przez wspomnianą organizację, zawierało wiele prac oryginalnych, a teksty angielskie umożliwiały specjalistom kanadyjskim poznanie osiągnięć polskich kolegów.

Inżynierowie i technicy stanowią największą, inteligentną, grupę zawodową polskiej emigracji. Centrala mieści się w Montrealu, a w Toronto znajduje się oddział. Członkowie tej grupy są bardzo aktywni w życiu Polonii i wywierają coraz większy wpływ. Stoją na czele różnych organizacji polonijnych, są prezesami Okręgów Kongresowych, zasiadają w Zarządzie Głównym K.P.K. Ta aktywność inżynierów jest wysoce dodatnim zjawiskiem oczywiście najzupełniej naturalnym. Spośród nowej emigracji, większość z nich jest tutaj najdłużej, opanowali nie tylko język, ale wżyli się w teren. Materialnie są — poza lekarzami, których jest mało i są rozsiani — najlepiej sytuowani; pracując w swoim zawodzie nie tracą ani czasu ani energii na "przestawienie się". W życiu organizacyjne wnoszą metodyczność i chłodny spokój, a więc elementy bardzo cenne.

Znakomita większość nowoprzybyłych wykazuje minimalne zainteresowanie tzw. emigracyjną polityką polską, jak również miejscowym życiem organizacyjnym. Odnosi się wrażenie, że jest to zarówno wynik kryzysu zaufania do przywódców polskich, jak przede wszystkim świadome dążenie do tworzenia nowej formy życia. W ramach K.P.K. zrzeszonych jest około 150 organizacji i oddziałów wielkich organizacji, o charakterze dominialnym czy prowincjonalnym. Z liczby tej ok. 90 procent przypada na prowincję Ontario. Poza Kongresem działa tylko kilka świeckich organizacji parafialnych w zachodnich prowincjach. Poza życiem polonijnym znajduje się organizacja o charakterze prokomunistycznym. Jeśli jednak we wszystkich organizacjach polonijnych bierze udział nowa emigracja — to na pewno nie w tej ostatniej. Procent nowoprzybyłych zrzeszonych w organizacjach waha się między 3 do 5 procent, z tego nie więcej aniżeli połowa bierze istotnie jakiś żywy udział w życiu polonijnym. Nie oznacza to jednak, że zatracili już swą przynależność narodową, że zobojętnieli wobec problemów polskich. I tak np. wszelkie uroczystości o charakterze narodowym, jak rocznice, akademie, zebrania okolicznościowe cieszą się dużym powodzeniem. Dobrowolne publiczne zbiórki na cele charytatywne, społeczne i narodowe spotykają się z żywym oddźwiękiem. Innym dowodem spójni narodowej jest stosunek do Kościoła.

## 6. Rola Kościoła

Kościół w Kanadzie — co uderza Europejczyka — zaspakaja nie tylko potrzeby religijne wiernych, ale spełnia wieloraką rolę społeczną. Przy każdej parafii istnieją, jeśli nie organizacje, to mniejsze zespoły dla działalności społecznej, towarzyskiej, kulturalnej itp. Hale parafialne służą dla zebrań towarzyskich, przyjęć rodzinnych, wieczorków tanecznych, odczytów, wyświetlania filmów itp. Większe parafie polskie prowadzą, względnie mają pieczę, nad ochronkami dla dzieci oraz szkołkami. Ogółem istnieje w Kanadzie 63 parafii polskich oraz wiele misji. Te ostatnie spełniają zastępczą rolę parafii. W odległych miejscowościach, względnie tam gdzie ilość Polaków jest ograniczona, zjawia się co kilka tygodni kapłan. Najwięcej misji działa w Saskatchewan, gdzie na olbrzymim terytorium rozsypani są polscy farmerzy. Obok parafii katolickich istnieje kilka polskiego kościoła narodowego i oraz ewangelickiego. Wśród nowej emigracji nie ma wyznawców kościoła narodowego. Baptyści, a ostatnio sekta Świadkowie Jehowy próbują wbić klin w społeczeństwo polskie, ale — na szczęście — bezskutecznie. Odpadły jedynie nieliczne jednostki. Odpadły dosłownie, gdyż w organizacjach tych nie ma miejsca na sprawy polskie.

Wśród nowoprzybyłych ilość księży — osiadłych w Kanadzie — jest niewielka. Na parafiach mamy zaledwie 2—3, więcej znajdziemy ich jako wikariuszy.

Około 95 procent nowoprzybyłych to katolicy, ale tylko pewien odsetek aktywnie wspiera parafie polskie. Znacznie więcej jest zwiazanych z Kościołem i spełnia swoje religijne obowiązki. Ścisłe ujęcie natrafia na wielkie trudności. Musimy więc przede wszystkim ograniczyć się do rejonów, w których istnieją polskie parafie. Tam gdzie ich nie ma należy przyjąć jako pewnik, iż Polacy nie biorą udziału w życiu parafialnym, ograniczając się do uczęszczania na nabożeństwa.

Wszystkie parafie polskie opierają się na zdrowych podstawach. Nie są biedne. Większość posiada piękne kościoły, doskonałe organy, witraże, duże sale parafialne. Ten stan nie jest jednak zasługą nowoprzybyłych, lecz starej emigracji. Nowi łożą teraz na utrzymanie i rozwój parafii, a w niektórych miejscowościach przystąpili do budowy kościołów. Udział ich w życiu religijnym jest duży. Weźmy jako przykład reprezentacyjny parafię św. Stanisława w Hamilton, Ontario.

W/g spisu ludności z r. 1941 ilość Polaków w tym mieście wynosiła 5.312 osób. W tym czasie spis parafialny wykazywał 750 rodzin, obecnie ocenia się ilość Polaków na ponad 8.000 osób a lista parafialna notuje 1.525 rodzin, czyli iż liczba ludności polskiej wzrosła o plus minus 3.000 dusz, a liczba parafian o 775 rodzin. Rodzinę należy liczyć jako zespół trzech osób, albowiem spośród nowych ok. 30 proc. stanowią samotni. Należy przyjąć, że sytuacja w innych parafiach jest podobna i odchylenia są raczej minimalne. Wynika z tego jasno, że przywiąza-

nie do religii, do Kościoła jest najsilniejszą, a niejednokrotnie jedyną, więzią narodową nowych emigrantów.

Przy dwu uniwersytetach katolickich w Montrealu i Ottawie istnieją wydziały slawistyczne. Poza tym działa grupa polskich naukowców. Największą zasługą tej grupy jest organizowanie odczytów i konferencji, mających m. in. na celu zapoznanie społeczeństwa francuskiego Kanady z dorobkiem kulturalnym i naukowym Polski, z problemami polskimi. Kontakt ze społeczeństwem francuskim, z jego sferami intelektualnymi, jest żywy i bliski. Nie sposób jeszcze ocenić wkładu polskiego do życia intelektualnego Kanady, ale niewątpliwie okaże się z czasem, że będzie on wcale pokaźny. W szeregu wyższych uczelni znajdują się Polacy jako wykładowcy, kształcąc młode pokolenie kanadyjskie. Spośród artystów zdobyli sobie uznanie Rafał Malczewski w Montrealu oraz Krystyna i Konrad Sadowscy w Halifaxie.

## 7. Poziom moralny

Jakkolwiek 95 proc. czynnych zawodowo żyje z pracy rąk, a co najmniej 75 proc. z nich zarobkuje jako robotnicy i 70 proc. zawsze utrzymywało się z pracy fizycznej, nie wykazują oni tego nastawienia, które określamy mianem "świadomości robotniczej". Nie posiadają oni dumy robotnika, ani poczucia solidarności i przynależności do tego środowiska. Do związków zawodowych należą jedynie w tych zakładach, w których obowiązują umowy zbiorowe i stosowany jest przymus. Sami jednak związków nie szukają a przynależność ich ma charakter formalny. Nie biorą udziału w żadnych zebraniach, nie starają się zdobyć miejsc w zarządach. Nie więcej aniżeli dosłownie pięciu Polaków bierze aktywny udział w życiu związkowym. Jasne jest, że nie znajdziemy ich w życiu politycznym, co jednak jest zrozumiałe, zważywszy iż dopiero ok. 10 proc. nowoprzybyłych posiada obywatelstwo kanadyjskie. Ta daleko posunięta wstrzeźliwość przed udziałem w kanadyjskim życiu społecznym wynika z niedostatecznej znajomości zarówno języka angielskiego jak i miejscowych warunków politycznych. Kryje się za tym obawa przed iluzjonistycznymi konsekwencjami oraz dążność do osobistego zabezpieczenia się materialnego, do podniesienia swojego standardu życiowego. Te tendencje prowadzą do swiostego sobkowstwa, egoizmu, zamykania się we własnym, ciasnym gronie. Skupiają się z zasady wokół rodziny, unikając skrupulatnie wszelkich wydatków, które by zmniejszały ich zdolność oszczędzania, a więc opóźniałyby proces wzrostu dobrobytu.

Przeciętny tygodniowy zarobek robotnika polskiego w przemyśle wynosi \$ 45.00. W rodzinach bezdzietnych z zasady pracują oboje małżonkowie, podobnie jak w większości rodzin z jednym dzieckiem. W liczniejszych rodzinach zjawiskiem stałym jest sezonowa praca większości rodziny oraz praca zarobkowa domowa małżonki (krawiectwo, bielizniar-

stwo). Tygodniowy koszt utrzymania dwuosobowej rodziny wynosi ok. \$ 15.00, mieszkanie ok. \$ 10.00, wydatki na dzieci, utrzymanie domu itp. ok. \$ 5.00. Pozostaje więc ok. \$ 15.00 z zarobku jednej osoby przeznaczona na inwestycje i przyjemności a cały zarobek małżonki można przeznaczyć na oszczędności. Jest to kalkulacja przykładowa, wypośredkowana z zeznań kilkuset osób. W praktyce spotyka się wiele odchyień od tego schematu, w zależności od zaradności osobistej ludzi, różnicy w dochodach, zainteresowań itp. Należy wreszcie podkreślić, że olbrzymią rolę bodźca oszczędnościowego odgrywa brak powszechnych ubezpieczeń społecznych. Wszyscy Polacy przyzwyczajeni są do instytucji powszechnych ubezpieczeń społecznych, których dobrodziejstwo, stanowiło w pewnym stopniu wyrównanie niskich zarobków. Własne oszczędności są tutaj zabezpieczeniem na wypadek choroby.

Przystosowanie nowych przybyszów do miejscowych warunków życia nastąpiło szybciej aniżeli dawnych. Nie mieli bowiem ani tak ścisłych, ani tak bliskich więzów z krajem ojczystym jak ich bracia. Mieli za sobą co najmniej kilkuletnie pobyty, włości w obcych krajach, łatwiej i chętniej wsiąkali w nowe środowisko, ulegali zewnętrznym wpływom. Są świadomymi oportunistami, albo raczej z miejsca pogodzili się z nową rzeczywistością. Zrozumiałszy, że tu jest ich nowa ojczyzna, starają się jak najmniej odróżniać się od tubylców. Podczas gdy dawni emigranci jechali do Polski, by nasiąknąć atmosferą narodową, liczyli się z tym, że na starość powrócą do kraju, by w nim dokonać swego żywota — nowi wiedzą, że droga powrotu jest zamknięta na długie lata i raczej godzą się z tym, że nawet w zmienionych warunkach do Polski już nie powrócą. Trzeba się więc jak najszybciej dostosować, korzeniami wgrzyźć się w teren. Z tego nastawienia wynika obojętność i brak zainteresowania wobec politycznych koncepcji "narodu emigracyjnego". Dewizą ich jest zdobycie dobrobytu materialnego i bezpieczeństwa osobistego. Horyzont myślowy nie wykracza poza ramy rodziny

Poważna rola w utrzymaniu spójni narodowej przypada prasie polskiej. Emigracja polska w Kanadzie nie posiada dziennika. W języku polskim ukazują się natomiast 5 tygodników, w tym "Kronika Tygodniowa", wychodząca w Toronto jest propagandowym organem komunistycznej administracji warszawskiej i jej kanadyjskich afiliacji. Nowa emigracja nie ma nic wspólnego z tym pismem, a wpływ jego na życie polskie jest równy zeru. Dwa pisma "Czas" i "Gazeta Polska"\*) ukazują

\*) "Gazeta Polska przestała, po 48 latach, wychodzić w listopadzie 1951 r. i zlała się z tygodnikiem "Głos Polski", co dowodzi, iż rynek czytelniczy jest w dalszym ciągu słaby, potwierdzając naszą tezę, że nowa emigracja nie zasiłała w tym stopniu życia polonijnego, jak tego należało oczekiwać i że nie wypełnia luk powstałych wskutek całkowitej asymilacji części drugiego pokolenia emigrantów i naturalnego ubytku.

się w Winnipegu, Manitoba. Pierwsze jest oficjalnym organem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, drugie — Stowarzyszenia Polaków, jedynę wielkiej organizacji nie zrzeszonej w Kongresie. "Gazeta Polska" rozchodziła się wyłącznie w prowincjach zachodnich, była pismem religijno-katolickim o nakładzie nie przekraczającym ok. 3.000 egzemplarzy. Pismo zajmowało stanowisko narodowo-polskie, jednakże — podobnie zresztą jak "Czas" i "Związkowiec" — nie deklarowało się po żadnej stronie rywalizujących i zwalczających się wzajemnie politycznych ośrodków emigracji polskiej. W Toronto ukazują się "Związkowiec" — organ Związku Polaków w Kanadzie oraz od lipca 1950 roku "Głos Polski" — organ Związku Narodowego Polskiego. Tylko to ostatnie pismo może być uważane — w pewnym stopniu — za związane z emigracyjnymi ruchami politycznymi, a mianowicie z grupą rządową w Londynie. Zasięg pism jest znacznie szerszy aniżeli wpływy organizacji, które je wydają. Wymienione tygodniki polskie opierają swój byt na czytelnikach. Nie sposób jest ustalić jaki procent abonentów stanowi nowa emigracja, ale na podstawie obserwacji wolno zaryzykować twierdzenie, że przekracza 50%. Ponadto mają tutaj zbyt polskie dzienniki i tygodniki ze Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii.

Uzupełniając należy dodać, że proces dostosowania się został znakomicie ułatwiony, by nie powiedzieć przyspieszony, stanowiskiem władz kanadyjskich oraz starej emigracji polskiej. Zarówno władze jak i Polacy dbali, by nowoprzybyli nie czuli się obco, nieswojo, ułatwiając im w znalezieniu najbardziej odpowiadających im warunków. Po odbyciu kontraktu imigrant nie spotykał na żadne przeszkody w obejmowaniu pracy według posiadanych kwalifikacji zawodowych. W miarę nabywania znajomości języka angielskiego następuje niejako awans społeczny. Grupy bardziej uzdolnione, czy też ambitniejsze, zdobywają sobie lepsze stanowiska. Szereg nowych imigrantów uzupełnia swoje wiadomości fachowe lub też je nabywa, usadawiając się na stanowiskach kwalifikowanych robotników, specjalistów, majstrów itp.

W grupie samodzielnej — poza kilkoma lekarzami, których dochód roczny waha się od \$ 4.000 do \$ 8.000 — reprezentowani są drobni sklepikarze, rzemieślnicy, właściciele garażów, restauracji, farmerzy. Ci ostatni stanowią liczebnie największą grupę. Znamienne jest, że obok zawodowych rolników, którzy posiadali pieniądze na zakup gospodarstw (mogli sobie na to pozwolić jedynie b. żołnierze posiadający oszczędności oraz odprawy demobilizacyjne), pozostali na gospodarstwach byli zawodowi oficerowie i podoficerowie.

Benedykt HEYDENKORN.



## Kronika australijska

Obrady dorocznego zjazdu Rady Naczelnej polskich organizacji w Australii, odbyły się w atmosferze na ogół zgodnej, rzeczowej i poważnej. Jednak w krótkim przemówieniu "vox populi", nie spośród delegatów, padło ostrzeżenie: "partyjność odpycha, zwłaszcza młodzież". Wydaje się, że jest w tym sporo prawdy. Z rozmów z rodakami "chodzącymi samopas", a stanowiącymi, jak chyba wszędzie, ogromną większość, odnosi się wrażenie, że te londyńskie rozłamy polityczne schodzą na drugi plan, wobec narastającego rozłamu między masami uchodźcami a skłóconymi ośrodkami politycznymi naszej emigracji.

Życie organizacyjne, acz powoli, jednak krzepnie. Powstają nowe biblioteki-wypożyczalnie polskiej książki, kluby sportowe, kluby w nowych ośrodkach na prowincji, koła S.P.K. i A.K., Kręgi Starszo-Harcerskie, kolonie letnie dla dzieci, fundusze stypendialne, konkursy literackie itp. Poziom artystyczny programów akademii się podnosi a przedstawienia, jasełka, podwieczorki przy mikrofonie, mecze piłki nożnej i odczyty stają się miejscami spotkań rodaków, z których nie jednego "potępieńcze swary" na zebraniach, zraziły do uczęszczania, na nie.

Młoda Polonia Australijska, podobnie jak w pierwszym okresie milionowa masa wsiadłców w Niemczech, przeżywa rozkwit prasy lokalnej. Ukazują się tu 3 tygodniki o łącznym nakładzie 8 tys., Biuletyn Rady w języku angielskim, oraz 3 miesięczniki, względnie biuletyny, stowarzyszeń stanowych. Poza tym Polonia prenumeruje, lub kupuje, parę tysięcy egzemplarzy prasy polskiej z Europy. Za przykładem Brisbane zakrzępnęło się koło budowy, względnie kupna Domów Polskich. Zbiórki na ten cel odbywają się już w Perth (ok. 900 funtów), Melbourne i Adelaide, a w Sydney powstała spółdzielnia "Domu Polskiego im. Pawła Strzeleckiego". Jest no nazwa bardzo szczęśliwie wybrana, gdyż nazwisko "Strzeleki" jest znane każdemu Australijczykowi i przypomina o współudziale Polaków w rozwoju tego kontynentu. Gorzej byłoby z użyciem nazwy im. Kościuszki, bo góra tejże nazwy spowodowała, że istnieje "Alpinistyczny Klub im. Kościuszki" — czysto australijski.

Skoro mowa o zbiórkach, należy wymienić Fundusz Rady, który z posiadanych stukilkudziesięciu funtów, kilkadziesiąt wyasygnował na paczki do kraju, Fundusz Domu Dziecka Polskiego i wreszcie Skarb Narodowy, na który wplacono do końca ub. roku około 900 funtów australijskich.

Dipisi byli pierwszą falą nie brytyjskich imigrantów do Australii. Pierwszy okres miodowych miesięcy, gdy stanowili oni sensację i "atrakcję sezonu" minął. Teraz w prasie australijskiej coraz rzadziej ukazują się życiowe artykuły, a coraz częś-

ciej notatki o rozdmuchanych przestępstwach kryminalnych imigrantów. Rezerwuar DP w Europie już się wyczerpał, więc względy reklamowe z uwagi na przyszłych imigrantów już są nie potrzebne, a zresztą rząd prawicowy Menziesia pragnie znów zwiększyć odsetek Brytyjczyków w zmniejszonej w br. kwocie imigracyjnej. Dwuletnie kontrakty pracy imigrantów są w praktyce przedłużane pod pozorem, że urzędy nie mogą na czas zdążyć rozsyłać zawiadomień o ich wygaśnięciu. Polityka nadwyżek budżetowych i skierowywanie sił roboczych z przemysłów konsumpcyjnych do podstawowych, powoduje przejściowe bezrobocie, względnie zmniejszenie ogromnego tu zawsze popytu na ręce robocze. Restrykcje kredytowe hamują ruch budowlany, co uderza też w imigrantów, podobnie jak uznanie za przedmioty zbytku i obłożenie wysokim podatkiem naczyń, sztuków itp. rzeczy, potrzebnych przy zakładaniu swego ogniska domowego. Opłaty w obozach, w których nadal przebywają tysiące Polaków, znacznie podwyższono, chociaż, ani warunki się tam nie poprawiły, ani też nie zelżyły rygory, przypominające nieraz IRO. Toteż marzeniem każdego, zwłaszcza obciążonego rodziną jest posiadanie własnego domu.

Ilu jest Polaków w Australii, mieszkających we własnych domach, czy tymczasowych garażach? Trudno odpowiedzieć, nawet w przybliżeniu na to pytanie. W każdym razie w australijskich firmach już jest wyrobiona opinia, że dipis z małą ilością pieniędzy prędzej buduje niż Australijczyk z kapitałem.

(Na marginesie mała uwaga. B. obywatele sowieccy wykazują bodajże najsilniejszy pęd po posiadania własnego domu i ziemi. Trzydzięści lat wychowywania nowego sowieckiego człowieka, raczej wzmogły instynkt posiadania, zamiast go wyplenić).

"Nowo-australijczycy", traktowani raczej jako zło konieczne, wchodzą jednak w życie; coraz więcej techników i rzemieślników pracuje w swoim zawodzie, robotnicy biorą udział w zwalczaniu komunistycznych wpływów w związkach zawodowych. Właśnie liczący wielu dipisów (i Polaków) potężny związek metalowców, w ciężkiej walce, przy pomocy kartki wyborczej i Sądów usuwa swój komunistyczny zarząd, którego ostatni sekretarz Winorthon zajmuje nie byle jakie stanowisko — kierownika azjatyckiej centrali komunistycznych związków zawodowych w Pekinie, zwanej potocznie azjatyckim Kominformem.

Jakie problemy nurtują Polonię Australijską? Nie trudno przewidzieć, że na pierwszym miejscu będą troski dnia codziennego — urzędzenia się w nowym kraju, a w dziedzinie polityki — zagadnienie czy będzie wojna. Lecz są jeszcze inne, mniej oczywiste, a godne omówienia. Weźmy jako punkt zaczepienia np. popyt na prasę emigracyjną z Europy. "Kultura" ma tu odbiorców mało mniej niż 3-4 krotnie większa Polonia Brytyjska. poza tym dobrze idą... "Pokrzywy". Na pisma polityczno-pole-

miczne popyt jest mały. Patos, cierpiętnictwo już się przejadły. Raczej informacja, analiza i humor. Może jest to zdrowa reakcja samoobrony przeciw nagminnej pladze naszej emigracji — zgorzkniałości. Nie można nagromadzeniu się jej dziwić, skoro tylu ludzi z aspiracjami, ambicją, musiało zejść do roli szarych pracowników, bez widoków na awans, bez możliwości zaspokojenia głodu władzy i zaszczytów, skoro nasze uchodźstwo składa się przeważnie ze strzępów rodzin i jest pozbawione tej podstawowej komórki każdego społeczeństwa. Może tutejsze stosunki i klimat wpływają na ostrość zagadnienia "samotności", w przeważnie męskiej emigracji. Gdy się zbierze grono rodaków i prawi o żrącej ich tęsknocie, to często pisze się ojczyzna, a czytać należy — kobieta, względnie życie rodzinne. Chyba tylko w Australii zdarzyć się może zbiorowe ogłoszenie matrymonialne kilkunastu imigrantów pracujących w hostelu na pustkowiu i tą drogą pilnie poszukujących — żon. Małżeństwa z Australijkami są dotychczas rzadkie, a i tabliczką czekolady nie można podbić serca niewieściego, jak w Niemczech. Więc też problem samotności dominuje w życiu, już nie setek a tysięcy Polaków. To również wpływa w pewnym sensie na zgorzkniałość i wytworzenie specyficznej atmosfery środowiska.

Toteż, gdy były małorolny spod Sandomierza, co z rodziną już mieszka we własnym domku i z pogardą odsuwa porcję ananasów, lecz nie mając w wielkiej estymie "kangurów", zamierza kiedyś wrócić do Kraju i powiększyć swe gospodarstwo, trafi na polskie zebranie, gdzie toczą się homeryckie boje o każdy punkt statutu, o każde stanowisko drugiego sekretarza — zapytuje: czego oni się tak żrą? Gdy mu kto wytłumaczy, że to właśnie go zbliża do powrotu do Kraju, stanie się aktywnym członkiem zorganizowanej Polonii. Lecz jak mu wytłumaczyć?

E. ŻAGIELL (Sydney)

## Kronika londyńska

### Polskie szkolnictwo w Anglii

W obecnej chwili istnieje w Anglii 5 średnich szkół polskich — 3 męskie i 2 żeńskie. Dwie z tych szkół to tzw. Grammar Schools, dwie Modern Secondary i jedna szkoła techniczna.

Najważniejszym zagadnieniem kulturalnym polskim staje się w W. Brytanii sprawa tzw. szkół sobotnich, czyli kursów przedmiotów ojczyźtych dla dzieci polskich. Przedmioty te obejmują: język polski, historię i geografję Polski, naukę religii.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów prowadzi 27 szkół sobotnich, w których 58 nauczycieli uczy 550 dzieci. Komitet Oświaty dla Polaków ma pod swą pieczę 22 szkoły sobotnie, do których uczęszcza 320 uczniów. Trzecie miejsce zajmuje Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego, które prowadzi 9 takich szkół do których uczęszcza 198 dzieci.

Jednym z szczególnie interesujących i udanych eksperymentów w dziedzinie nauczania jest "The London School of Foreign Trade".

Początkowo była to Szkoła Handlu Zagranicznego, która powstała z inicjatywy rządu polskiego w r. 1942. W r. 1945 szkoła przejęta została przez Interim Committee dla Spraw Polskich a w r. 1947 przez Komitet Oświaty Polaków w W. Brytanii.

Szkoła kształci fachowców i służy nie tylko Polakom ale i cudzoziemcom, którzy przyjeżdżają do Londynu studiować nauki handlowe. Wychowankowie szkoły składają egzaminy w londyńskiej Izbie Handlowej (The London Chamber of Commerce) i do tej pory 1500 wychowanków złożyło ten egzamin, w czym 4/5 najwyższego stopnia. Szkoła zyskała wielkie uznanie nie tylko wśród Polaków lecz i u władz angielskich, czego wyrazem była zgoda ministerstwa na zmianę nazwy szkoły, która obecnie brzmi: The London School of Foreign Trade.

LONDYŃCZYK

## Jubileusz Karpaczków

Koledzy Karpaccy,

Zarząd Główny Związku Karpaczków podjął prace przygotowawcze obchodu dziesiątej rocznicy powstania 3 Dywizji Strzelców Karpackich, przypadającej na dzień 3 maja br. Uroczystości obchodzone będą prawdopodobnie w dniach 2 i 3 maja w Londynie.

Rozproszenie Kolegów Karpaczków po całej kuli ziemskiej, nie pozwoli przytłaczającej większości byłych żołnierzy Dywizji na wzięcie osobistego udziału w uroczystościach, wobec tego, Zarząd Główny postanowił wydać okolicznościowe wydawnictwo.

Nawiązujemy do pięknych tradycji "Gońca Karpackiego", który tym razem ukaże się w formie książki, w objętości 160-180 stron. Ogłoszone w niej będą fragmenty powieści, opowiadania, wspomnienia osobiste, nowele, artykuły, felietony, poezje i korespondencja z krajów, w których Karpaccy żyją i pracują. Komitet Redakcyjny ma zapewnioną współpracę pisarzy, byłych żołnierzy 3 D.S.K.

Zwracamy się z prośbą do wszystkich Kolegów o zgłaszania zamówień na książkę, cena której wyniesie 6/-, w U.S.A. i Kanadzie 1 dol., w innych krajach równowartość 1 dol., za egzemplarz. Zamówienia wraz z należnością w czekach, P. O., M. O., (przekreślonych & Co., i wystawionych na Adm. "Gońca Karpackiego") przysyłać prosimy na adres: "Goniec Karpacki" c/o J. Z., 7 Westbury Road, London, N. W. 10. Zachęcamy do zamówień zbiorowych, co obniży koszt przesyłki.

Książka ukaże się w okresie uroczystości i będzie stanowiła symboliczną łączność Rodziny Karpackiej w dniu jej święta.

Prosimy gorąco o współpracę i pomoc. Wierzmy w to, że tradycje karpackie są równie żywe, jak były przedtem, mimo ciężkich warunków. Wierzmy także w to, że znajdują się ofiarodawcy, którzy oprócz zamówień na jubileuszowe egzemplarze "Gońca", złożą dobrowolne datki na kosztą jego wydania za co z góry dziękujemy.

Zarząd Główny Związku Karpaczków

## Sprawy Krajowe

### Listy z Polski

W 1925 czy 26 roku przyjechała do Paryża młoda pianistka sowiecka w celu zapoznania się z muzyką francuską. Była ciepła jesień — babie lato.

Na ławkach bulwarów grały się staruszki a na wybrzeżach Sekwany siwobrodzi emeryci śledzili sennie drgające na wędkach pływaki.

— Co mnie tu uderza na wstępie, — oświadczyła młoda osoba — to ilość starców.

— Nie ma u was starców? — zdziwiła się towarzysząca jej Francuzka.

— Nie ma.

— To gdzież się podzieli?

— Umarli! — odparła sowietka tonem stwierdzającym fakt oczywisty.

Reżim sowiecki obiecujący ludziom raj na ziemi, nie sprzyja starości ani nieuleczalnym chorobom. Starość i kalectwo to sprawa miłosierdzia, zaś słowo to, jak i samo pojęcie, jest zbyteczne w społeczeństwie racjonalnie zorganizowanym. Murzyni pozbywają się nieproduktywnych obywateli strzając ich z kokosowych palm, Niemcy stosowali zastrzyki fenolu; mniej gwałtowną metodą są warunki życia, sprzyjające śmierci i przyspieszające ją.

Stary człowiek w rodzinie żyje życiem społecznym, może spełnić szereg usług, bywa do końca szanowany lub kochany. Ale praca trzech dorosłych a nieuprzywilejowanych pracowników nie wystarcza na utrzymanie czwartego niezarobkującego. Rodzina jest więc często zmuszona oddać starca do przytułku, w Polsce są takie przytułki, czy są w Sowietach — nie wiem. Człowiek w przytułku to kamień odrzucony od budowy, za życia umarły.

Każdy stary usiłuje więc do ostatniego tchu zapracować na swój kęs chleba, dla tego umiera prędzej, a może i chętniej.

Wystarczy czytać między wierszami listy, które dochodzą nas

z kraju, żeby zrozumieć dlaczego ludzie odchodzą tam, nieraz w pełni sił twórczych i umysłowych. Zresztą oni to najczęściej odważają się pisać, nie młodzi, o których wiemy mniej jeszcze; również nie tają że zalewani co dnia i co godziny kubłami kłamliwej propagandy dosłownie duszą się z braku powietrza.

*De publicis* — pisze jeden z nich — dowiadujemy się wyłącznie ze źródeł zagranicznych. Tu nic, doprawdy nic nie wiemy, nie widzimy, nie czujemy. Jak te kuropatwy Chełmońskiego zmarznięte wewnętrznie i zewnętrznie drepczemy koło załatwienia, z najwyższym wysiłkiem najprymitywniejszych potrzeb...”

Kilku szczegółów dotyczących płac i kosztów utrzymania dowiadujemy się z innego listu.

Pedagodzy, urzędnictwo doprawdy stoją na krawędzi nędzy. O naiwności amerykańska! Myślisz, że każda uczennica może zaopatrzyć się w złote pióro. Wszak żadnego z nauczycieli z dyrektorem włącznie nie stać na to, bo to ich miesięczna pensja z której muszą się utrzymać z rodziną...

Czytamy dalej w liście starszego woźnego, byłego urzędnika samorządowego:

Obiady mamy zupełnie znośne i stosunkowo niedrogie w naszym internacie (też całe utrzymanie), jednak podnieśli je nam o 25% (w gospodzie miejskiej skoczyło trzykrotnie i jeść nie można) — ale pensji nikomu nie dodali. Całe urzędnictwo bierze z góry pensje i już do 5-go nic nie ma i głoduje, nie mówiąc o ubraniu. Mężczyźni dosłownie wypadają ze swych spodni. Kobięce ubrania tańsze więc jakoś sobie radzą. Ja otrzymuję 360 zł., dzięki waszej pomocy jakoś sobie radzę. Ubiegłego roku miałem opał i mieszkanie, teraz mieszkam prywatnie i nic mi nie dodają. Płacę mieszkanie 60 zł., obiady i drugie śniadanie 108, gospodyni za mleczywo itd. plus minus 100, na jakiś plan wytrącają 15. Zaliczam się do pracowników fizycznych. Młodzi woźni biorą 270-300 zł., także sprzątaczkę i pracownice kuchenne i mają z tego wyżyć z rodziną! Ale im bardzo dobrze się dzieje, kradną zupełnie otwarcie, żyją dostatnio, starają się z dużym powodzeniem jak najmniej robić. Profesorowie przeciętnie mają mniej niż 1.000 zł., zdaje się że maksymalnie 1400, ale od 600 wżwyż płacą podatek i to znaczny i potrącają im proporcjonalnie na jakieś pożyczki, plany itd. Są to tak zwane **dobrowolne** ofiary. Dodajmy, że każdy pracownik ma kasę chorych, zasiłek rodzinny na każde dziecko, 120 zł., bezpłatne połogi, pogrzeby itd. — a jednak z tym wszystkim utrzymać się znośnie nie sposób...

A oto z innego listu kilka szczegółów na tematy gospodarki rolnej:

Radio zagraniczne przepełnione jest wiadomościami o zawaleniu się planu 6-cio letniego i przyczynach tego zawalenia. Zdaje się, że przyczyna jest wyłącznie jedna: polityka rolna, która doprowadziła do głodu. 1<sup>o</sup> Kolektywizacja wsi, 2<sup>o</sup> Rozkułaczenie chłopów.

Tylko bogatszy chłop, kułak, produkował ponad swoje potrzeby, na zbyt. Postanowiono go zniszczyć. Gazety nasze wciąż piszą, że tylko mało- i średniorolni wywiązują się z dostaw i podatków a kułacy nie, bo sabotują, opierają się itd. A nie mówią, że wszelkie ciężary wrzastają nieproporcjonalnie, tak że kułak absolutnie nie jest w stanie im podołać a mało- i średnio-rolnym przychodzi to z zupełną łatwością. Jeżeli kułak wypłaci należność w naturze, naznaczają mu domiar, na-

wet kilkakrotnie, póki go ostatecznie nie wyczerpią. Po opłaceniu wszelkich domiarów, jeszcze przychodzi rewidować czy mu nie za wiele zostało; sam byłem świadkiem takich scen. Nic dziwnego, że musi likwidować inwentarz, a przede wszystkim zrezygnować z hodowli świń. Dodajmy do tego niesłychaną drożyzną najemnika z hodowli świń. Ideałem chłopca jest obecnie obrabiać tylko tyle ziemi ile podoba z rodziną. Jasne, że taka gospodarka prawie nic na zbyt nie wyprodukuje.

Minc w swej mowie użył wprost humorystycznego powiedzenia, że jedną z przyczyn braku mięsa jest to, że daje się zauważyć u chłopca pewne zobojętnienie do spraw hodowlanych! A czymże miał karmić (inwentarz) gdy mu wszystko zabrano?

Pomimo jawnej klęski, choć kolektywizację zwolniono, prześladowanie kułaka trwa. W latach 47, 48 był już taki nadmiar świń, że gospodarze byli zmuszeni ograniczyć hodowlę i myślę, że gdyby wszystkie majątki rządowe produkowały wyłącznie na eksport, kułacy wyżyliby całą ludność. Gdybyście widzieli te ogonki i ilość i jakość sprzedawanego towaru! Zdarzało się, że rzeźnik przynosił przydział w tece: kilkanaście nóżek lub ogonów, kawałek pyska! Pracownicy państwowi w kuchiłli na tym najgorzej, bo po godzinach pracy nie było już co kupić.

P. X., wyższy urzędnik w jednym z ministerstw Polski przedwojennej, dostał po 1945 r. w tymże ministerstwie skromną posadę; po dwóch latach wymówiono mu ją i dano nową: obsługę pompy benzynowej na ulicy. Przy tej robocie nabawił się długotrwałej niemocy, przeleżał sześć miesięcy w szpitalu, po czym przeniesiono go na emeryturę, dosłownie głodową. Stary ten człowiek ma syna zagranicą, który mu pomaga, ale są tacy co nie mają nikogo bliskiego na emigracji.

Wiem, że tęsknicie za Polską, ale dziękujcie Bogu, że Was tu nie ma — czytamy gdzie indziej. — Serce boli patrzeć na tę straszną dewaluację moralną i materialną. My starzy dusimy się...

Przemiany zachodzące wśród młodego i najmłodszego pokolenia pod ich powierzchownym zglajchsztaltowaniem są bardzo rozmaite i różne od reakcji starych i starszych. Sama energia młodości i wiara we własne siły, a więc i w życie, pozwała im ufać. Jedni ufają w swój awans socjalny i wspaniały świat przyszłości do którego budowy każdy pracą swoją przykładą rękę, inni, zdając sobie sprawę z poniesionych ofiar, z poniżenia człowieka, narzuconego dyscypliną partyjną, z codziennym zakłamywaniem się włącznie, godzą się na wszystko, w imię obiecanego «raju».

Mieczysław Jastrun w poemacie «W pracowni Świata» pisze:

*Fauście epoki komunistycznej  
Czarodzieju,  
Ty, co panujesz  
Nad widmami  
Wywołanemi  
Z powietrza,  
Spod ziemi,  
Ukaż mi swoje oblicze!...*

*Warszawa wstaje ze swych podziemnych cmentarzy,  
Czysta i nieulekła,  
Praga Czeska, o wnętrzu skamieniałej róży,  
Otwiera złote sale dla nowego piękna...*

Są i tacy, którzy wierzą w rychłą odmianę, wojnę, interwencję Ameryki, czy wreszcie samego Pana Boga, w cud... «bo tak dalej trwać nie może!».

Poniżej jeszcze garść uwag osoby zbliżonej do sfer pedagogicznych:

Ze ich (młodzieży) stosunek do życia z każdym rokiem się zmienia, nie ulega wątpliwości; ale czy my sami mniej się zmieniamy? Wypadliśmy z formy przedwojennej i już się w niej nie zmieścimy. Rzeczywistość ma większy wpływ niż nam się zdaje, sami siebie przedwojennych nie poznalibyśmy. Jednak bunt przeciw obecnym porządkom jeszcze tkwi, szczególnie na polu religii.

Na Wszystkich Świętych, w jednym z zakładów, kazano cały dzień porządku robić, młodzież się buntowała. Po obiedzie nawet do kina nie puszczono, z obawy, aby nie poszli na nieszpory. Nazajutrz (Dzień Zадuszny) dyrektor pozwolił iść do kina, ale młodzież się uparła: «Wczoraj nie puściłeś, dziś nie chcemy» — Ale kiedy dał bezpłatne bilety to większość poszła. W drugim zakładzie urządzono rano uroczystą Akademię, a potem tzw. silentium, tj. przygotowanie lekcji. Tylko nielicznym udało się wymknąć. Kierownik stał i zawracał wychodzących (sam z żoną są bardzo wierzący). Rozgoryczenie było wielkie.

Nauka religii w zasadzie nie zniesiona, ale gdy prefekt jednej szkoły zwrócił się w sprawie wyznaczenia następcy nie otrzymał odpowiedzi i nikogo nie naznaczono...

A oto jeszcze jedno świadectwo, wyjęte z listu studentki do koleżanki na emigracji, głos dziewczyny, która w okresie walk konspiracyjnych nabawiła się nieuleczalnej choroby.

Wpadły mi w ręce fotografie z Z. — pisze — i stare dzieje i czasy stały mi się bliskie a ta przestrzeń tyłu lat nieaktualna... Nic już od dawna nie wiem o tobie, nawet nie wiem ilu już masz synów, kochana?...

O moich zasadniczych perypetiach, zdrowiu itd. wiesz coś nie coś... Ale nie mogę powiedzieć (nawet mi trochę wstyd) żeby ta sprawa wpłynęła specjalnie na moje życie. W marcu robię dyplom na Wydziale... pracuję, mam masę przyjaciół, takich trochę zwariowanych i bardzo młodych i żyjemy, o ile to możliwe, uciekając od rzeczywistości w krainę sztuki. To jednak murowana ucieczka i daje masę przyjemności; jedni są na Akademii Sztuk Pięknych, inni na Architekturze... i zupełnie nam dobrze, — o ile to możliwe teraz. —

Bardzo tylko tęsknię do wiadomości ze świata — nie wiem co się dzieje z koleżankami z Anglii i Francji, napisz parę słów! Może coś chcesz wiedzieć o Warszawie? Nie wiem co cię interesuje... Czy pamiętasz i trochę tęsknisz do naszej starej, śmiesznej Warszawy i co się z Tobą dzieje?...

Pytacie jak się teraz ubieramy — odpowiada młoda urzędniczka — na ten temat napiszę obszerniej. Ubieranie u nas nie jest ubieraniem w normalnym tego słowa znaczeniu, jest albo okrywaniem się w zależności od temperatury, albo kostiumowaniem się. Dla wyjaśnienia muszę wam powiedzieć co to są ciuchy.

«Ciuchy» to jest targ na Pradze ze starzyzną, przeważnie z paczek amerykańskich. Zresztą czasem trafiają się też nowe rzeczy; teraz «ciuchy» stały się zresztą już bardzo drogie. Na «ciuchach» można

spotkać cały wytorny świat Warszawy, a noszenie tych rzeczy tak bardzo różniących się od naszych, nazywamy kostiumowaniem się. Idąc na prośzoną kolację wkładam liliowy sweter z "ciuchów" i czuję się bardzo elegancka, to samo moi koledzy, kiedy włożą jakiś dziwny szalik lub krawat i są z tego bardzo dumni.

Do teatru chodzi się w swetrach i nie ma takiego miejsca w każdym razie dla mnie, gdzie by nie wypadało pójść w tym w czym się pracowało całe rano.

Moi koledzy marzą o włożeniu choć raz w życiu fraka czy smokingu i bardzo chętnie dyskutują jak który by w nim wyglądał. Takie podejście do spraw ubraniowych bardzo upraszcza życie, chociaż niekiedy robi się smutno gdy się pomyśli o tych wszystkich uproszczeniach...

Kochani moi, tak pisać mogłabym do was tomami, tylko to też trudno bo nie wiadomo czasem jak napisać to co się chce napisać...

Pytacie co nam przysłać? Każde czasopismo z dziedziny mody czy sztuki, nawet sprzed kilku miesięcy, czy pół roku jest dla nas szaloną atrakcją; ale najlepiej o treści najbardziej "obojętnej"... To co macie w domu, taka byłaby radość, nie macie pojęcia jak nam tego brak! Ja mam jeszcze prośbę osobistą: przed paru dniami zgubiłam mój ukochany beret, dostałam go od znajomego, który wrócił z Anglii. U nas beretu nie można dostać nawet na "ciuchach". Prosiłabym o taki zwyczajny miękki, w jakim chodziłyśmy do szkoły, miałabym spokój na lata, naturalnie o ile to nie kosztuje bardzo drogo. To jest właściwie jedyna rzecz o której teraz marzę stamtąd, bo jeśli chodzi o inne to się marzy o wszystkim, ale o niczym mniej albo więcej, o wszystkim bardzo...

Tęsknota za światem wolności, ciekawość wszystkiego co jest dla nich niedostępne, tęsknota za tym *innym* życiem dla nich zamurowanym, występuje z tych listów, aż drżą od niej słowa.

Uderzająca jest też ucieczka od rzeczywistości wrogiem i obcej w świat fikcji. Ucieczką tą ratują się nie tylko starzy ale też dość znaczny odłam młodzieży, zwłaszcza tej, którą kształciły jeszcze lata okupacyjne i konspiracyjne.

A Jastruń powiada w tymże już cytowanym poemacie:

*Do ciebie każda moja myśl należy  
Młodości naszej planety!*

M. S.

## Przemysł filmowy w Polsce

Odbudowa przemysłu filmowego w Polsce po wojnie zaczęła się po prostu od zera, gdyż z tego, co było przed wojną, nie pozostało nic. Atelier w Warszawie zostały spalone, urządzenia uprzednio wywiezione do Niemiec. Obecnie przemysł filmowy jest całkowicie upaństwowiony.

### Organizacja

Wielki koncern państwowy p.n. Przedsiębiorstwo Państwowe "Film Polski" obejmuje całość przemysłu filmowego. Generalna dyrekcja

koncernu, na czele której stoi inż. arch. Stanisław Albrecht (brat przewodniczącego warszawskiej Rady Narodowej, również komunista), mieści się w Warszawie i podlega Ministerstwu Kultury i Sztuki. Generalna dyrekcja zarządza tzw. przedsiębiorstwami wyodrębnionymi. Są to:

**Wytwórnia filmów fabularnych w Łodzi** (filmy pełnometrażowe). Dyrektor H. Brudziński.

**Wytwórnia filmów dokumentalnych w Warszawie.** Do niej należy również produkowanie kronik tygodniowych.

**Wytwórnia filmów oświatowych w Łodzi.**

**Centralny Zarząd Kin w Warszawie.** (Ilość kin szerokotaśmowych w Polsce wynosi obecnie ok. 700, nowe są stale budowane. Kin chłopskich, wąskotaśmowych (16 mm.) jest obecnie ok. 1000. Po zakończeniu wykonania planu sześcioletniego ma ich być 3300, po jednym na gminę. Kina te są przeważnie czynne dwa razy w tygodniu: w sobotę i niedzielę. Kin wędrownych jest ponad 200. W Warszawie, gdzie w 1945 r. czynne były tylko 2 kina, jest ich obecnie ok. 12. Szczegół charakterystyczny — teatrów jest w Warszawie 16, a więc więcej niż kin.)

**Centrala Rozpowszechniania Filmów w Warszawie** — zajmuje się wynajmowaniem filmów polskich i zagranicznych.

**Fabryka surowca filmowego w Warszawie.** Mieści się ona na Woli, w spalonej podczas powstania i odbudowanej później fabryce Franaszka, która przed wojną produkowała surowiec fotograficzny. — Fabryka ta produkuje wyłącznie pozytyw. Negatyw sprowadzany jest ze wschodnich Niemiec (firma "Agfa" w Wolfen).

**Fabryka aparatów filmowych projekcyjnych w Łodzi.** Produkuje aparaty do filmów szeroko i wąskotaśmowych (35 mm. i 16 mm.).

**Fabryka sprzętu filmowego w Łodzi.** Produkuje reflektory do atelier, wózki, itp.

**Fabryka klisz i papieru fotograficznego w Bydgoszczy.**

**Prasa filmowa (Warszawa).** Dział ten obejmuje tygodnik "Film", dwa miesięczniki oraz kilka pism technicznych, jak "Kinotechnik" i inne.

Według wiadomości z prasy, rozpoczęto w Warszawie budowę nowej fabryki, która w 1953 r. ma produkować seryjnie aparaty projekcyjne, ulepszonej konstrukcji, do filmów wąskotaśmowych. Prasa również pisze o powstającym w Komorowie koło Warszawy mieście filmowym, największej inwestycji filmowej planu 6-letniego. W Komorowie, po zakończeniu budowy, ma powstawać ok. 20 filmów fabularnych rocznie.

Ilość osób, zatrudnionych w przemyśle filmowym, wynosi ok. 11.000 (wg. innych danych 13.000), łącznie z personelem kin. W pracy odczuwa się niewątpliwą przerost biurokracji.

### Produkcja

Jedynie obecnie w Polsce atelier do produkcji filmów pełnometrażowych mieści się w Łodzi, w trzech halach. Hala Nr 1 przerobiona została z dawnej hali sportowej, pozostałe dwie dobudowano później.

Produkcja polskiego przemysłu filmowego jest stosunkowo niewielką: rocznie 3—5 filmów pełnometrażowych, 10—12 filmów krótkometrażowych, 60—70 filmów oświatowych i 52 tygodniki.

Urządzenia atelier w Łodzi pozwalają na produkowanie 7—8 filmów pełnometrażowych rocznie. Jednak produkuje się mniej (od 1946 r.

wyprodukowano łącznie 14 filmów), a to z dwóch głównych powodów: przerost biurokracji filmowej oraz brak odpowiednich scenariuszy.

Brak scenariuszy jest zjawiskiem znanym również w światowym przemyśle filmowym. W Polsce jednak brak ten odczuwa się szczególnie dotkliwie. W tej dziedzinie braki były i dawniej większe niż gdzie indziej. W obecnych warunkach powstają dodatkowe trudności. Autorzy nie potrafią zaspokoić wymagań reżimowych co do pisania w duchu komunistycznym, tj. nie potrafią odpowiednio połączyć akcji filmu z propagandą. Wobec tego, projekt kilkakrotnie powraca do autora, w celu dokonania poprawek, zarządzonych przez biuro programowe. Dopiero kiedy Dyrekcja Programowa (dział Gen. Dyrekcji w Warszawie) akceptuje scenariusz pod względem artystycznym i politycznym, film można skierować do produkcji. Jedną przy tym uwagę: rozrywka dla rozrywki jest zabroniona i określana jako "ogłupianie ludzi pracy". Rozrywka też musi być "kształcąca".

Spomiędzy wyprodukowanych dotychczas filmów pełnometrażowych, dwa uzyskały sukces międzynarodowy. Są to: "Ostatni etap" (reż. Wanda Jakubowska) i "Ulica Graniczna" (reż. Aleksander Ford).

### Film o Chopinie

Przypuszczalnie w końcu grudnia b. ub. zakończono produkcję filmu "Młodość Chopina" (scenariusz i reżyseria Aleksander Ford). Będzie to największy z dotychczas wyprodukowanych filmów, pod względem nakładu pracy i nakładu pieniężnego. Budżet produkcji tego filmu wyniósł 11 milionów zł. W roli Chopina występuje Czesław Wołłejko, młody aktor Teatru Polskiego w Warszawie; w roli Konstancji Gładkowskiej — Aleksandra Śląska (pseudonim), pochodząca ze Śląska i uważana za najzdolniejszą aktorkę filmową; w roli Lelewela — Tadeusz Białoszczyński, w roli ks. Adama — Gustaw Buszyński (aktor Teatru Polskiego w Warszawie). Film zawiera 140 ról i epizodów, w scenach zbiorowych występuje ok. 12 tysięcy statystów.

Przygotowanie filmu trwało 1½ roku; przeprowadzono studia historyczne w Polsce, w Wiedniu i w Paryżu. Film obejmuje lata 1826-1832, przy czym 2/3 fabuły dzieje się w Polsce. Film kończy się sceną, przedstawiającą naradę polityków emigracyjnych w sali Taranne w Paryżu. Podobno treść filmu nie jest obciążona politycznymi serwitutami, natomiast tendencja polityczna występuje w silnym podkreśleniu współczesnych Chopinowi ruchów rewolucyjnych.

### Wpływy sowieckie

Jakkolwiek dotychczas jeszcze film polski jest artystycznie samodzielny, to jednak odczuwa się wpływ filmów sowieckich, sowieckiej beletrystyki i literatury filmowej. Przede wszystkim jednak wpływ ten się przejawia w narzucaniu oficjalnego, komunistycznego kierunku.

Filmów na tematy rosyjskie dotychczas nie produkowano, natomiast w niektórych filmach, jak "Ostatni etap" i "Miasto nieujarzmione" występują postacie Rosjan i to wyłącznie jako postacie typu dodatniego i bohaterskiego. Scenariusze, jak dotychczas, są pisane w Polsce. Np. scenariusz do filmu o Dzierżyńskim napisał inż. Eugeniusz Cękański, we współpracy z wydziałem historycznym Komitetu Centralnego PZPR. Przy wytwórni filmów fabularnych w Łodzi istnieje "studio dubbingowe", które nagrywa polskie wersje (dialogi) filmów sowieckich (ok. 12 filmów rocznie). Pozostałe filmy sowieckie i wszystkie inne — obcojęzyczne mają wkopiowane napisy.

Ostatnio "Film Polski", w oparciu o sowiecką literaturę techniczno-filmową, stara się "we własnym zakresie" przechodzić na stosowanie metod sowieckich. Przed rokiem grono filmowców (przeważnie dyrektorzy) spędziło w Moskwie dwa tygodnie, w celu zaznajomienia się z organizacją filmową w ZSSR.

### Szkolnictwo filmowe

W Łodzi istnieje "Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa", posiadająca dwa wydziały: reżyserski i operatorski. Nauka trwa 4 lata (specjalizacja po 2 latach). Warunkiem przyjęcia jest posiadanie świadectwa dojrzałości. Szkoła jest subsydiowana przez "Film Polski", wykładowcami są przeważnie czynni filmowcy.

Ponadto młodzież filmowa (ok. 6-10 osób) studiuje w Pradze, w tzw. "Amu", gdzie w pracy poszczególnych reżyserów odczuwa się, jak dotychczas, wpływy szkoły "włoskiej".

### Place w przemyśle filmowym

Place artystów, grających główne role wynoszą 500—600 zł. za dzień gry. w rolach pobocznych 240—500 zł. Statyści otrzymują 30 zł. Przy produkcji 3—5 filmów rocznie nawet artyści, grający główne role, nie mogliby się utrzymać z niepewnej i rzadkiej pracy filmowej. Przeważnie więc podstawą dla nich jest praca w teatrze, a film — "pozabiurowką".

Tzw. "trójka realizatorska", tj. reżyser, kierownik produkcji i pierwszy operator otrzymują pełne pensje miesięczne, bez względu na to czy w danej chwili kręcą czy też mają "prześtój". Są oni podzieleni na kilka kategorii, przy czym różnice między poszczególnymi kategoriami nie są duże (występują one dopiero wyraźnie w tzw. umowach o dzieło). Np. reżyser kategorii I otrzymuje 2.100 zł miesięcznie, kierownik produkcji 1500 zł., operator 1500 zł.

Umowę o dzieło podpisuje ponadto każdy z "trójki", przystępując do realizacji filmu. Filmy są klasyfikowane jako normalne, trudne i b. trudne. Od klasy zależy wysokość pobieranego wynagrodzenia z tytułu umowy. A więc np. (film "b. trudny"): reżyser I kat. otrzymuje 60.000 (za dzieło), kierownik produkcji I kat. 25.000 zł., operator I kat. 36.000 zł.

Po wykonaniu filmu, komisja kwalifikująca w Min. Kultury i Sztuki ocenia film jako: średni, dobry lub b. dobry. Według tych ocen są wypłacane premie. Np. (film "b. dobry") — otrzymują: (bez względu na kategorię) reżyser 60.000 zł., kierownik produkcji 27.000 zł., operator 36.000 zł.

Umowy o dzieło mają również architekci, montażyści, operatorzy dźwięku, charakteryzatorzy. Wszyscy inni członkowie sztabu produkcyjnego (ok. 45 osób), artyści, kierownicy zdjęć, rekwizytorzy itd. są na etatowych pensjach miesięcznych, przy czym podczas produkcji otrzymują tzw. dodatek produkcyjny plus 75 do 100 proc. pensji.

BERLIŃCZYK

## Archiwum polityczne

### «Targi» frankfurckie

Piąty kongres «Socjalistycznego Ruchu dla stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy» obradował w lutym, we Frankfurcie nad Menem. Obradował trzy dni i przez cały czas słońce świeciło na jasnym frankfurckim niebie, choć większość delegatów stwierdzała, że niebo europejskie jest mocno zachmurzone. Dwie sprawy sprowadziły tutaj przedstawicieli Ruchu z kilkunastu krajów Europy: ułożenie wspólnej deklaracji zasad socjalizmu europejskiego oraz tzw. zagadnienia aktualne, czyli mówiąc po prostu — sprawa armii europejskiej. Nad pierwszym punktem rozprawiano z ożywieniem, ale w końcu przyjęto projekt referenta p. André Philip'a, z niewielkimi zmianami. Drugi punkt wywołał już znacznie namiętniejszą dyskusję i choć uchwalono większością wspólną rezolucję, to jednak strony pozostały, w gruncie rzeczy, na dawnych stanowiskach.

W sali obradowej wisiał transparent z napisem: «Zjednoczenie Europy tylko poprzez socjalistów». Napis ten jednak nie zupełnie ściśle wyrażał zamiary organizatorów, bo ci przyszli z propozycją stworzenia szerokiej «europejskiej lewicy». Miał to być nowy ruch, oparty nie tylko na socjalistach, ale i na demokratych chrześcijańskich — ruch o socjalistycznym podłożu i inspiracji, ale bez oficjalnej, partyjnej dyscypliny. Głównym projektodawcą był Francuz Constant, który zwracał uwagę na niebezpieczeństwo «wojny religijnej» w wypadku, gdyby na przeciw siebie stanęły dwa europejskie bloki: «bezbożnych» socjalistów i demokratów chrześcijańskich. Projekt uzyskał uznanie w niektórych delegacjach, podczas gdy inny Francuz André Philip zalecał utworzenie wszech (zachodnio) europejskiej partii socjalistycznej. Skończyło się (po pewnej opozycji, rzecz jasna, ze strony delegatów-przywódców partii oficjalnych) kompromisowym apelem na rzecz pierwszej tezy.

Ale, co najważniejsze, projekty te wynikły z buntu przeciw urzędowemu socjalizmowi, z niezadowolenia z jego dotychczasowo-

wej działalności i z dość wszechstronnej krytyki jego dzisiejszego stanu. Stwierdzano nie bez melancholii, że partie socjalistyczne prawie już nigdzie w Europie nie reprezentują warstwy robotniczej (Constant); że socjalizm nie jest uniwersalny w znaczeniu powszechnej wiary czy filozofii, ani też nie jest jednolitą doktryną socjologiczną. Takie oceny znalazły się w referacie Belga prof. Brugmansa, którego zdaniem «międzynarodowa socjalna demokracja odwróciła się od Marxa, ale nie powróciła do Proudhona i reszta nie znalazła niczego lepszego. Wynikiem jest kryzys doktrynalny».

Wykazano, że w łonie urzędowego socjalizmu zrodziły się dwa niebezpieczeństwa, które André Philip nazwał korporatyzmem i nacjonalizmem. Jeden polega na współudziale patronatu i robotników w zyskach monopolowych, drugi na ich współudziale w budowaniu państwowych systemów protekcyjnych, co jest zabójcze dla gospodarki i dla idei europejskiej. Toteż Philip poszukuje rozwiązania we współpracy «ze wszystkimi, którzy pragną rewolucji technicznej i społecznej», to jest «z twórczymi technikami i z neoliberalizmem przemysłów eksportowych». Szuka więc powiązania europejskiego socjalizmu z dynamicznym kapitalizmem amerykańskim — odpowiednika politycznego i wojskowego sojuszu. Pragnie, aby socjalizm stał się doktryną nie tylko rozdziału, ale i powiększenia dochodu społecznego. — Skarżono się również na to, że socjaliści brytyjscy i skandynawscy trzymają się z dala od ruchu europejskiego i że, w praktyce, oficjalne partie socjalistyczne są «główną przeszkodą w jego rozwoju».

Jedna ze sprzeczności kongresowych, przynajmniej dla obserwatora z zewnątrz, polegała na tym, że ci sami ludzie, którzy wykazywali słabość a nawet stwierdzali istnienie kryzysu socjalizmu w Europie — jednocześnie dowodzili, że ów socjalizm jest zdolny do stworzenia w Europie nowego i potężnego ruchu.

W rozprawach na temat armii europejskiej, zajęte od początku pozycje nie uległy większym zmianom pod koniec kongresu. Wychodząc z baz, założonych przez Schumana i Plevena, większość Francuzów, wspomagana przez delegatów z innych krajów, ruszyła do generalnego szturm na okopy, w których bronili się delegaci niemieccy. Rozwinąwszy europejskie sztandary, atakujący zarzucili naprzód niemieckie okopy chmurą strzał argumentów. Ukazywali złe strony neutralistycznej postawy; korzyści dla Niemiec i dla przyszłej europejskiej federacji, wynikające z utworzenia, już dziś, wspólnych europejskich sił zbrojnych; niebezpieczeństwa, jakie mogą powstać w chwili, gdy Amerykanie «będą tego mieli dość» i odwrócą się zupełnie od Europy, jak to już dawniej bywało. Słowem, były to argumenty, które już znamy z dyskusji parlamentarnych i prasowych.

Niemieccy socjaliści bronili się zaciekle, odpiernając ciosy, z rzadka tylko strzelając z broni większego kalibru. Ich stanowisko, przez cały czas, było oficjalnym stanowiskiem ich partii, SPD, podczas gdy «przeciwno» sobie mieli gromadę «europej-

skich hultowników» (nie tylko socjalistycznych, bo np. wśród delegatów francuskich byli i członkowie MRP). Ich postawa była na ogół b. jednolita, co nawet wywołało drobne nieporozumienia. I tak np. gdy ktoś z Niemców dobitnie oświadczał, że dane stanowisko «nie może być uznane przez delegację niemiecką», przewodniczący cierpliwie wyjaśniał, że na Kongresie nie ma w ogóle delegacji narodowych, a więc każdy z delegatów przemawia tylko w swoim imieniu.

Między tymi dwoma oddziałami uwijali się harcownicy, przeważnie z francuskiej i belgijskiej strony, walczący na swoją zupełnie rękę i wypowiadający różne opinie, nie pokrywające się ze zdaniem większości ich rodaków. Ale to nie zmieniło ogólnego przebiegu frontów.

Delegacja — przepraszam, panie przewodniczący — delegaci niemieccy zdawali sobie sprawę z tego, że są zdobywani. Nie ukrywali zresztą (tak jak nie ukrywa się tego i na szerszej widowni politycznej), że z sytuacji takiej pragną wyciągnąć maksimum korzyści. Szli cały czas drogą, chciałyby się powiedzieć klasycznej dyplomacji, przerzucając odpowiedzialność za obecną sytuację na tych, którzy ją stworzyli, nie dając się zbić z tropu groźbie amerykańskiego, powrotnego izolacjonizmu i rezerwując sobie na przyszłość swobodę ruchów, nawet wobec zapadłych już decyzji rządu czy większości rządowej w parlamencie zachodnio-niemieckim. Zastrzegając sobie wybór dogodnej chwili do decyzji, wyrzekali się jednocześnie i armii europejskiej i neutralności, nie przemując się sprzecznościami, które tak poirytowały p. Spaaka.

P. Spaak wygłosił już przedtem przemówienie, apelując do dobrej woli obu stron, żądając «dyrektyw a nie rezolucyj», a przede wszystkim sprecyzowania stanowisk i przypominając, że są tylko trzy rozwiązania: Niemcy razem z Rosją — to «straszne» (épouvantable), podczas gdy neutralne Niemcy pod ochroną czterech mocarstw — to wojna; Niemcy obdarzone suwerennością w dawnym stylu — to niebezpieczeństwo «Lebensräume», paniki «okrażeniowej» itp.; wreszcie jedyne co pozostaje — «Niemcy w Europie». Potem, wobec głosów ze strony niemieckiej (wrażano w nich m. in. obawę przed porozumieniem rosyjsko-francuskim i przed utrwaleniem się podziału Niemiec na skutek przystąpienia Bonn do armii europejskiej), wywiązał się między p. Spaakiem a p. Fr. Erlerem, posłem SPD taki oto dialog:

Spaak: — *Nie rozumiem waszego stanowiska. Proszę o odpowiedź na następujące pytania: 1) Czy Niemcy są gotowe wstąpić do europejskiej wspólnoty? 2) Czy chcecie aby Niemcy były rozbrojone, a inni się zbroili? 3) Jeżeli nie, a mimo to nie chcecie się zbroić, to czy sądzicie, że inni powinni się rozbroić?*

Erler: — *1) Obecna sytuacja nie jest dziełem Niemiec; chodzi więc tylko o to w jakiej chwili będzie rzeczą słuszną i dogodną tę sytuację zmienić. 2) Ofiarowując armię Europie, stawialibyśmy*

*rzecz jako socjaliści — w sposób zasadniczo błędny. Nie należy sprawy europejskiej łączyć ze zbrojeniami, a przeciwnie, trzeba te dwie sprawy rozdzielić. 3) Nie wpadajmy w panikę pod wpływem Stanów Zjednoczonych czy też Rosji; wiemy, że Niemcy nie mogą uniknąć zobowiązań, ale teraz nie czas na to. Zresztą, Zachód jest już «wystarczająco silny».*

Czy p. Spaak dostał wyraźną odpowiedź na swoje pytania? Mocno wątpliwe.

Gdy przyszło do opracowania ostatecznego projektu rezolucji, zgodzono się wprowadzić na projekt kompromisowy, w którym uznaje się konieczność stworzenia armii europejskiej, żądając również zwołania europejskiej Konstytuandy i ustanowienia ponadpaństwowej władzy politycznej, ale nie uzależniając stworzenia armii od ich natychmiastowego powstania. Tylko... delegat niemiecki dr Brill postawił wniosek o skreślenie końcowego zdania, w którym mówi się o tym, że «pod znakiem równości praw i obowiązków» Niemcy powinny uczestniczyć w armii europejskiej. Większością głosów wniosek ten został odrzucony, ale delegaci niemieccy głosowali za wnioskiem dr Brilla.

W toku dyskusji duże wrażenie wywołało przemówienie przewodniczącego holenderskiej Partii Pracy p. Vorrinka, który bez ogródki powiedział: «My w Holandii mamy poważne wątpliwości co do zdolności politycznych socjalistów europejskich. Co za wami stoi? Socjalizm w Europie nie potrafi odpowiedzieć na najważniejsze pytania. Nie trzeba się zamykać we własnym socjalistycznym gronie, ale iść razem z chrześcijańskimi demokratami i tworzyć europejską lewicę». Francuz p. Frenay zagroził, że jeżeli Kongres nie przyniesie poprawy w stronnictwach, to na rok przyszły trzeba będzie pomyśleć o stworzeniu «nowej formacji politycznej», co wywołało protest p. Spaaka. P. Hamon, członek francuskiej MRP, wywołał protesty wśród swoich współrodaków brutalną szczerością swego wystąpienia. Jego zdaniem, opinia francuska nie zgodzi się na udzielenie Niemcom pełnych praw, dopóki żywią one rewizjonistyczne zamiary na wschodzie.

Delegaci zgotowali owację burmistrzowi zachodniego Berlina p. Reuterowi, który następnie wygłosił przemówienie, mówiąc o konieczności uwolnienia ujarzmionych dziś przez Rosję narodów, jak również o przyjaźni z narodem rosyjskim w przyszłości i o tym, że Niemcy wtedy zdobędą pełne zaufanie, gdy zasiądą przy wspólnym stole ze swoimi sąsiadami ze wschodu. Była to, jak wszystkie mowy p. Reutera, bardzo dobrze wygłoszona mowa. Inna sprawa, że w polityce łatwiej jest powiedzieć «A», niż recytować dalsze litery alfabetu i ten pogląd, zdaje się, panował na sali.

Niemniejszą owację urządzono pani Buber-Neumann, która opowiedziała jak to kiedyś, jako niemiecka komunistka, wydana została przez rząd sowiecki w ręce Gestapo. Dziś jest ona znana i szanowana redaktorką frankfurckiego pisma «Aktion» oraz



przywódczynią organizacji, która za cel sobie postawiła walkę o godność człowieka. P. Buber-Neumann zwróciła się do Kongresu z apelem o poparcie sprawy armii europejskiej.

Warto wreszcie dodać, że na Kongres przybyli również przebywający na zachodzie emigracyjni przedstawiciele partii socjalistycznych z «tamtej» strony kurtyny, nie biorąc jednak — z natury poruszanych zagadnień — żywszego udziału w dyskusjach. Z Polaków zjawili się tylko przedstawiciel młodzieży socjalistycznej z Paryża, podczas gdy dwaj przedstawiciele PPS, z Paryża i z Londynu, widnieli na liście, jednak na Kongres nie przybyli. P. Zaremba został wybrany do nowych władz Ruchu.

Gdy już rozjeżdżali się delegaci, pozbieraliśmy materiały i teksty referatów. I przerzucając je przed zapakowaniem, natrafiłem na kilka zdań, które mi się wydały warte zapamiętania. Chciałbym nimi zakończyć to sprawozdanie. Pisze Belg Raymond Rifflet:

“Rozwiązania w ramach wyłącznie państwowych są nie tylko niewystarczające, ale obracają w niwecz całą budowę, na skutek protekcjonizmu, który im towarzyszy i który niszczy współpracę międzynarodową: prawda, że trzeba często iść naprzód etapami, ale pod warunkiem, aby te etapy nie były w sprzeczności z naczelnym zamiarem.

Ale gdy, w trosce o urzeczywistnienie współpracy międzynarodowej akcja socjalistyczna zrzeknie się “tymczasowo” swych rewolucyjnych postulatów w porządku gospodarczym i społecznym, a pójdzie po drodze świętego przymierza, wówczas poniecha swej misji tak samo, jak by jej poniechała wiążąc się z nacjonalizmem”.

“Unia dla unii nie jest wystarczającym ideałem, czego dowodem jest nasz opór wobec hitlerowskiej Europy, tak samo jak wobec uniwersalnych projektów komunistycznych Stalina.

“Bez względu na to, jak długo to trwać może, lepiej jest jeszcze żyć w małym ale wolnym państwie, znosząc wszelkie związane z tym niewygody, aniżeli stać się poddanym wielkiego, totalitarnego i ciemnościowego imperium.

“Dla nas, jedynie ludzka osoba stanowi rzeczywistość, do której przywiązujemy wagę i jej nie poświęcimy jutro wzamian za mit uniwersalnego państwa, tak jak nie poświęciliśmy jej wczoraj wzamian za mit państwa narodowego...”.

A oto co pisze prof. Brugmans:

“...wpływ, jaki ma komunizm na naszą opinię publiczną, wynika głównie stąd, iż nasi współcześni nie rozumieją (jak powiedział Koestler), “że Moskwa jest na wschodzie, a nie na lewicy”.

Kongres odbywał się na terenie targów frankfurckich.

**Jerzy PRĄDZYŃSKI**

## Kronika niemiecka

### Z dziejów reżimowej propagandy kulturalnej we wschodnich Niemczech

W 1947 r. otwarto we wschodnim Berlinie wystawę przedwojennych grafików polskich; urządzono ją, staraniem warszawskiej misji wojskowej, w dwóch ogołoconych pokojach, pozostałych po spalonym sklepie na Unter den Linden. Wystawa nie miała powodzenia. Złożyło się na to zapewne kilka przyczyn; pośpiech w organizacji, niezbyt szczęśliwie wybrany punkt i ramy zewnętrzne wystawy i wreszcie fakt, że ludność Berlina miała wówczas zbyt wiele codziennych kłopotów, aby zajmować się wystawami. W krytyce fachowej echa wystawy były jednak dobre.

Dopiero po pewnym czasie zajęto się urządzeniem innej wystawy, tym razem poświęconej polskiej sztuce ludowej. Powodzenie było nieco większe, do czego przyczyniło się zapewne energiczne poparcie ze strony wschodnio-niemieckich związków zawodowych.

Podobnie było z wyraźnie już propagandową wystawą polskiej sztuki plakatowej (ostrzem skierowaną przeciwko mocarstwu zachodnim”), z wystawą pt. “Dzieci rysują swą Ojczyznę” oraz z niemiecką tendencyjną wystawą fotomontaży i statystyk pod nazwą “Tak żyje robotnik w Polsce”. I w tych wypadkach gros zwiedzających stanowili członkowie związków zawodowych i młodzież szkolna.

Oficjalne zachęty nie były natomiast konieczne, gdy otwarto wystawę malarzy polskich XIX i XX wieku. Dzieła Fałata, Chełmońskiego, Matejki, Wyspiańskiego, wystawione w salach Uniwersytetu, ściągnęły również tłumy publiczności z zachodniego Berlina, a prasa jednoznacznie orzekła, że wystawa ta nie tylko dała sposobność do uczynienia przeglądu dziejów malarstwa polskiego na przestrzeni półtora wieku, ale i wyrażała najdobitniej polskie tradycje w sztuce.

Przechodząc do spraw teatralnych, warto zauważyć, że rekordowa liczba przedstawień, jaką osiągnęła sztuka Leona Kruczkowskiego “Niemcy” (nazwa w przekładzie niemieckim “Die Sonnenbrucks”) nie tyle była miarą artystycznej wartości samej sztuki, ile zainteresowania jakie wywołał jej temat. Zarówno płytkie jego potraktowanie jak i polityczna strona epilogu sprawiły, że sztuka została przyjęta przez publiczność niemiecką z widoczną rezerwą.

Z zupełnym niepowodzeniem spotkała się przedwojenna sztuka Iwaszkiewicza “Lato w Nohant”. Po trzykrotnym wystawieniu w Teatrze Miejskim w Weimarze, musiano ją zdjąć ze sceny, ponieważ organ sowieckich wojsk okupacyjnych “Tägliche Rundschau” zamieścił druzgocącą krytykę tej sztuki, zarzucając, że nie ma ona nic wspólnego z “realizmem socjalistycznym”. Być może byłoby inaczej, gdyby sprawą tą zajął się Barlog, najzdolniejszy reżyser berliński, który interesował się sztuką Iwaszkiewicza. Rozmowy w sprawie wystawienia jej w zachodnim Berlinie były prowadzone, jednak warszawska misja wojskowa w Berlinie zachodnim musiała odmówić w końcu zezwolenia. “Zwykła sprawa” Adama Tarna, sztuka której treścią jest przedstawienie sądownictwa amerykańskiego w typowo komunistycznym ujęciu, miała pewne powodzenie we wschodnim Berlinie, ale nie zdobyła sobie uznania publiczności na prowincji. I w tym wypadku nie obeszło się bez oficjalnego poparcia ze strony związków zawodowych i organizacji miłośników teatru “Volksbühne”.

Państwowa opera we wschodnim Berlinie wystawiła balet Karola Szymanowskiego “Harnasie”. Wystawienie “Halki” Moniuszki w Görlitz należy również zaliczyć do niepowodzeń; zawiniły tu: niefachowe przygotowanie i słaba obsada.

Nie miał też powodzenia film “Warszawska Premiera”, nie miały go i filmy “Dom na pustkowiu”, “Pierwszy start”, “Dwie brygady”.

"Skarb". Nie jest też przypadkiem, że najczęściej poklasków zdobyły sobie dwa pierwsze polskie filmy powojenne "Ostatni etap" i "Ulica Graniczna", ten ostatni był nawet z powodzeniem pokazywany w zachodnim Berlinie. Te dwa filmy były jeszcze rezultatem wysiłku artystycznego, natomiast to, co przychodziło później, było już naszpikowane znanymi, powtarzanymi aż do znudzenia sloganami politycznymi.

Podczas gdy imprezy teatralne, organizowane przez Warszawę we wschodnim Berlinie idą jeszcze jako tako, dzięki hojnemu poparciu pieniężnemu ze strony misji dyplomatycznej, to wydawanie przekładów książek polskich natrafia na większe trudności. Spośród szeregu przyczyn tego stanu rzeczy, najważniejsza wynika stąd, że w polskiej literaturze powojennej trudno znaleźć coś, co zadowoliłoby w pełni wymagania wschodnio-niemieckich cenzorów komunistycznych, zasiadających w "Der kulturelle Beirat". Wszystko wydaje im się niedość "postępowe". A gdy wreszcie dość skrętny wydział kulturalny warszawskiej misji dyplomatycznej coś takiego wyszuka, to znów cenzorzy odmawiają pod pretekstem, że książka nie odpowiada zasadom "realizmu socjalistycznego".

Nic więc dziwnego, że ilość wydanych dotychczas przekładów z języka polskiego jest bardzo nikła. Ukazywały się tu i ówdzie, w prasie wschodnio-berlińskiej, przekłady nowel niezawsze wartościowych, dostarczane zresztą bezpłatnie przez misję dyplomatyczną p. Izydorczyka. Jeden z mniejszych domów wydawniczych wydał kilka przekładów z literatury dla młodzieży, a potem przekład biografii Chopina, napisanej przez Tadeusza Mayznera. Ukazał się następnie przekład "Godziny W"; ta nieźle napisana historia powstania warszawskiego nie wywołała jednak większego zainteresowania, być może z powodu trudności, jakie nastroczało niemieckiemu czytelnikowi nagromadzenie obcych nazwisk, nazw nieznanymi mu ulic itp.

Gdy się jeszcze wspomni o przekładzie "Niemców" Kruczkowskiego, który również ukazał się w księgarniach, to chyba będzie prawie wszystko, a w każdym razie niewiele więcej, jeżeli chodzi o przekłady z polskiej literatury powojennej. Są oczywiście, projekty. Zamierzone jest wydanie obszerniej biografii Mickiewicza, napisanej przez Mieczysława Jastruna oraz przekładu "Lalki" Prusa. Jednak, w tym wypadku, chodzi przeciwieństwo o nazwiska z przeszłości, które nawet we wschodnich Niemczech mówią więcej, aniżeli nazwiska współczesnych autorów "nowej" Polski.

Wszystko to nasuwa refleksję na temat luk, jakie istnieją dziś w całych Niemczech w dziedzinie znajomości polskiej literatury i sztuki. Jeżeli chodzi o zachodni Berlin i Niemcy zachodnie, to wydawało by się, że przed pisarzami polskimi, przebywającymi na wygnaniu, pewne możliwości stoją tutaj otworem.

#### BERLIŃCZYK

## Kronika angielska

### Konferencja Europejska w Londynie

Na temat Konferencji Europejskiej, która odbyła się w Londynie między 21 a 26 stycznia br. — polska prasa emigracyjna oraz prasa polonijna w Ameryce zamieściły wiele artykułów, szczegółowych omówień i polemik.

Klucz ocen był następujący: pisma związane z Radą Polityczną były pełne pochwał, pisma rządowe i pro-rządowe oceniły Konferencję z wielką rezerwą a... p. St. Mackiewicz na łamach detroickiego "Dziennika Polskiego" zaprezentował Konferencję jako agenturalną imprezę Rady Politycznej.

Żadna z tych ocen nie wydaje się obiektywna. Po pierwsze, Konferencja nie miała charakteru regionalnego środkowo-wschodnio europejskiego. Przeciwnie, była to manifestacja wspólna, w której wzięli udział zarówno politycy reprezentujący 100 milionów ujarzmionych przez Sowietów Europejczyków jak i politycy zachodnio europejscy. Udział tych ostatnich posiadał duże znaczenie propagandowe a całość imprezy nie miała oczywiście nic wspólnego z jakąkolwiek "agenturą".

Na publicznej manifestacji w Albert Hall'u delegaci angielscy zgłosili rezolucję stwierdzającą, że mocarstwa zachodnie nie mogą zgodzić się na żadne porozumienie z Sowietami, które pozostawiało by Europę środkowo-wschodnią w obecnym stanie niewoli. Rezolucja została uchwalona jednomyślnie w obecności paru tysięcy osób, a wśród nich obecny był również minister Mac Millan, członek gabinetu Churchilla. Min. Mac Millan w czasie otwarcia Konferencji wygłosił przemówienie powitalne w imieniu swoim i urzędującego ministra spraw zagranicznych W. Brytanii Edena.

Jeszcze kilka lat temu konferencja taka w Londynie byłaby w ogóle nie do pomyślenia. Sam fakt, że konferencja się odbyła, że wzięli w niej udział wybitni politycy Zachodu — jest dużym osiągnięciem propagandowo-politycznym. Jak obrazowo wyraził się jeden z jej inicjatorów, amb. E. Raczyński, "londyńska konferencja podjęła zadanie zerwania kurtyny z pajęczyn, którym Zachód pozwolił narosnąć przed kurtyną żelazną". I to zadanie konferencja w pełni spełniła.

Nikt (poza p. St. Mackiewiczem) nie oczekiwał, że w czasie manifestacji w Albert Hall'u zjawi się prem. Churchill i powiadomi zebranych, że rządy Anglii i St. Zjednoczonych wysłały ultimatum do Rosji, by w 24 godziny wycofała się na granice z 1939 r. Nikt trzeźwy nie miał takich złudzeń toteż ogół nie miał rozczarowań. Jak powszechnie wiadomo, na Zachodzie obowiązuje teza, że przewaga zbrojeń i potencjału "atomowego" nabierze z czasem takiej wymowy, że Anglosasi będą mogli bez wojny wymusić na Sowietach pewne ustępstwa. Całość Konferencji mieściła się (bo mieścić się musiała!) w ramach tego poglądu.

Pod względem propagandowo-politycznym Konferencja była imprezą udaną. Jeżeli jednak rozpatrywać ją jako próbę zbliżenia pod kątem federacyjnym reprezentantów krajów Europy środkowo-wschodniej to trzeba obiektywnie stwierdzić, że wynik konferencji jest katastrofalny. Niemcy za kulisami byli niezmiernie aktywni. Ich posunięcia wywołały zrozumiały niepokój wśród delegatów polskich. Jest to jednak temat odrębny, który omawiamy w artykule pt. "O Reformę Zakonu Polskości" w bieżącym numerze "Kultury".

### Koniec Mitu

Według oficjalnych wersji, tak pierwsza jak i druga misja mediacyjna upadły na skutek akcji prez. A. Ciołkosza, który za każdym razem wysuwał ultimatywne żądanie ustąpienia prezydenta Zaleskiego.

Ankieta przeprowadzona przez londyński "Dziennik Polski" obala raz na zawsze ten mit. Okazuje się bowiem, że przywódcy stronnictw opozycyjnych wyznają w tej sprawie identyczne poglądy co prez. Ciołkosz. I tak w ramach cytowanej ankiety za ustąpieniem prezydenta Zaleskiego oświadczyli się pp. R. Piłsudski, K. Bagiński, Dr T. Bielecki, T. Arciszewski.

Oficjalny "Orzeł Biały" występuje stale z tezą, że prezydent nie może ustępować na żądanie jednego polityka, czy jednej partii. To jest pogląd niewątpliwie słuszny. Jeżeli jednak żądanie ustąpienia żyrowane jest nie przez jedno stronnictwo, ale przez wszystkie stronnictwa opozycyjne, sprawa nabiera innego wyrazu.

### Federacja Kombatantów z za "żelaznej kurtyny"

W Londynie, w Domu Kombatanta, odbyło się inauguracyjne posiedzenie Rady Federacji Związków b. Żołnierzy z Europy środk.-wschod-

niej. W konferencji brali udział przedstawiciele kombatantów czechosłowackich i węgierskich. W skład tymczasowego Komitetu Wykonawczego weszli: T. Korycki (Polska) prezes, M. Borosnyay (Węgry) wice-prezes, A. Kopecki (Czechosłowacja) sekretarz. Komitet wykonawczy dążyć będzie do rozszerzenia federacji kombatanckiej i na inne narody Europy środk.-wschodniej.

#### "Agenturomania"

P. Cat-Mackiewicz stawia sprawę jasno. Polską niepodległościową politykę reprezentuje legalny rząd w Londynie. Wszystko inne to agentury. Wychodząc z tak nieskomplikowanych założeń p. Mackiewicz ogłosił artykuł, którego już sam tytuł musi wywołać zdumienie: "Rada Polityczna jako Agentura" ("Dziennik Polski", Detroit, 8.2.1952).

Więc tak. Bierut i cały jego reżim, obejmujący setki tysięcy ludzi, to agenci Moskwy. Rada Polityczna, polscy współpracownicy Free Europe, Kongresu Wolności Kultury, Voice of America i dziesiątek międzynarodowych organizacji — to także agenci. W rezultacie nie agentami są tylko członkowie londyńskiej Rady Narodowej a i w tym "cielu", gdyby przeprowadzić czystkę, to kto wie czy jakiegos agenciaka by się nie znalazło? W ten sposób dzięki politycznej arytmetyce p. St. Mackiewicza, z narodu, który nie wydał Quislinga, staliśmy się najbardziej agenturalną nacją świata.

Co należy czynić, żeby nie być agentem? Istnieje na to tylko jeden pewny sposób: nie robić nic, powstrzymać się całkowicie od jakiegokolwiek działalności i trwać biernie "na posterunku".

#### Wyjazd i komentarz

Londyński "Dziennik Polski" przyniósł wiadomość, że 28 lutego wyjechał na kilka tygodni do Stanów Zjednoczonych prezes dr T. Bielecki.

Oficjalny "Orzeł Biały" zaopatrzył tę wiadomość następującym komentarzem:

"W londyńskich kołach politycznych wywołała zrozumiałe zdziwienie wiadomość o wyjeździe prezesa Str. Narodowego dr T. Bieleckiego do Stanów Zjednoczonych. Zdziwienie tłumaczy się tym, że wiadomość dość powszechnie o podjęciu nowych prób doprowadzenia do zjednoczenia politycznego na emigracji. Panowało ogólne przekonanie, że dążeniom tym towarzyszą lepsze nastroje niż w okresie mediacji gen. Kukieła. Oczywiście wyjazd prezesa Bieleckiego musi ten optymizm rozwiać. Trudno zapomnieć, że prezes Str. Narodowego wyjechał również z Londynu do Stanów Zjedn. w okresie ciężkiego kryzysu rządowego po dymisji rządu gen. Bór-Komorowskiego, wczesną wiosną 1949. Wyjechał następnie na szereg tygodni na wywczas do Francji w okresie mediacji gen. Kukieła i to w tym krytycznym okresie, gdy przedłużony został dekretem Prezydenta termin powołania IV Rady Narodowej R. P. dla ułatwienia zakończenia rokowań, które oczywiście w okresie nieobecności prezesa Str. Narodowego — utknęły w miejscu. Jego obecny wyjazd znów rozbija starania zjednoczeniowe i to w chwili, gdy rokowały one uzasadnione nadzieje. Rzecz jasna, że za to rozbicie prezesa Bielecki wziął na siebie pełną odpowiedzialność".

Komentarz jest przydługi, ale nareszcie wiemy dokładnie dlaczego do tej pory nie mamy rządu Jedności Narodowej. Gdyby prezes Bielecki dał się ubłagać, gdyby poszedł trochę w Londynie, gdyby zrezygnował choć w jednym roku z kuracji w Vichy, gdyby skasowano mu wizę amerykańską — jedność byłaby uratowana...

Komentarz "O. B." jest szczytem politycznej bystrości i logiki. Czytelnik może mieć tylko jedną wątpliwość. Dlaczego rzekomych pojedynczych inicjatyw nie będzie można podjąć gdy prezes Bielecki po kilku tygodniach powróci na Londynu łono? Dlaczego??

Londyńczyk

## Najnowsza historia Polski

### Górnicy polscy w Donbasie

(O ambasadzie w Moskwie w roku 1946-1947)

Pan Naszkowski, były ambasador reżimu w Moskwie, jest dziś wiceministrem i głównym politrukiem wojskowym. Przyjaźń między "Polską Ludową" a ZSSR, której zręby — jak ironicznie mówiono swego czasu w ambasadzie w Moskwie — budowali polscy łagiernicy, została jakoby zawarta i wzmocniona na wieki. Przypuszczamy, że pan generał nie zapomniał spisów polskich więźniów, sporządzonych wtedy dla obiecanej jeszcze w 1946 r. amnestii. Nie pamięta zapewne ani jednego nazwiska — bo pokoje wydziału, które się tym zajmowały, były o korytarz dalej — ale samego faktu zapewne nie zapomniał.

Gdyby jednak zapomniał, to chcielibyśmy mu o tym dzisiaj, w imieniu tych właśnie więźniów — przypomnieć.

Powróciło do Niemiec milion niemieckich jeńców wojennych. Ale o ile nam wiadomo, z tysięcy polskich górników, wywiezionych ze Śląska w latach 1944 i 1945 oraz innych Polaków, aresztowanych pod koniec wojny i w pierwszym roku po wojnie, powróciło do kraju tylko około 300 i to jeszcze w latach 1947/48.

Podczas, gdy o repatriantach polskich z Francji można było czytać we wszystkich polskich gazetach, podczas gdy polskich górników we Francji zapraszano do Polski i po prostu błagano o powrót, gdy wypisywano o ich doli nawet całe książki, — to o polskich górnikach w ZSSR, których jest wielokrotnie więcej, nie mówiono i nie mówi się po dziś dzień ani słowa. Ich nie

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

trzeba by było zapraszać, zgodziliby się prawdopodobnie na wszelkie warunki, aby tylko być w domu, aby zobaczyć żony i dzieci. Ale nie wracają. Obok górników z Francji i niewyszkolonych zupełnie nowych pracowników, pracują w szachtach na Śląsku — cudzoziemcy.

Zaś polscy górnicy wydobywają węgiel w kopalniach Donbasu, daleko od rodzin, i pracują po 12 godzin na dobę. Nie wiadomo, ilu z nich jeszcze żyje, a ilu już poległo na froncie "walki o plan najlepszego przyjaciela Polski". Nie pomaga im przy tym ani Bierut, ani pan minister Naszkowski, który przecież wie gdzie się znajdują.

Nie wiemy, czy zapomnieli o nich, czy też boją się zapytać swoich przyjaciół na Kremlu, jak długo ci górnicy mają wypełniać jeszcze plan w szachtach sowieckich i czy nie należy zwrócić ich uwagi na to, że gdyby górnicy wypełniali plan nawet na Śląsku, to węgiel i tak przecież powędrowałby do ZSSR...

Mógłby może Bierut przypomnieć na Kremlu, że o Rokossowskiego nie prosił wcale, a dano mu go prędko, niby to na jego prośbę. Tym razem można by oddać górników bez prośby, ale za to — niezwłocznie.

Zimą 1946-47 roku głód w Rosji był dotkliwszy niż kiedykolwiek. Mimo pewnej "elegancji" w samym centrum Moskwy, nędzą miasta rzucała się w oczy. Nie tylko obdarte domy, nieodnawiane od dziesiątek lat, nie tylko brudne, pełne jam chodniki bocznych ulic, ale i twarze wygłodniałe, łachmany i dziwne apatyczny wyraz oczu świadczyły o niezmiernej niedoli. W Europie mało kto wiedział o tym, jak źle było wówczas, w rok po wojnie, w kraju Zwycięzców. Nie wiadano na świecie, że wieś w ZSSR wymierała z głodu, że po nieurodzajnym lecie całkowicie zabrakło środków spożywczych, bo dzięki "planowanej" gospodarce zapasów już żadnych nie było, a naciskiem na chłopów, których wbrew obietnicom pozostawiono w kołchozach, nie wskórano nic, poza obudzeniem niechęci i nienawiści.

W Moskwie, owej zimy, miesięczna kartka na chleb kosztowała na czarnym rynku 500 rubli, to jest dwa razy tyle, ile zarabiał wtedy przeciętny obywatel. Skibka chleba kosztowała 5 rubli — tyle, co jeden kartofel i tyle, co na wiosnę 1940 r. — jeden banan! Makę, kaszę i groch sprzedawano na szklanki, także po 5—10 rubli za szklankę, ale rzadko kiedy można je było znaleźć na przepelnionych i wечно rozganianych przez policję rynkach, na których targowano wszystkim, począwszy od starych, porwanych i brudnych "tjełogrejek" aż do kawałków tak samo brudnej, solonej, śmierdzącej, przydziałowej ryby.

Mniej więcej w środku zimy, w 20 do 30 stopniowy mróz, zaczęto w Moskwie sprzedawać duże porcje śmietankowych lodów, pół funta za 2 ruble 50 kop. Wszędzie było widać długie ogonki. Zwawiali mali chłopcy sprzedawali te lody, wykupiwszy je uprzednio u państwowych sprzedawców, o rubel czy dwa

drożej — w podmiejskich kolejkach "To moje śniadanie, obiad i kolacja" tłumaczył się jeden z pasażerów, gdy sąsiedzi się dziwili, że może tak dużo pieniędzy wydać na lody.

Gdy przystąpiłeś próg dużego gmachu nowej polskiej ambasady, stojącej w cichej uliczce niedaleko Placu Majakowskiego — nędzą i głód chwilowo zostawały za tobą. Ludzie, pracujący tutaj, żyli w dostatku, sami, co prawda, jeszcze niezupełnie ufając swemu szczęściu. Bo skład tej ambasady był bardzo dziwny. Większość pracowników pochodziła z tej części Polski, która została włączona do ZSSR, a więc ze Lwowa, ze Stanisławowa, z Kołomyi. Przeszła nad nimi burza dziejowa, widzieli, jak z rąk niemieckich i sowieckich ginęli ich najbliżsi. Cudem im samym udało się uratować, właśnie w tej chwili, gdy zdawało się, że są już na zawsze straceni. Było to w tym okresie, gdy Moskwa postanowiła, że tzw. Zachodnia Ukraina ma być przyłączona do Ukraińskiej Sowieckiej Republiki i pozwolono Polakom z tych terenów optować za Polską. Stracili oni wprawdzie miasta rodzinne, ale zostali obywatelami polskimi. To umożliwiło im teraz zająć w Rosji znakomite stanowiska dyplomatycznych przedstawicieli obcego kraju, a to lepsze, niż wzięcia i łagry w tym samym "zaprzyjaźnionym" państwie. A tam pozostali ich rodacy.

Nic więc dziwnego, że stosunek tych pracowników ambasady do władz sowieckich, z którymi prowadzili pertraktacje, był nieufny. I nic też dziwnego, że na ogół wszyscy byli pełni współczucia dla rodaków, którym nie udało się jeszcze wyostać do Kraju i że naprawdę starali się wykorzystać wszelkie możliwości, aby im powrót do Kraju umożliwić. Rzecz zrozumiała, że o uczuciach tych otwarcie nie mówiono.

Wprawdzie byli ci pracownicy przeważnie członkami PPR-u, ale komunistyczny ich światopogląd był jeszcze świeższy daty. Nie znali żelaznej dyscypliny tej partii. Powoli przyzwyczajali się do tego że własnych myśli mieć nie wolno i ze zdziwieniem obserwowali, jak partia ich z dnia na dzień przystosowuje się do "wielkiego przykładu WKP(b)". W ambasadzie dopiero krok za krokiem zaczęto wprowadzać rozmaite kółka samokształceniowe, jeszcze nie uczono się "Krótkiego kursu historii partii", ale za to były obowiązkowe lekcje angielskiego i francuskiego, wieczory poświęcone polskim rocznicom historycznym. Święta Bożego Narodzenia, których się, jak wiadomo, w Moskwie nie obchodzą, lub obchodzi na wpół nielegalnie według starej daty, w ambasadzie obchodzono uroczysto. Obdarowywano dzieci i, naturalnie, większość pracowników szła do kościoła. Wszelkie święta kościelne były wolne od pracy, tak samo, jak zresztą w owym czasie jeszcze i w kraju. Ambasada wtedy naprawdę była wyspą polską w Moskwie, a duch moskiewski jeszcze całkowicie nie zapanował w jej murach. Prawdopodobnie był to jeden z niewielu gmachów urzędowych, do których można było

wejść bez przepustki, tak po prostu z ulicy, powiedziawszy odźwiernemu, do kogo i po co się idzie. Nikt nie wypisywał papierków i nie dawał pozwolenia na wstęp — pan Naszkowski i jego współpracownicy nie mieli wtedy jeszcze powodu obawiać się ludu.

Stopniowo przekonywano się w ambasadzie tej zimy, że powroty do Polski stawały się coraz trudniejsze. Działalność Związku Patriotów Polskich (ZPP), zorganizowanego w 1943 r. przez Wandę Wasilewską, Alfreda Lampe i innych, skończyła się po utworzeniu komunistycznego rządu w Warszawie. Rząd sowiecki uważał, że zadanie Związku zostało spełnione. Jesienią 1946 roku ZPP został rozwiązany i repatriacje Polaków do kraju oficjalnie zakończono.

Ambasada jednak uzyskiwała pozwolenie na repatriację "spóźnionych". Wydział repatriacyjny ambasady był w przeciągu wielu miesięcy zajęty opracowywaniem ich podań i listów. Przed wydziałem, którego kierownikiem był zupełnie jeszcze młody pan G., w wąskim korytarzyku codziennie wystawały tłumy oberwanych i nędznych ludzi.

Petenci prosili, błagali o pomoc w wyjeździe z Rosji. Wyciągali brudne skrawki papieru, starali się dowieść wszelkimi sposobami, że są Polakami. Niektórzy z nich nawet słowa "Polak" nie mogli wymówić, a mówili "Poljak" z rosyjska, inni mówili tak z ukraińska, że naprawdę trudno było uwierzyć w ich polskość. Większość jednak — to byli naprawdę Polacy. Na pytanie, dlaczego nie zjawili się w porę, przed zakończeniem repatriacji, odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo: "Przecież byłem w łagrze". Nie tylko z oddalonych od Moskwy łagrów nie zawsze zaraz wypuszczano Polaków. Tu i ówdzie rozkaz się zagubił w papierach administracji obozowej, tu i ówdzie nie dotarł, tu i ówdzie po prostu nie miano ochoty zrezygnować z siły roboczej. W innych znów łagrach uważano, że czasu jest dużo — że polscy więźniowie jeszcze zdążą, a z innych jeszcze trzeba było jechać miesiącami, zanim udało się dotrzeć do Moskwy. "Przez pół roku od nas nie ma komunikacji, jesteście odcięci", mówił jeden ze "spóźnionych" z goryczą. "Czy pan próbował się kiedyś dostać do pociągu bez protekcji albo łapówki?" — pytał inny — "w Omsku tylko leżałem 3 tygodnie na dworcu, nim mogłem dalej pojechać!".

Byli też wśród tych petentów polscy Żydzi, którzy z początku nie chcieli wracać bo dotarli do nich słuchy, że w powojennej Polsce jakoby bywały pogromy. Dopiero przekonawszy się, że życie w powojennej Rosji i bez pogromów było nie do zniesienia, zaczęli prosić o powrót do Kraju. Dużo było też takich, którzy zgubili papiery, albo którym ukradziono dowód zwolnienia z łagru. Najcenniejszy to chyba na świecie dokument, bo nie wydaje się go powtórnie. "Sprawka ob oswożdenji" jest jednoznaczowa i biada temu, kto ją zgubi. Może się zdarzyć, że odsiedzi jeszcze raz 10 lat. W każdym zaś razie jest człowiekiem całkowicie pozbawionym praw, gorszym jeszcze niż więzień. Nie może

nigdzie mieszkać, nigdzie pracować i nigdzie nie otrzyma kartek żywnościowych.

Jedynym sposobem włączenia "spóźnionego" do spisu repatriacyjnego było świadectwo lekarza, że dany obywatel w okresie repatriacyjnym nie mógł przyjechać do Moskwy, bo był obłożnie chory lub że chorował ktoś z członków jego rodziny. Czynnikiem też wyjątki dla takich repatriantów, którzy w okresie repatriacyjnym byli jeszcze w wojsku. W ambasadzie nie było tajemnicą dla nikogo, że w czasie repatriacji przyjechało do Polski wiele osób, których właściwie nie można było uważać za repatriantów, nie mieszkali bowiem nigdy w Polsce, mieli tylko to szczęście, że nosili po jakichś dawnych przodkach polskie nazwisko. Sowieciom zależało na stworzeniu komunistycznej Polski, zgadzali się więc milcząco na "repatriację" swoich obywateli, zwłaszcza, gdy byli to żołnierze lub oficerowie armii sowieckiej...

Pracownicy wydziału repatriacyjnego zbierali świadectwa pententów, wydawali tymczasowe świadectwa, że "sprawa jest w toku załatwiania" — te im służyły miesiącami jako jedyny dowód osobisty — i często też pieniężne zasiłki. Wszystko to jednak w tym wypadku tylko, gdy istniała jakakolwiek nadzieja, a dla większości biedoty, która dzień w dzień przechodziła przez ambasadę, tej nadziei nie było. Pan G., który co parę dni musiał wysiadywać w poczekalniach władz sowieckich i pokornie starał się wytargowywać dla swoich rodaków prawo powrotu do ojczyzny zdawał sobie z tego sprawę. Zielony papier: "repatriacyjny list" był już tej zimy drogocenny i rzadki. Gdy przychodziła do ambasady wiadomość o tym, że parę takich papierków jest do odebrania, wywoływało to ogólną radość.

W tym samym korytarzu co wydział repatriacyjny — również w bocznym budynku i trochę dalej od pokojów pana ambasadora Naszkowskiego — mieścił się wydział prawny. Kierownikiem był dr H. Wydział ten zajmował się opracowywaniem podań Polaków, przebywających jeszcze w łagrach. Bo w tym samym czasie, gdy rząd sowiecki udzielał amnestii jednemu Polakom i wypuszczał ich na wolność — innych aresztowano na ziemiach "wyzwolonych" od hitlerowców. Mijali się oni niemal po drodze z pierwszymi. Codziennie przynosiła poczta z najrozmaitszych łagrów Związku Sowieckiego do polskiej ambasady, tuziny listów, w których ci nieszczęśni opowiadali, jak ich wzięto; tłumaczyli, że nie poczuwają się do żadnej winy, że oczekiwali z niecierpliwością tej armii, która ich teraz uwięziła, że walczyli w podziemiu przeciw hitlerowcom, a teraz osadzono ich w łagrze za "pomoc Hitlerowi". Przychodziły listy z Polski, przesłane z kancelarii Bieruta, że rodziny, niepokojąc się o los swoich najbliższych, zwracały się o pomoc. Listy owe dzielił Dr H. z wydziałem wojskowym, gdyż Polacy aresztowani po wkroczeniu armii sowieckiej na terytorium Polski, mogli być cywilnymi albo wojskowymi więźniami. Świadczyły o tym czasem

tylko drobne szczegóły w listach rodziny lub nazwach łagrów. Dużą część aresztowanych stanowili Akowcy.

Pan H. i jego wydział, z pomocą dwudziestu byłych polskich więźniów, aresztowanych jeszcze w 1937 r. polskich komunistów (p. "Kultura" nr 51) i wyzwolonych obecnie na prośbę Warszawy — opracowywał podania nowych więźniów, rejestrował je i sporządzał spis. Naskowski otrzymał od rządu sowieckiego obietnicę, że jeszcze w roku 1947 będzie ponowna amnestia dla Polaków i że Akowcy też będą zwolnieni. Nazwiska Polaków, aresztowanych hurtem we wszystkich miastach, do których wkraczała "armia oswobodzicieli", bez żadnego powodu i często po prostu w ten sposób, że kazano się zgłosić wszystkim mężczyznom od 16-go do 60-go roku życia — zapełniały teraz małe, białe kartki wielkiej kartoteki w wydziałach ambasady w Moskwie i coraz to nowe i nowe nazwy łagrów figurowały na prawym brzegu tych kartek. Dopiero z czasem pracownicy nauczyli się rozróżniać poprzekęcane zazwyczaj nazwy i odnajdywać miejscowości na mapie. Naturalnie, nie były na tej mapie zaznaczone obozy i łagry, których sieć otacza tę "wolną i wyzwoloną od niewolnictwa szóstą część świata". Nauczyl się pracownicy odróżniać cywilny łagier od łagru jeńców wojennych i niemal wiedzieli już, gdzie życie jest jeszcze znośniejsze a gdzie jest gorzej (Pomagało im wprawdzie przy tym własne doświadczenie albo doświadczenie bliskich).

Łagry i sprawy jeńców wojennych wchodziły do zakresu wydziału wojskowego, którego kierownikiem był major D., były uczestnik walk w Hiszpanii. Wydział ten prawie wyłącznie opracowywał sprawy Ślązaków. Jest to sprawa może najwięcej zasługująca obecnie na uwagę.

Śląscy górnicy z Zabrzeża, Królewskiej Huty, Siemianowic itd., byli swego czasu przez Niemców zmuszeni do podpisania tak zwanej "Volkslisty" i przerobieni na Niemców. Po "wyzwoleniu" przez wojska sowieckie traktowano ich jako zdrajców i natychmiast aresztowano. Miasteczka i wsie śląskie, były często prawie zupełnie ogołocone z mężczyzn. Wszystkich górników pognano w głąb Rosji i osadzono w łagrach w Donbasie. To, czego potrzebowali swego czasu hitlerowcy — fachowe wykształcenie górnika — przydało się teraz Sowietom. Górnik śląski potrzebny Trzeciej Rzeszy, musiał się stać Niemcem. Obecnie potrzebny Sowietom, musiał jako zdrajca być osadzony w łagrze. A w ambasadzie polskiej w Moskwie piętrzyły się listy, przesyłane z kancelarii Bieruta — wzruszające listy matek, żon i dzieci tych górników.

"Panie prezydencie — takeśmy czekali tej wolności, aby nas nareszcie od tego Hitlera wyratowali..."

"Pognali męża — zmuszał nas Niemiec podpisać tę listę, pan dobrze wie panie prezydencie, niech pan im tam na Kremlu powie!.."

"Wzięli tatusia, niech pan pomoże — jest nas dziewięcioro, a mama chora..."

Bierut wiedział, ale wiedział też, że nie może pomóc. Przysyłał listy do ambasady, a pracownicy wydziału wojskowego rejestrowali je, sporządzali spisy, zakładali kartotekę...

Górnicy byli w obozach jeńców wojennych, wśród Niemców. Zabiegi o ich zwolnienie były prawie beznadziejne — nikt w ambasadzie nie wiedział czy w ogóle coś się robi w ich sprawie i czy są jakiegokolwiek nadzieje. Humor pana majora D., w każdym razie, nie świadczył o wielkich posunięciach w tej sprawie. **Latem 1947 r., gdy około 60.000 Polaków, przebywających w łagrach, było zarejestrowanych w ambasadzie, prace przerwa-**no. Podania szły wciąż dalej, ale widać było, że stracono nadzieję na amnestię.

Wśród petentów ambasady była jeszcze jedna kategoria, dość liczna. Była to kategoria "rozłączonych małżeństw". Widać kiedyś musiały być pretekst do otrzymania pozwolenia na wyjazd do Polski, obecnie jednak nie było najmniejszych szans. Chodziło o tych Rosjan czy Ukraińców, o te Rosjanki czy Ukrainki, które — gdzieś w niemieckiej niewoli jako "Ostówki" powychodziły za Polaków lub jako "Ostowcy" pożeniły się z Polkami — w czasie wojny i w pierwszych miesiącach po wojnie, gdy granice między ZSSR i Polską jeszcze nie były tak sztywne, pojechały do rodzin w odwiedziny. Nim zdążyli wrócić do małżonków, żelazna kurtyna zapadła głucho i odcięła im drogę powrotu. Teraz ci nieszczęśliwi błagali o pomoc "gospodyna posła polskiego".

"Ożeniłem się według waszego prawa — brałem ślub w polskim kościele".

"Mam dziecko, czy ma ono wyrosnąć bez ojca — przecież ono teraz wasze — polskoje".

"Poznaliśmy się w niedoli, w niemieckim KZ-cie, dzieliłmy się ze sobą ostatni kawałek chleba, czy nie wszystko jedno, że ja jestem Rosjanka, a on Polak?"

Nie. Nie było to wszystko jedno. Władze sowieckie nie uznawały żadnego małżeństwa, zawartego zagranicą, wszystko jedno, czy było ono zawarte w polskim kościele, czy przed niemieckim "Standesamtem". Dzieci z tych małżeństw były nieprawne. Powrót do męża albo do żony był równie niemożliwy w jedną jak i w drugą stronę. Ukrainka albo Rosjanka nie mogła wrócić do męża w Polsce ani on nie mógł przyjechać do niej. Nie odmawiano tego wprost, jak w ogóle nie odmawia się w ZSSR wjazdu albo wyjazdu — "niech pan złoży podanie do Wierchownoego Sowietu" — odpowiadał pracownicy ambasady tak samo jak wszyscy urzędnicy sowieccy. I tak samo jak tamci wiedzieli, że petent niczego nie uzyska — chyba minus w aktach personalnych i podejrzenie, że jest niedobrze ustosunkowany do rządu sowieckiego.

W tym samym 1947 roku państwo sowieckie zabroniło zresztą w ogóle zawierania małżeństw między obywatelami sowieckimi i obywatelami innych krajów. Repatrianci, ożenieni z Rosjankami, mogli żony swoje brać z sobą tylko w tym wypadku, gdy małżeństwo zawarte zostało jeszcze przed rokiem 1946. Wszyscy inni musieli jechać sami. W ambasadzie roło się od nieszczęśliwców tego rodzaju; chodzili nawet pogłoski, że niejednen z pracowników ambasady był ofiarą nowego prawa sowieckiego i spotykał się ze swoją narzeczoną tylko w wielkiej tajemnicy.

Przejrzenie sprawy oddzielnych, spóźnionych repatriantów po sto razy przez wszystkie instancje i naturalnie przede wszystkim przez NKWD, nie ratowało transportów przed najrozmaitszymi przygodami. Myślano, że transport dawno już przekroczył granicę, gdy nagle do ambasady przychodziła rozpaczliwa depeza, że transport zatrzymano i wszystkich repatriantów ulokowano w obozie pod Brześciem. Odsiadawali tam czasem tylko na głodnym łagiernym "pajku". Pojedynczych ludzi po nowym "filtrze", znowu przysyłano z powrotem, a resztę dopiero po długim oczekiwaniu na odpowiedź Moskwy, wypuszczano nareszcie z raju sowieckiego.

Gdy nareszcie udawało się im przekroczyć granicę, byli szczęśliwi. Przyjmował ich Czerwony Krzyż, wydawano im amerykańskie paczki z istniejących jeszcze przydziałów UNRRY i witano jak powracających z tamtego świata. Ale i nawet bez tego, radości ich nie byłoby granic. Zgliszcza polskich miast, nawet ruiny Warszawy wydawały im się piękne, tak jak piękna może być tylko ojczyzna, do której powraca się z piekła.

Nie przypuszczali repatrianci z owych lat, że z czasem w ich kraju stosunki zmieniają się tak, że nie wielka już będzie różnica między ich życiem a życiem w Rosji. Z oburzeniem reagowali swego czasu na zapytania Rosjan, którzy, dziwiąc się ich nadziejom, pytali ze sceptycyzmem znawców: "A co wy myślicie, że tak już będzie inaczej w waszej Warszawie? Wasza "Polsza" teraz nasza, komunistyczna, sojusznik" — mówili, kładąc nacisk na to ostatnie słowo.

Niektórzy spośród repatriantów zrozumieli znaczenie tej uwagi zaraz po przyjeździe do Polski i "repatriowali" się dalej. Inni, z przywiązania do Kraju, zostawali — a potem było za późno.

Alfred BURMEISTER

## Książki

### «Zaćsianek» Zachodu

Ukazała się w przekładzie francuskim książka prof. Arnolda J. Toynbee'ego pt. "Civilization On Trial" \*). Jest to zbiór trzyestu esejów, pisanych w różnych okresach, poświęconych problemom historii cywilizacji.

Toynbee — jeden z najwybitniejszych i najbardziej oryginalnych historyków świata anglosaskiego, autor słynnego "Study in History", którego dotąd ukazało się sześć tomów — jako pisarz i uczywn stanowi antytezę zarówno "narodowej" jak i "obiektywnej" szkoły piśmiennictwa historycznego.

Gdy w roku 1898 Lord Acton przystępował do redakcji "Cambridge Modern History" — wystosował list do z górą setki autorów tego słynnego dzieła, domagając się całkowitego bezosobowego obiektywizmu w przedstawianiu procesu historycznego. Ujednolicenie miało być tak doskonałe, by czytelnik w czasie lektury nie mógł domyśleć się w którym miejscu odłożył pióro biskup Oxfordu, a dalej zaczął pisać Fairbrain, Harrison, czy ktokolwiek inny z batalionu autorów.

Jednolitość istotnie osiągnięto, jednolitość i nudę. Osobiście, podzielał w pełni opinię prof. Max Beloff'a, który uważa, że data listu Lorda Actona stanowi równocześnie datę upadku angielskiego piśmiennictwa historycznego.

Wielu historykom, a wśród nich i Lordowi Actonowi wydawało się, że w dyscyplinie historycznej znakomitość jest synonimem dokładności. Tak nie jest. Znakomitość jest zawsze synonimem talentu — w piśmiennictwie historycznym może jeszcze w większym stopniu niż w jakiegokolwiek innej dyscyplinie naukowej. Bo historia jest nie tylko nauką, ale i sztuką.

J. TOYNBEE, *La Civilisation à l'épreuve*. Ed. Gallimard, collection "Bibliothèque des Idées", Paryż 1952, str. 282, cena 600 frs.

Wielkość Toynbee'ego jako historyka polega na tym, że fenomenalna, niemal ponad ludzką erudycję historyczną łączy z talentem pisarza i z twórczą umysłowością myśliciela. Toynbee jest historykiem, pisarzem i filozofem w jednej osobie.

Rozpatrując dzieje ludzkości, autor "Civilization On Trial" uważa cywilizację, a nie państwa, czy narody za jednostki badania historycznego. We wszystkich swoich pracach reprezentuje on pogląd, że człowiek Zachodu musi się zdobyć na synoptyczny pogląd historyczny. Dotychczasowa, parafialna wykładnia dziejów sprawia, że nie jesteśmy w możności przystosować się do nowej epoki, której jesteśmy inicjatorami. Zachodnia cywilizacja, pierwsza w dziejach dokonała dzieła zjednoczenia świata. Z tego epokowego faktu wszyscy wyciągnęli konsekwencje, z wyjątkiem samego... Zachodu. Pogląd historyczny zachodniego Europejczyka nie zmienił się od Vasco da Gama. Jesteśmy ciągle skłonni sądzić, że ponieważ nasza cywilizacja dostarczyła technicznych możliwości zjednoczenia świata, — w konsekwencji, ów przyszły, zjednoczony świat będzie zachodni, europejski.

Toynbee uważa, że tego rodzaju egocentryzm i "wishful thinking" są w niczym nie usprawiedliwione. Wprost przeciwnie, w zjednoczonym przyszłym świecie osiemnaście nie-zachodnich cywilizacji (cztery żyjące i czternaście wygasłych) odzyskają w pełni swoje wpływy. Świat ku któremu zmierzamy nie będzie ani wschodni, ani nie zachodni — lecz inny. Zachód zostanie w nim stopniowo zredukowany do swoich właściwych skromnych proporcji i to jest wszystko, na co możemy liczyć.

Dokonując rewolucji zjednoczenia świata — który od czasów Da Gama, znalazł się pod jednym dachem — przekroczyliśmy granicę naszej własnej zaściankowej historii i dziś, za nasze dzieje winniśmy uważać dzieje całej ludzkości. Porzucając egocentryczny pogląd o prymacie Zachodu, winniśmy dążyć do urzeczywistnienia budowy jednego świata, który nie byłby dominowany ani przez Zachód ani przez Wschód — lecz harmonijnie łączył w swej jedności wszystkie ludzkie cywilizacje.

J. MIER.

## Księgi polemiczne

Paul Reynaud był sternikiem tonącego okrętu Republiki Francuskiej w rozstrzygających tygodniach maja i czerwca 1940 roku. Przedtem był wielokrotnie posłem do Izby Deputowanych, ministrem w kilku kolejnych gabinetach — sprawiedliwości, finansów, spraw zagranicznych — należał więc do ekipy rządzącej w schyłkowej Francji lat trzydziestych<sup>1)</sup>. Po wojnie, po wielu przejściach, niebezpieczeństwach, więzieniach, pozostał jedną z interesujących, choć kontrowersyjnych postaci niewesołej historii tych czasów. Sam wziął żywy udział w kontrowersji i jeszcze w 1947 ogłosił dwa grube tomy pod oszałamiającym tytułem: "Francja uratowała Europę"<sup>2)</sup>. Obecnie ten "niestrawny pamflet" — jak sam Reynaud określił księgi Pertinaxa — został odegrany, nieco skondensowany, nieco przykraszony i wydany w jednym, tysiąco-stronnicowym tomie: "W wirze walki"<sup>3)</sup>.

Historyk współczesności ma ciężkie smartwienie z doborą nie przez niego, raczej wbrew niemu, lekturą. Jakże często wspominać musi radę Ruskina, pogląd klasyczny XIX wieku: że wybierać, zachować i czytać należy tylko książki dobre. Dzisiaj, na zachwaszczonych polach szybkiej i taniej produkcji, wyrastają wciąż książki złe. Dzieje ostatnich czasów, wspomnienia uczestników pisane są pro domo sua — koterii lub jednostki. Książki redagowane są niedbale i prędko, niby zbiory wycinków z gazet. Język obniżony jest do powszedniości, a treść stosuje się do polemiki, nie do myśli co sama z siebie wyrasta i dojrzewa.

Książka Reynaud jest w istocie swej aktem obronczym i autor jej prowadzić musiał dokładną kartotekę, zawierającą każde zdanie o nim wypowiedziane, każdą krytykę jego działalności, z książek, z prasy, z sądowych przewodów. Ta obrona i nieustająca polemika ze wszystkimi wokół pozostawia w czytelniku wrażenie przesady i wydaje się zbyteczna. Stwarza ona wrażenie, że nikt nie miał racji — jeden tylko, od początku do końca, zawsze i wszędzie miał rację Reynaud. A przecież natura człowieka jest ułonna i twierdzenie nieomyślności budzi, jako reakcja, wątpliwość.

Cała ta zawzięta samoobrona wydaje się poza tym niepotrzebna. Reynaud wyróżnia się niewątpliwie korzystnie spośród innych polityków schyłkowej Francji: ludzi przedajnych jak Laval, dwuznacznych jak Flandin, Darlan, Baudouin; ludzi chwiejnych lub załamanych, jak nieomal wszyscy inni. Reynaud pozostał do końca przeciwnikiem kapitulacji, wiernym zachodnie-

1) Reynaud, ur. 1878, deputowany od 1928; minister finansów w gabinecie Tardieu 1930; min. sprawiedliwości w gabinecie Tardieu lutymaj 1942; min. sprawiedliwości w gabinecie Daladier od kwietnia 1938, następnie min. finansów w tymże gabinecie 1 listopada 1938; Premier od 21 marca do 16 czerwca 1940.

2) *La France a sauvé l'Europe*, t. I-II, Paris, Flammarion, (1947).

3) Paul REYNAUD, *Au Coeur de la Mêlée*, 1939-1945, Paris, Flammarion (1951), str. 1077, facsimile i mapa.



mu przymierzu. Jest to jego tytuł do dobrej sławy. Miał też w przeważnej ilości wypadków rację — tylko że w polityce i w zawodnej sztuce rządzenia mieć rację nie wystarczy: potrzeba silnej woli i umiejętności gry między ludźmi. Reynaud okazał się naiwny w stosunku do Pétaina i Weyganda, porywczy względem Lebruna i Daladiera, niezdolny do pokierowania nawet tymi, co byli z nim jednomyślni. Sam będąc najlepszych intencji, nie umiał opanować sytuacji. W dniach krytycznych, wydając trafne decyzje, nie dopilnował ich wykonania: zgodził się na słuszne żądanie Churchilla wydania Anglikom jeńców lotników niemieckich, ale nie wydał skutecznych po temu rozkazów; od początku był za zabezpieczeniem floty, ale nie skorzystał 13 czerwca z ostatniej okazji jednomyślności rady ministrów w tej najważniejszej sprawie<sup>4)</sup>. Mając wszystkie w tej dziedzinie atuty, nie zdołał utrzymać w swym ręku ani poprowadzić stosunków sojuszniczych: nie wykorzystał autorytetu Churchilla wewnątrz swego rządu, ujawnił natomiast bez żadnej potrzeby wahania polityki brytyjskiej w dniach 15 i 16 czerwca, przez co obniżył jeszcze morale francuskiego gabinetu. W końcu, nie zaproponował wprawdzie formalnie Pétaina jako swego następcy na stanowisko premiera, ale żonglował w rozdrażnieniu jego nazwiskiem, co dawało ten sam rezultat<sup>5)</sup>.

Wszystkie te kontrowersje i poświęcone im liczne książki dają rozległy materiał tym, którzy w historii upatrują szeregu indywidualnych wypadków, mogących się stać, ale dających się także odwrócić inaczej, gdyby się coś nie było stało, lub jeśli by, w decydującym momencie, ktoś był postąpił odmiennie. Tymczasem bieg wydarzeń jest jak wielka rzeka, zbierająca w swym przepływie szczątki ziem, tworzywa warunków, wyniki działań: i nigdy może tak wyraziście, jak na przykładzie tragicznych tygodni niedawnej Francji, nie okazuje się, jak dalece teraźniejszość determinowana jest w przeszłości.

Może by na tym należało się zatrzymać i pozostawić resztę tych spraw wewnętrznej rozgrywce sumień francuskich, gdyby nie jedna z nich, zbyt blisko obchodząca inne kraje i sięgająca w głąb zagadnień całej Europy. Jedną z naczelnych tez książki Reynaud jest, że Francja "nie sprzymierzyła się" — to znaczy

4) Reynaud nie daje — str. 767 sq. — żadnych przekonywujących wyjaśnień dlaczego jego instrukcja z 13.VI. w sprawie jeńców nie została wykonana. Co do floty, na powtórnej radzie ministrów w Cagé, 13.VI, Weygand "suggère que l'on profite du délai imposé par l'attente de la réponse de M. Roosevelt pour mettre la flotte... hors de portée de l'ennemi" (str. 779). Znowu brak wyjaśnienia dlaczego nie przedsięwzięto.

5) Reynaud przyznaje (str. 841), że niepytany powiedział Prezydentowi: "pour faire cette politique (politykę nawiązania z Niemcami), adressez-vous au Maréchal Pétain". W następującej, decydującej rozmowie, w obecności prezydentów obu Izb, Reynaud mówi do Prezydenta (str. 845): "c'est votre affaire", i dodaje: "vous ne serez pas embarrassé... Le Maréchal Pétain m'a déclaré ce matin, qu'il a son cabinet dans sa poche". Co najmniej więc dwukrotnie w tym decydującym dniu podsuwał Lebrunowi tę alternatywę.

nie zawarła sojuszu z... Rosją. Twierdzi on, że geografia, historia, polityka — wszystko wskazywało na wybór tego naturalnego sprzymierzeńca. Nie zastanawia się wcale jaka była ta "Rosja", z którą należało się związać na śmierć i życie; widzi ją wciąż przez pryzmat franko-rosyjskiego sojuszu, jaką była w 1894, w 1914. Więc nie wystarczy mu traktat z Bolszewią Stalina, negocjowany przez Barthou, podpisany w maju 1935 w Moskwie przez Laval'a. Wprawdzie cytuje ostrzeżenie otrzymane drogą wojskową o niezgodności nowego paktu z Paktem Lokarneńskim. Co ważniejsza, cytuje niespodziewane ostrzeżenie Benesa przed kontaktami sztabowymi z dowództwem sowieckim, utrzymującym równocześnie „podejrzanе stosunki z Niemcami”<sup>6)</sup>. Ale pomimo to twierdzi, że należało zawrzeć konwencję wojskową z tą właśnie "Rosją"; a ponieważ konwencja taka, wobec nieistnienia granicy bezpośredniej między Sowietami a Niemcami byłaby jawnie bezużyteczna, więc wszystkiemu winni byli... pułkownik Beck i Polacy, nie chcący w żaden sposób przepuścić armij sowieckich przez terytorium Rzplitej. Opór Rumunii w tej sprawie Reynaud przypisuje wpływom polskim, poza tym uważa go za nieistotny i nieszczerzy<sup>7)</sup>.

Wszystko to świadczy, że były Premier niczego się w międzyczasie o Sowietach nie dowiedział i bardzo mało się w polityce europejskiej orientował. Łamańce polityki sowieckiej między Francją a Niemcami objaśnia według komentarzy Potiemkina z oficjalnej "Historii Dyplomacji". Powołuje się z nabożeństwem na słowa samego Stalina, służące jak wiadomo dyktatorowi Rosji głównie dla ukrycia myśli i kamuflowania działań. Wprawdzie wie dobrze jak Sowiety zdradziły Polskę, opowiada jak wywiodły w pole mocarstwa zachodnie, wie jak się porozumiewały z Niemcami, zna nawet gratulacje Mołotowa, wyrażone 16 czerwca Niemcom z powodu zwycięstwa nad Francją. A jednak podaje ponownie i szczegółowo, na 37 stronicach, historię rokowań aliancko-sowieckich, trzymając się ślepo wersji ustalonej przez Potiemkina i Bonnet'a. W kulminacyjnej chwili, około 20 sierpnia, gdy już wszystko było gotowe, gdy Sowiety zgadzały się, gdy Zachód miał niezdarzającą się nigdy dwa razy okazję, gdy historia mogła być odwrócona, na przeszkodzie stanęła... Polska: tak fatalnie kierowana, zaślepiona, uparta, nieszczęśliwa.

Bywają tedy poglądy nie zmieniające się, wbrew doświadczeniom czasów wytrwałe. Już przed pięćdziesięciu laty Albert Vandal deklamował z katedry, wspominając czasy Napoleona i Aleksandra, lata między Tylżą, Erfurtem a Moskwą: "...a więc raz jeszcze widmo nieszczęśliwej Polski (l'ombre de la malheureuse

6) Por. str. 96 sq.: według wersji Premiera Bluma, Benesz ostrzegł go "w końcu 1936" przed machinacjami "sztabu sowieckiego" z Niemcami. Naturalnie Reynaud, w ślad za naiwną tezą Churchilla, pomawia o wszystko Tuchaczewskiego.

7) Według mnożących się danych francuskich — Bonnet, Coulondre, Gamelin — Rumunia prowadziła grę podwójną i w szczególności król Karol dawał Francuzom zapewnienia, że w decydującej chwili zgodzi się na przemarsz sowiecki.

Pologne) stańło pomiędzy Francją a Rosją...". Zawsze więc my, Polacy, byliśmy komuś na przeszkodzie: wszystko by się załatwiło, wszystko skończyło by się dobrze, gdyby nie Polska...

Są jednak granice, poza które pisarzom, ani politykom odpowiedzialnym posuwać się nie wolno. Dzisiaj znana już jest co najmniej część źródeł odnoszących się do rokowań dyplomatycznych z wiosny i lata 1939. Amerykanie ogłosili najważniejsze akty Niemiec o stosunkach z Sowietami — Reynaud, tak obszernie rozwodzący się o innych mniejszych epizodach, tę podstawową publikację cytuje jak najmniej. We Francji samej, znakomity komentator, A. Rossi, omówił szczegółowo i uzupełnił amerykański zbiór dokumentów: nie ma śladu, aby Reynaud z tej książki korzystał. Tymczasem wnioski ze wszystkich tych dotychczasowych rewelacji są wystarczająco jasne. To nie Hitler poszukiwał i ubiegał cnotliwego Stalina, który najpierw chciał wyczerpać możliwości porozumienia z ociągającym się Zachodem — jak to wygląda w teorii głoszonej przez Gafenku, Bonnetta, Potiemkina i Reynaud. To Stalin pierwszy zgłosił się przez ambasadora Mierekałowa na Wilhelmstrasse z propozycją "znormalizowania" stosunków niemiecko-sowieckich i krok ten podjął już 17 kwietnia 1939, czyli w tym samym dniu, gdy Sowiety rozpoczynały dopiero pertraktacje z Wielką Brytanią o układ przeciwko Rzeszy. I to nie Hitler pierwszy, jak głosi do dziś dnia przedajna propaganda lub zaślepiona historiografia na Zachodzie, zaofiarował Stalinowi pakt wzajemny. To Stalin zaofiarowuje w Berlinie przez Aksakowa zawarcie paktu o nieagresji i obiecuje zerwanie rokowań z Wielką Brytanią — i czyni to 15 czerwca, w tym samym dniu, gdy Mołotow przyjmuje na Kremlu zachodnich ambasadorów i przybyłego umyślnie reprezentanta Foreign Office'u Stranga, rozpoczynając w ten sposób formalne pertraktacje o sojusz przeciw Niemcom. A dalej, wszystkie dane świadczą, że decyzje wzajemnego porozumienia zapadły zarówno w Moskwie jak w Berlinie w dniu 12 sierpnia, w tym dniu bowiem Aksakow przedstawił w Berlinie, na podstawie instrukcji Mołotowa, szczegółowy zarys porozumienia, zaś Hitler oświadczył ministrowi Ciano, że "pertraktacje (aliantów zachodnich) w Moskwie skończyły się niepowodzeniem". Tymczasem w tymże to właśnie dniu otwarta zostaje moskiewska konferencja wojskowa i dopiero nazajutrz, 13 sierpnia, Woroszyłow stawia ультymatywnie kwestię zgody Polski na przemarsz wojsk sowieckich. W dniu 15-tym rząd sowiecki zapytuje potajemnie i formalnie "czy rząd niemiecki jest gotów zawrzeć ze Związkiem sowieckim pakt nieagresji lub analogiczną konwencję?" i otrzymuje nazajutrz tą samą tajną drogą bezwarunkową zgodę. W chwili więc, gdy żądano wypowiedzenia się Warszawy, gdy zbierano się na bezpłodne narady, to znowu rozchodzą się w Moskwie, gdy między Francją a Polską krzyżowały się nerwowe spotkania dyplomatów i niecierpliwe telegramy, kości były już rzucone pomiędzy Rosją a Niemcami. Polska, spory z nią o przemarsz sowiecki, nieistotna polemika o odp-

wieź pośrednią czy bezpośrednią — wszystko to były tylko preteksty, mydlenie oczu partnerom, formy i epizody ułożonego z góry na Kremlu szantażu.

Można zapewne sądzić, jak zdaje się to czynić dzisiaj Reynaud, że ponieważ Stalin oszukał zachodnich aliantów, więc mógł również dobrze oszukać w końcu Niemców i że cała gra dyplomacji 1939 r. sprowadzała się w istocie do tego, kto kogo ostatni i najlepiej oszuka. Można zapewne i tak rozumować, jakkolwiek Stalin dał niejednokrotnie do poznania, że woli targ z Niemcami, mając z nimi wspólne interesy a, dodajmy, także podobne metody. Cała rzecz jednak w tym, za jaką cenę Zachód mógł ubić targu? Otóż z chwilą, gdy Sowiety zażądały zgody na pochwytnie państw bałtyckich, a Niemcy zaofiarowały im udział w poćwiartowaniu Polski, ceną układu musiała być rekonstrukcja Wschodniej Europy i poświęcenie wolnych ludów ją zamieszkujących. To było dla rządów Zachodu nie do przyjęcia. Co prawda, zgodziły się one później na to samo — w Teheranie w 1943, w krymskiej Jałcie w 1945 wzięły udział we frymarczeniu wolnością ludów. Ale między tymi dwiema datami zaszły dwie ważne różnice. Po pierwsze, w roku 1939 moralność międzynarodowa nie dojrzała jeszcze do postępów zbiorowych, znamienych dla doby późniejszej. Po wtóre, w Teheranie zarówno jak w Jałcie świeciła swą nieobecnością Francja, jedyna mogąca się wykazać niejaką znajomością kontynentu Europy — jego historii, struktury etnograficznej i założeń strategicznych.

Takie to było owo, jak je Reynaud nazwał, "Waterloo dyplomacji francuskiej" — tylko nie w sensie przez niego rozumianym. Był to szczytowy wynik niewykorzenionej, niepoprawnej naiwności Zachodu w pojmovaniu Rosji, w ocenie metod jej działania, w ujęciu jej pobudek i motywów — w ogóle, w całym do niej stosunku. Jeżeli do tego dodać nieznaną podstawowych faktów i zasad komunizmu, specjalnie w jego leninowskim wydaniu, to otrzyma się obraz prawdziwie zastraszającej ignorancji.

Postojuje jednak zagadnienie: dlaczego ignorancję tę odnawiać i nowymi fałszami uzupełniać obecnie, po latach trzynastu, po tylu doświadczeniach? Dlaczego Francję, która nie ponosi odpowiedzialności za zerwanie rokowań w sierpniu 1939, ani za późniejsze, bardziej udane przetargi Teheranu i Jałty, czynić dzisiaj moralną współniczką Stalina? Na progu 1952 roku zarysowuje się sylwetka stalinowskiej Rosji, równie wyrazista i obiecująca, jak w 1939 sylwetka hitlerowskich Niemiec. Sowiety dowiodły faktami, jak rozumieją "przemarsze" przez terytoria obcych państw i narodów. Toteż Zachód Europy, po poświęceniu i sponiewieraniu Wschodu, zrozumiał nareszcie stan śmiertelnego zagrożenia: z trudem, z zaniechaniami, z ociąganiem moralnym przygotowuje się do obrony. W takich warunkach rozdział o roli Rosji sowieckiej w książce Reynaud, jeżeli nawet skreślony bez specjalnych intencji, nie może przejść bez skutku. Pasu-

je on do powtórnego defetyzmu, gnieżdzącego się tu i ówdzie w powojennej Francji i daje mu historyczne podłoże.

I znowu w ten defetyzm, w to amoralne usprawiedliwianie przemocy wplątana jest Polska. W książce Reynaud, gdzie "Rosja" zajmuje poczesne miejsce, jak najmniej jest mowy o Polsce: wiele słów wprawdzie o jej błędach, przewinieniach, o nieodłącznym od jej losów nieszczęściu; ale nic o jej działaniach, o jej odrodzeniu, o potencjalnych możliwościach. Ten osobliwy minister finansów nie pokusił się o przedstawienie, jaka była istotna pomoc finansowa i materiałowa, udzielona przed wojną przez Francję Polsce — a już czas byłby, zarówno ze strony francuskiej jak polskiej, na liczbowe i dokładne zestawienie tego drażliwego rachunku. Tenże Reynaud, tak żywo zainteresowany przygotowaniem wojennym i strategią, nie zajmuje się obiektywnym zbadaniem, jakiej pomocy wojennej Francja udzieliła Polsce w toku kampanii i jak wypełniła sojusznicze zobowiązania. Co więcej, Reynaud, analizujący każdą z domniemanych przyczyn klęski francuskiej, zbywa tylko kilkoma luźnymi cytatami kardynalną kwestię bezczynności Francji w czasie kampanii 1939 roku — a przecież jest w całym tym okresie współodpowiedzialnym członkiem rządu. W przełomowych dniach czerwca 1940, w chwili gdy ogromna armia francuska rzuciła broń przed Niemcami, a gdy szczupłe i rozproszone siły polskie trwały w walce do końca, Reynaud nie przypomina sobie nawet, czy przyjął, czy spotkał Premiera rządu polskiego. W wojnie o Polskę, Polska sama pozostaje dla Reynaud najmniej ważnym epizodem. Czyni to wrażenie, jak gdyby z góry chciał ją wymazać z mapy Europy.

"La France a sauvé l'Europe" — woła Reynaud w tytule pierwszego wydania swoich książek. Wolne żarty! Europę uratowała — Polska. W obliczu tej, skreślonej z pasją zawiedzionego patrioty sylwetki schyłkowej Francji, w zestawieniu z powoli, ociężałe rozbudzającą się Anglią, polskie "NIE", rzucone 5 maja 1939 roku Hitlerowi, nabiera wyrazu, wzmaga się w swym znaczeniu. Oddalając się w przeszłość, zyskuje cechy wielkości. Bez Polski każdy byłby po kolei ustąpił. To polskie "nie" ocaliło Zachód i jego cywilizację od zagłady.

Na jak długo? — nie wiadomo. Ale byłoby spełnieniem obowiązku ze strony niedawnego sojusznika fakt ten dostrzec i przyznać.

Michał SOKOLNICKI

## Stalin a komunizm niemiecki

Książka Ruth Fischer pod powyższym tytułem jest dotychczas najbardziej wyczerpującym studium niemieckiej partii komunistycznej w latach 1918-1929. Bezpośredni udział w wydarzeniach tych lat nadaje świadectwu R. Fischer wartość pierwszorzędnego dokumentu historycznego, popartego obszernym materiałem dowodowym. Niejako ubocznym motywem jest przedstawienie historii wewnętrznej walki o władzę w Rosji od śmierci Lenina do wygnania Trockiego. Trzecim wreszcie motywem — Polaków najbardziej interesującym — to związki pomiędzy Rosją a Niemcami, ściślej: Reichswehry i Czerwonej Armii. Morałem tego studium jest ukazanie na przykładzie K.P. Niemiec mechanizmu opanowywania aparatu partyjnego aż do całkowitego podporządkowania centrali moskiewskiej. Ten ostatni motyw jest niezwykle interesujący. Ruth Fischer pracuje obecnie nad studium: "Der Aufstieg der Staatsapparteien und Parteistaaten in Europa, 1929-1939", ekspozycję tego tematu znaleźć można bez trudu na kartach niniejszego dzieła.

Wybuch pierwszej wojny światowej zastał w Niemczech dość paradoksalną sytuację: milionową partię socjal-demokratyczną o 50-cioletnim, tradycyjnym antymilitaryzmie, oraz ok. dwa i pół miliona zorganizowanych w związkach robotników. Nadzieje na opór tej wówczas najliczniejszej organizacji robotniczej Europy, w sensie sabotowania niemieckiego wysiłku wojennego — zawiodły. Posłowie socjal-demokratyczni uchwalili kredyty wojenne (na 111 tylko 15 głosowało za odrzuceniem), robotnicy bez oporu dali się wcielić do wojska. Socjaliści i liberałowie europejscy zarzucili im zdradę<sup>1)</sup>. Tymczasem sprawa nie jest taka prosta. Tendencje pacyfistyczne mas robotniczych nie znalazły wprawdzie wyrazu w bardziej drastycznych formach, ale objawiły się w kryzysie zaufania do kierownictwa partii. W chwili wybuchu wojny kierownictwo partii socjal-demokratycznej oraz organizacje robotnicze stanęły przed wyborem: albo opór przeciw polityce wojennej rządu, albo warunkowe poparcie tej polityki. Rozwiązanie pierwsze oznaczało konieczność zejścia w podziemie i ryzyko wszystkich konsekwencji związanych z nielegalnością. Trudno wymagać, by kierownictwo partii w ciągu paru godzin zmieniało kierunek wytyczony od pół wieku. Zresztą i robotnicy brytyjscy i francuscy dali się wcielić w szeregi bez większego oporu. Najbardziej reprezentacyjny przeciwnik wojny we Francji, Jaurès, zamordo-

Ruth FISCHER: *Stalin und der deutsche Kommunismus (Der Uebergang zur Kontrevolution)*, Verlag der "Frankfurter Hefte" — Frankfurt a/Main, 1950. Str. XIV + 831 + 12 nlb.

1) Por. interesującą notatkę w "Silva rerum", "Wiadomości" nr 10/258, z dnia 11 marca 1951.

wany został w ostatnich dniach lipca. Również, próbujący stawić opór socjal-demokraci rosyjscy nic nie zdziałali poza zsyłką na Sybir.

27 marca 1917 Rady żołnierskie, robotnicze i chłopskie zebrane w Petrogradzie wezwały do zakończenia działań wojennych: "...Demokracja rosyjska wzywa wszystkie narody Europy do zjednoczonej walki o natychmiastowy pokój". Lenin przygotowujący przewrót bolszewicki był przekonany o bliskim wybuchu rewolucji w Niemczech. W Paryżu i Londynie obserwowano te wydarzenia z niepokojem, obawiając się, że bolszewicy dążyć będą do zawarcia oddzielnego pokoju z Niemcami. Ogłoszenie bolszewickiej "polityki pokojowej" miało potwierdzić objęcie władzy przez bolszewików, co wtedy (8 listopada) nie było jeszcze pewne; oraz wyrażało wiarę w rychłe zakończenie wojny, skoro odpadnie Rosja. Ofertę rosyjską podchwycili jedynie Niemcy, którym oddzielny pokój na Wschodzie dogadzał pod każdym względem. Tymczasem 8 stycznia 1918 prez. Wilson ogłasza swe 14 punktów. Niemcy wolą jednak przyjąć koncepcję rosyjską i w drugiej fazie rokowań brzeskich delegacja niemiecka przymując pozornie propozycję rosyjską o samostanowieniu narodów bałtyckich, Polski i Ukrainy, dorzuca skromny warunek, że — pod ochroną armii niemieckiej. Lenin wbrew opozycji był skłonny przyjąć i ten warunek, zdając sobie sprawę z niemożliwości dalszego prowadzenia wojny armią demobilizującą się indywidualnie. Formuła Trockiego oddaje istotny stan rzeczy. Rosja zrywa rokowania, by w trzy tygodnie później podporządkować się dyktatowi niemieckiemu. Pokój zostanie podpisany, a marsz armii niemieckiej trwa nadal.

Gdy los rewolucji bolszewickiej zawisł od pochodu niemieckiego w głąb Rosji, w łonie lewicy komunistycznej powstał plan przeniesienia rewolucji na resztę Europy. W oparciu o założenie Lenina, że Europa stoi wobec kryzysu rewolucyjnego, i że czas pracuje dla bolszewików — lewicowi komuniści wyciągnęli wniosek natury praktycznej: nawet jeśli Niemcy zajmą Moskwę, będzie to okupacja krótkotrwała. Niemcy znajdują się w przede dniu klęski. Austro-Węgry u progu rozpadu. Wydarzenia te otworzą olbrzymie perspektywy przed Rosją, która musi wykorzystać tę "jedyną szansę historii". Należy utworzyć oddziały partyzanckie, złożone z robotników i chłopów, które uzbrojone w broń maszynową i manifest komunistyczny walczyć będą na tyłach. Niemcy mogą iść naprzód, im głębiej zajdą, tym pewniejsza ich zguba. Zwycięstwo osiągną ruchome jednostki komunistyczne, wierzące w zwycięstwo rewolucji i klęskę świata kapitalistycznego<sup>2)</sup>. Tymczasem wojska niemieckie szły cią-

2) Warto tu przytoczyć ciekawą uwagę R. Fischer. Powyższą taktykę z powodzeniem zastosowano w kilku krajach: w Jugosławii w czasie ub. wojny, w Grecji po wojnie a w Chinach od r. 1931. A. L. Strong w "The Thoughts of Mao Tse-tung" przytacza zdanie Mao o tym sposobie walki: ... "Przecież dwadzieścia lat żyliśmy w stanie swego rodzaju wojskowego komunizmu. Jest to system w którym

gle w głąb kraju, a jednocześnie wojna domowa ogarniała nowe połacie. Wydawało się, że dni rządów bolszewickich są policzone. Próby jednak zamachu socjal-rewolucjonistów skończyły się niepowodzeniem przyczyniając się wbrew intencjom do wzmocnienia autorytetu Lenina. Wydarzenia pierwszego roku rewolucji zmusiły kierownictwo do konsolidacji partii i do utworzenia armii i policji. Próby interwencji z zewnątrz wyznaczyły dalszą drogę w kierunku centralizacji i terroru. Nadzieje na dalsze rozprzestrzenienie rewolucji były nikłe. Jedynym krajem, poza Rosją, w którym wzniecenie rewolucji komunistycznej wydawało się łatwe i możliwe były Niemcy.

Porównując mechanizm przewrotów komunistycznych po pierwszej i drugiej wojnie widzimy, że historia się nie powtórza. Bawarskie i węgierskie Republiki Rad były efemerydami, daremnie oczekującymi nadejścia Czerwonej Armii. Po drugiej wojnie błędu tego nie powtórzono, ekipy rządów komunistycznych posuwały się w bezpiecznej odległości za frontem wojsk sowieckich.

Klęska Niemiec wilhelmińskich i rozpadnięcie się monarchii hamburskiej wyróciły tradycyjną równowagę Europy. Rewolucja rosyjska nie była zjawiskiem oderwanym. Obalenie caratu i powstanie państwa komunistycznego jest nie do pomyślenia bez rewolucyjnego internacjonalizmu Lenina, spekulującego na ciąg rewolucji w różnych krajach, w Niemczech przede wszystkim. Okres 1918-1923 w Niemczech był pouczającą demonstracją nieprzydatności tych teorii rewolucyjnych w odniesieniu do kraju o innej strukturze gospodarczej niż Rosja. Komunistyczna Partia Niemiec była zresztą w równym stopniu niedojrzała do wzniecenia rewolucji, jak nierealne były próby przeniesienia zasad leninizmu na grunt niemiecki. Komuniści mieli teraz do wyboru dwie drogi: albo uznanie klęski i czekanie na stosowniejszy moment; albo wyciągnięcie wniosków i znalezienie innej, lepszej recepty. Okres lat 1923-1929 jest właśnie okresem przemian. Po ugruntowaniu władzy komunistycznej w r. 1926, partie Kominternu zostały metodycznie oczyszczone i podporządkowane centrali moskiewskiej... W krótkim czasie poszczególne partie komunistyczne stały się forpocztami Stalina (niektóre jak amerykańska nawet drogą telegraficzną). Przykład K.P. Niemiec jest o tyle interesujący i godny uwagi, że Komintern w latach 1925-27 był cieplarnią nowego systemu totalitarnego, którego sadzonki po wejściu na półku niemieckim rozwinęły się bujnie w dwadzieścia lat później.

Pierwszym zgodnym wystąpieniem partij Komunistycznych Zachodu pod batutą Stalina była akcja przeciw planowi Da-

armia i rząd nie wypłacają ani żołdu ani pensyj w gotówce, lecz zabezpieczają wyżywienie przez częściowe opodatkowanie i przez wspólną pracę. Dzięki tej metodzie możemy utrzymać 2 do 3 milionową armię i ekipę rządową, bez obciążania ludności. System ten pozwala nam prowadzić wojnę przez dwadzieścia lat, a poprowadzimy ją aż do zwycięstwa"...

wesa (analogia z planem Marshalla, gdy chodzi o furię komunistów jest zupełna). Specjaliści Politbiura z prof. Vargą na czele orzekli, że plan Dawesa jest potwierdzeniem teorii "niemieckiej kolonii przemysłowej". Rozpatrując ewentualne skutki tego planu dla polityki i gospodarki sowieckiej Politbiuro doszło do przekonania, że plan Dawesa jest instrumentem okrażania Rosji i przygotowaniem interwencjonizmu niemieckiego na usługach W. Brytanii. Stosowana instrukcja dla K.P. Niemiec o konieczności zwalczania planu Dawesa była nawet zbyt czarna. Komuniści niemieccy zasadniczo przeciwstawiali się każdej próbie interwencji z Zachodu. Z drugiej jednak strony Politbiuro obawiało się zrazić sobie Reichswehrę i nacjonalistów, również zerkających w kierunku Moskwy. Plan Dawesa analizowano również w Moskwie z punktu widzenia polityki światowej. Stabilizacja gospodarcza Niemiec ustawiała je pośrodku między Moskwą a Londynem. Orientacja zachodnia — wg. interpretacji moskiewskiej — tworzyła z Niemiec kolonię City i Wall St. orientacja wschodnia — od groźby tej uwalniała. Na wszelki wypadek przed przyjęciem planu Dawesa w Reichstagu (sierpień 1924) przedstawiciele sztabu oświadczają parlamentarnej komisji zagranicznej, że plan Dawesa nie osłabi ani tradycyjnej przyjaźni niemiecko-rosyjskiej, ani "duchowego związku Niemiec i Rosji". Oświadczenie to miało uspokoić i komunistów niemieckich i ich centralę w Moskwie. Było ono również wyznaniem wiary sztabowców niemieckich. Układ z Locarno i przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów był przesunięciem na Zachód i początkiem rywalizacji brytyjsko-amerykańsko-francuskiej o wpływy w Europie. Wystąpienie więc Rosji jako straży przed "ultraimperializmem" amerykańskim było naturalną konsekwencją tych wydarzeń. Podpisanie układu Stresemann - Krestinskij (24 kwiecień 1926) dodało Niemcom wagi wobec W. Brytanii i St. Zjednoczonych. Układ z r. 1926 koronował kilkuletnie zabiegi o trwały związek niemiecko-rosyjski. Pół roku przedtem, 12 października 1925 podpisano już układ handlowy uzupełniony tajnymi klauzulami o współpracy wojskowej. W istocie, pierwsze ślady takiej współpracy odnajdujemy jeszcze wcześniej.

Jeszcze przed zawarciem traktatu wersalskiego sztab niemiecki gorączkowo szukał kontaktów na Wschodzie. W r. 1919 łączność została nawiązana, a w r. 1921 miała już ona charakter stałej współpracy. Myśl Rapallo zapadła w sztabie Reichswehry, który od początku był za zawarciem przymierza z Rosją. Generałowie von Schleicher, von Hammerstein, von Seeckt — płk. von Nikolai i inni jeździli oficjalnie do Rosji obserwując manewry i konferując ze sztabem sowieckim. Powstanie i rozwój Czerwonej Armii imponowało oficerom niemieckim, którzy chętnie by odbudowali armię niemiecką.

Po zgnieceniu rewolty kronszackiej, w marcu 1921, sowiecki sztab generalny wysłał do Niemiec Karola Radka, zlecając

mu dyskretną misję. Radek miał propagować — zgodnie zresztą i z ówczesną linią polityczną — tezę, że rewolucja europejska stanęła na martwym punkcie. Młode państwo robotnicze — Rosja i kolonia przemysłowa Anglii i Ameryki — Niemcy winny, dla obrony przed zniszczeniem złączyć się w blok europejski, który będzie w stanie zmiążyć imperialistyczny Zachód. Radek działał dyskretnie, a jego precyzyjne wskazówki, jak się do tego zabrać przeznaczone były dla uszu Reichswehry. Konkretne Rosja zaofiarowała Niemcom gotowość zbudowania zakładów zbrojeniowych na terenie Rosji. W ciągu następnych trzech i czterech lat w Fili, Samarze i Saratowie powstają zakłady Junkersa. Hugo-Stolzenberg-Gesellschaft zakłada fabryki materiałów wybuchowych i gazów bojowych. Major Lohmann odbywa próbną jazdę okrętów podwodnych na Bałtyku i morzu Czarnym. Oficerowie Reichswehry kształcą się w Rosji w prowadzeniu wojny chemicznej i lotniczej. Pod koniec jednak r. 1926 sprawy te stają się jawne. Oto trzy statki niemieckie wylądowały w porcie szczecińskim ładunek granatów sowieckich, przeznaczonych dla Reichswehry. Robotnicy otrzymali specjalne dodatki za milczenie. Kilku z nich, członków partii socjal-demokratycznej poinformowało o tym centralę berlińską. Poseł tej partii, Küstler, zdobywa dodatkowe materiały o fabrykach produkujących gaz, łącznie z fotokopiami paszportów robotników niemieckich pracujących w Rosji. Reichswehra postarała się o nierozgłaszanie tej afery, i storpedowała wniosek o utworzenie specjalnej komisji parlamentarnej dla wyjaśnienia kulis współpracy.

Przeciw porozumieniu wojskowemu z Rosją wystąpili socjal-demokraci, pacyfiści oraz lewe skrzydło K.P. Niemiec ( m. in. Fischer i Schwarz). Politbiuro odpowiedziało artykułem w "Prawdzie", nazywając R. Fischer "agentką Chamberlaina i Piłsudskiego" (był to wtedy najwyższy stopień w skali zaczynającej się od "zdrajcy ojczyzny socjalistycznej"). Warto przytoczyć tu jeden ustęp z wypowiedzi Politbiura:

... "Naturalnie, że Junkers wybudował fabryki. Kto nie wie, że Junkers jest fabryką samolotów? — oczywiście, że buduje samoloty. Kto jednak śmie twierdzić, że oznacza to współpracę z Reichswehrą, ten zdradza interesy Rosji sowieckiej, a przez to interesy proletariatu... Schwarz utworzył blok z Chamberlainem, intrygantką z brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, z cierpiącym na starczy urąg arcyzdrajcą Kautskym oraz litewskim żandarmem i agentem tajnej policji..."

Ten manewr Stalina, mający odwrócić uwagę komunistów europejskich od polityki Politbiura połączył tylko luźne grupy komunistów antystalinistów. Na terenie Kominternu zakazano w ogóle dyskusji na temat paktu wojskowego.

Z drugiej strony flirt niemiecko-sowiecki miał na celu urzeczywistnienie planów niemieckich na Wschodzie. Układ w Locarno nie regulował spraw na Wschodzie (odwrotnie niż dzisiaj: Jałta i Poczdam ustaliły granice wschodnie zostawiając

otwartą sprawę Saary i Ruhry), tradycyjnie więc i naturalnym biegiem rzeczy układy niemiecko-rosyjskie musiały dotyczyć Polski.

Głównym zwolennikiem współpracy wojskowej z Rosją był wówczas minister Reichswehry Otto Gessler, który oficjalnie zaprzeczał istnieniu takiej współpracy. Zbliżenie Reichswehry i Czerwonej Armii dokonywało się pod płaszczykiem koniecznych środków obronnych. Na posiedzeniach parlamentarnej komisji zagranicznej Gessler zupełnie otwarcie wypowiadał się na swój ulubiony temat: polskiego niebezpieczeństwa. R. Fischer, będąca członkiem Reichstagu z ramienia K.P. i biorąca również udział w posiedzeniach wspomnianej komisji, pisze:

(Str. 649) ... "Wszystkie odcienie nacjonalizmu niemieckiego były zgodne przeciw Polsce. Nawet ci nacjonałiści, którzy odrzucali każdą próbę współpracy z komunistami, potakiwali głównej myśli argumentacji Gesslera — że interesom niemieckim, a przeciw młodemu państwu polskiemu, temu bastionowi Francji we wschodniej Europie — najlepiej służyć można przez związek niemiecko-rosyjski..."

W komisji tej komisji zajmowali wyjątkowe stanowisko. Normalnie na posiedzeniach Reichstagu i innych komisji uważano ich za nieprzejednanych wrogów. W komisji zagranicznej, ci agenci obcego mocarstwa cieszyli się takim zaufaniem, że rozprawiano w ich obecności o sprawach stanowiących tajemnicę dla innych parlamentarzystów. Tak np. Gessler i oficerowie sztabu omawiali raporty oficerów Reichswehry, podróżujących po Rosji. Gessler zauważył raz, w związku z różnicami pomiędzy Politbiurem a komunistami niemieckimi, że sprzeczki te są zupełnie bezprzedmiotowe. "My — oficerowie mamy tak dobre stosunki z Moskwą, że wy — komuniści staliście się przestarzałymi resztkami z czasów wojny domowej. Mądrość polityków rosyjskich robi na nas duże wrażenie, a i my chcemy przedstawić się w jak najlepszym świetle, by razem stworzyć potężną organizację rosyjsko-niemiecką. Taka jest podstawa rzeczywistej polityki sowieckiej w Niemczech. Nadejdzie moment, w którym Moskwa zwinie tutaj swój kram partyjny".

Na jednym z posiedzeń komisji zagranicznej zmuszono Gesslera do udzielenia wyjaśnień o początkach stosunków niemiecko-rosyjskich. Współpraca ta — oświadczył Gessler — powstała z inicjatywy sowieckiej. Po wojnie polsko-sowieckiej w r. 1920 rząd sowiecki zwrócił się do rządu niemieckiego z propozycją, by oficerowie niemieccy pomogli przy reorganizacji Czerwonej Armii. Ofertę tę przyjęto, dawała ona bowiem okazję tajnych zbrojeń i prowadzenia badań wojskowych. Wg. obliczeń Scheidemanna jedynie w ostatnim kwartale 1926 r. dano Rosji 250 mil. marek, tj. 1/3 rocznego budżetu Reichswehry. Z obawy popsucia dobrych stosunków z Zachodem Gessler obiecał ograniczenie współpracy z Rosją. To zapewnienie niczego nie zmieniło, w latach następnych ilość oficerów wysyłanych do Rosji powiększono, wysyłając nawet całe delegacje oficerów. Na

przełomie lat 1932-33 Politbiuro usiłowało zawrzeć układ pomiędzy kanclerzem Schleicherem a partią. Po objęciu władzy przez Hitlera, Stalin nieustannie zabiegał o trwalsze formy współpracy wojskowej. Z wiadomym skutkiem.

Szczegóły współpracy wojskowej sowiecko-niemieckiej stanowią tajemnicę Politbiura. Nie znamy treści zabiegów Rosji przed i w czasie wojny polsko-sowieckiej. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Niemcy myśleli już wtedy o podziale Polski. Ernst Reventlow, nacjonalista i zależnie od sytuacji flirtujący z komunistami, przyznaje ("Völkisch-komunistische Einigung", Leipzig 1924), ... "Gdy Czerwona Armia maszerowała na Warszawę byłem za tym, by nawiązać z nią współpracę i razem rozbić państwo polskie. Wtedy mieliśmy dość zorganizowanych oddziałów i broni...". Być może, że sztab sowiecki był tak pewny zwycięstwa, że nie chciał dzielić się łupem z Niemcami. Jakie były projekty wspólnego rozbioru Polski przed 1939 r. nie wiadomo.

Współpraca niemiecko-rosyjska zarysowała się również i na innym polu. Gdy konflikt brytyjsko-sowiecki zaostriżył się tak dalece, że w maju 1927 W. Brytania zerwała stosunki dyplomatyczne z Rosją, przez Europę przeszła fala antykomunistyczna. Jednocześnie, polityka Stalina poniosła dotkliwą klęskę w Chinach, tak że Rosja znalazła się zupełnie osamotniona wobec świata. Jednym, choć niepewnym sprzymierzeńcem były wtedy Niemcy, które na wszelki wypadek podwyższyły kredyty dla Rosji, a jednocześnie — również na wszelki wypadek — policja berlińska aresztowała 700 komunistów pod zarzutem... stawiania oporu. Do Berlina przyjeżdża pospiesznie Cziczeryn i rozmawia z Marxem i Stresemannem, tuż przed jego wyjazdem do Genewy. Później w Genewie Stresemann konferuje z Chamberlainem. To stanowisko Niemiec w dużym stopniu przyczynia się do zażegnania poważniejszego konfliktu brytyjsko-sowieckiego.

Ruth Fischer szczegółowo przedstawia historię walki o władzę w Rosji i usiłowania opozycji skupionej w tzw. "Bloku obalenia Stalina". Znajdujemy tam pewne szczegóły o związku między zamachem majowym Piłsudskiego a walką ze Stalinem.

Wiadomość o dokonanej zamachu stanu zaniepokoiła Politbiuro. Było to akurat po plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego i przywódcy partii zaczęli szczegółowo analizować mechanizm zamachu. Różne skrzydła komunistów polskich były skłonne poprzeć warunkowo Piłsudskiego. Politbiuro jednak szybko wydało instrukcję, że zamach Piłsudskiego należy rozumieć jako manewr oskrzydlający imperializm anglo-amerykańskiego. W myśl założeń Politbiura Polska stała się modelem małego kraju kroczącego w ślady faszystwu włoskiego i militarizmu. Mechanizm zamachu majowego zainteresował również opozycję skupioną w "Bloku". Objęcie władzy w ciągu trzech dni, przy minimalnym rozlewie krwi i bez miany struktury społecznej kraju wydawało się godnym naśladowania i zastosowa-

nia również w Rosji. Stalin natychmiast zastrzył kontrolę i skończyło się na akademickich rozważaniach.

W rozważaniach końcowych Ruth Fischer słusznie podkreśla niedocenianie wkładu Stalina do powstania totalitarnych Niemiec. Wkład ten zaciemniły wzrastające przeciwieństwa między Zachodem a Niemcami narodowo-socjalistycznymi. Stara łączność Niemiec i Rosji została nawiązana po r. 1917. Przykład udanej rewolucji rosyjskiej pobudził fantazję Niemców, którzy w sukcesie tym widzieli stosowną receptę na powstanie silnej Rzeszy. Również ożywczo podziałał na nacjonalizm niemiecki wzrost nacjonalizmu rosyjskiego. Robotnicy niemieccy, mający dotychczas dużo sympatii dla socjalistów europejskich oddali się bez oporu nazistom. Stosunki Reichswehry z Czerwoną Armią od samego początku nie miały w sobie niczego z normalnych stosunków dwóch armii zaprzyjaźnionych.

Likwidacja samodzielności K.P. Niemiec dokonana przez Manuilskiego przyczyniła się także do rozkładu społeczeństwa niemieckiego. Partia przestała reprezentować jakąkolwiek grupę społeczną, stała się reprezentacją klasy rządzącej obcego mocarstwa. Członkowie tej partii byli po prostu agentami innego państwa. Te rządy państwa w państwie spowodowały naturalny i ogólny opór przeciw enklawie sowieckiej. Rozmach nazistów miał pożywkę w postaci kryzysu gospodarczego i obaw przed sowietyzacją.

Trzeba również uwzględnić bezpośredni wpływ partii stalinowskiej na budowę partii narodowo-socjalistycznej. Walka o władzę absolutną w Rosji, wytworzenie typu monopartii i państwa-partii były pilnie studiowane w Niemczech. Opozycja lewicy komunistycznej i jej bezpośrednie kontakty z opozycją rosyjską dały możliwość jak najbardziej szczegółowego śledzenia walki Stalina o władzę. Metoda Stalina musiała wzbudzić zachwyty nazistów. Szczególnie zaś jego przepis na likwidowanie opozycji. Drugi pucz Hitlera w r. 1928-29 różni się od niezdarnej próby z r. 1923. Inne są też warunki w Niemczech. Naziści szybko przejmują całą fasadę komunistów, od Czerwonego Frontu do organizacji propagandowej Münzenberga. Nawet flaga: czerwona płaszczyzna z małą swastyką na białym tle jest wiernym naśladownictwem, tak jak slogan Stalina o socjaliźmie w jednym kraju, socjaliźmie dla jednego, wybranego narodu, władzy dla wypełnienia historycznej misji.

W r. 1933 Europa przeżywa opanowanie władzy przez drugą partię-państwo. Antybolszewizm Hitlera i antyfaszyzm Stalina są parawanem, za którym kryją się dwie, identyczne moce. Obie strony marzą o wspólnym marszu na podbój świata. Krucjaty antyfaszystowskie ogłaszane przez Komintern i pakt antykominternowski zawierane przez Hitlera, to umizgi, raz prośbą, raz groźbą.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej bynajmniej nie przekreślił wieloletniej współpracy, już 8 października 1941 Wal-

ther Ulbricht przemawia na posiedzeniu jeńców niemieckich w Moskwie. Apel Stalina do żołnierzy niemieckich był wierną kopią apelu z r. 1917. Komitet Wolnych Niemiec świadczy, że zawsze znajdują się oficerowie niemieccy, chętni do wspólnego marszu z Rosją.

Analogii jest dostateczna ilość, tylko — historia się nie powtarza. Jedna strona tylko wyciąga wnioski, druga nie.

Zbigniew MAŁECKI.

## Okres wielkich czystek

Dzieło Urałowa powinno zainteresować tych, co się orientują lepiej lub gorzej w sprawach sowieckich, albowiem w długim już i bardzo nierównym szeregu książek, napisanych przez byłych sowieciarzy, co "wybrali wolność", dzieło to zajmuje miejsce dość specjalne...

Zasadniczo autor dorzucił do literatury sowietoznawczej dość cenne informacje z dziedziny historiograficznej i biograficznej: dzięki niemu dowiedzieliśmy się o całym szeregu faktów, niekiedy ważnych a często drobnych, dotyczących wielkich czystek z lat 1935-1938, a fakty te z kolei naświetlają te lata przedwojenne, spowite mgłą tajemnicy, w ciągu których Stalin wykuł zrzęby swego reżimu.

Autor rozwija tezę, słuszną choć nieco sumaryczną, że czystki te były niezbędną częścią składową zamachu stanu, który Stalin w owych latach metodycznie i stopniowo przeprowadzał. Ten rozłożony na dłuższy okres zamach stanu ostatecznie zastąpił resztki, jeszcze wcale znaczne, instytucyj i tradycyj, zrodzonych z rewolucji październikowej, osobistą wszechwładzą Stalina, opartą na wszechwładzy policji politycznej, która stała się jego — Stalina — osobistą policją.

Autor z wielką erudycją omawia kolejno — główne wypadki tego kryzysu, który zawsze pozostanie niezrozumiały dla umysłów zachodnich, i szkicuje sylwetki licznych osób, które w tym kryzysie brały udział i jako kaci i jako ofiary, zresztą nieraz naprzód jako kaci, potem jako ofiary. Omawia więc zamordowanie Kirowa, które dało sygnał do tego dramatu, upadek Jagody i okres Jeżowa, sprawę Tuchaczewskiego, czystkę w partii i w armii, upadek Jeżowa i wschodzącą gwiazdę Berii. Przed zrobieniem bilansu tej gigantycznej czystki, autor opisuje jej najbardziej charakterystyczne aspekty i metody, jej przebieg w niektórych republikach związkowych, daje obraz sowieckiej Inteligencji, i krótkie szkice Akademii Państwowych, Instytutów,

oraz sowieckich szkół filozoficznych, historycznych, ekonomicznych i prawnych. Wreszcie wspomina o eksterminacji (dokończonych w czasie wojny) mniejszości narodowych tatarskiej, kałmuckiej, inguskiej, czeczeńców i Niemców nadwołżańskich.

Oto jest treść trzech czwartych tej książki, poświęconej politycznej i terrorystycznej istocie stalinizmu. Treść ta podana jest przeważnie w formie retrospektywnych kronik i wspomnień osobistych, wzbogacając ją liczne wzmianki o znajomych autora i jego przeżyciach.

Ostatnia część książki poświęcona jest zagadnieniom socjalnym, temu co autor nazywa "socjalizacją nędzy" lub "organizacją nędzy", oraz technice propagandy sowieckiej, tej bliźniacze stalinowskiego terroru. Szereg krótkich szkiców, które zresztą nie przynioszą niczego, czego by od dawna nie wiedziało, traktuje o "rewolucji kołchozowej", o losie moralnym i materialnym robotników, chłopów, artystów, i wreszcie o strukturze społeczeństwa sowieckiego po czystkach.

Często interesująca, niekiedy pasjonująca, całość jest nierówna i pozostawia czytelnikowi wrażenie zawodu.

A. Awtorchanow (prawdziwe nazwisko Urałowa) był członkiem Komsomołu od 1922 r., partii komunistycznej od 1926 r., autorem kilku książek o swej rodzinnej Czeczenii i członkiem komisji propagandowej wszechzwiązkowej partii komunistycznej. Jeżeli można na wierzyć, to politycznie należał on do Bucharinowców, a naukowo skłaniał się do szkoły Pokrowskiego. Aresztowano go w 1937 roku za "burżuazyjny nacjonalizm". Tego bolszewika, dość typowego produktu wychowania komunistycznego w latach 1920-1930, uratował upadek Jeżowa; tym niemniej, za dwoma czy trzema nawrotami, odsiedział on cztery lata w więzieniu. Oswobodzony w kwietniu 1942 r., został w parę miesięcy później zaarrestowany "jako czerwony" przez Niemców, którzy w tym czasie doszli do Kaukazu, zwolniony po nowym śledztwie, i potem, jak się zdaje, zdołał w okolicznościach, które całkowicie przemilcza, zbiec na Zachód, gdzie pozostał.

Jak wszyscy ex-komuniści sowieccy, Awtorchanow-Urałow okazuje się niezdolny do analizy historycznej i nawet politycznej swych przygód, nie jest w stanie przeniknąć głębszego sensu dogmatów i wiary, którą niegdyś wyznawał, a którą teraz wyklina. Pod tym względem jego intuicja nie daje mu żadnego obrazu. Jak spojrzeć dzisiaj prosto w oczy ohydny ruinom tego, co stanowiło wiarę i życie jego młodości, jego lat męskich? Jak wyrównać rachunki z marksizmem, i ponownie umiejscowić nieuchwytnie "realia" w "racjonalnym" systemie?

Na te zasadnicze pytania, które jednak muszą mu się narzucać, Awtorchanow-Urałow nie daje żadnej odpowiedzi. Co więcej, on tych pytań nawet nie formułuje. Książka Urałowa cierpi przy tym na brak zasadniczy, jeszcze bardziej bezpośrednio rzucający się w oczy. Nie jest to ani pamiętnik, ani essay — i całość cierpi na tym braku wyraźnego oblicza. Jest to książka

żywa i często pełna szczegółów — jak dobre pamiętniki, — ale brak jej precyzji i szczerości, które dla pamiętników są konieczne. Gdyby zaś traktować ją jako essay, to trzeba stwierdzić, że poglądy i osądy autora są ogólnikowe i nie oparte na danych i źródłach godnych zaufania.

Niektóre strony tego dzieła zainteresują wprawne oko. Inne — mniej. Nie mogę na przykład podzielić poglądu autora, że zamordowanie Kirowa było rezultatem uraz osobistych, ani też zgodzić się z nim co do ciężaru gatunkowego Wyszyńskiego w polityce sowieckiej (przy czym w tej ostatniej sprawie autor sam popada w sprzeczności — Vide str. 86, 147 i 160). Z innej zupełnie dziedziny, dziwię się, że autor nazywa kołchoz Stiepna kołchozem przeciętnym i typowym. Przecież na str. 208 sam powiada, że kołchoz ten miał 5.800 hektarów ziemi ornej. Niedawna ustawa o "upłotnieniu" kołchozów autorytatywnie wyjaśnia, że podobny areał był znacznie większy od przeciętnego kołchozu.

Obok tych usterek (poważnych, bo wszelkie odpięcie kłamstw sowieckich powinno być bez zarzutu), książka zawiera liczne cenne dane i fakty, które dość łatwo sprawdzić. I tak wszystko co dotyczy Jeżowa czy Berii i Wyszyńskiego jest wartościowe. Ale "clou" książki stanowi niewątpliwie rozdział, poświęcony niepowodzeniu Stalina wobec Centralnego Komitetu w 1936 roku, mianowicie, gdy kazał Jeżowowi zaskarżyć Bucharina przed tym komitetem. Dotąd cały ten epizod był nieznan, a pozwala on wyjaśnić jedną z przyczyn czystek przedwojennych, niebywałych rozmiarów i bezlitosnego charakteru. Wynika z niego bowiem, że Stalin, zarządzając te czystki, przez chwilę, ujrzał, jak pod jego stopami otwierała się przepaść.

Jean BERNIER.

## Przebudzenie Azji

Książka T. Mende o nowej Azji, tej Azji, która jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej prawie całkowicie pozostawała pod dominacją mocarstw i w 25 lat później kroczyła szerokim szlakiem zwycięskich wojen niepodległościowych, tętni rytmem aktualności.

Autor rozumie istotę tej walki, łączy się uczuciowo z tą walką, jest chwilami jej apologetą. Może właśnie dlatego nadu-



żywa utartych zwrotów o materialistycznej cywilizacji zachodniej, którą — jego zdaniem — przewyciężyły narody Azji w okresie od Wojny Opiunowej do wycofania się Holendrów z Indonezji. Może dlatego również pomija milczeniem zagadnienia cywilizacyjne i nie uwzględnia momentu, znanego dobrze historykom cywilizacji, iż rozkład orientalnych społeczeństw i ich kultur w okresie między 11 a 17 wiekiem osłabił polityczną prężność Wschodu, co nieuniknienie podporządkowało azjatyckie narody młodej, rozwijającej się cywilizacji zachodniej.

Zbytne uwypuklanie roli zagadnień gospodarczych zdradza u autora pewne uleganie marksistowskiemu wpływowi. Píše on, iż społeczeństwa azjatyckie łączy podporządkowanie w tym czy innym okresie czasu obcym interesom gospodarczym, które nic nie miały wspólnego z ich interesami. Zapomina jednak, że wpływy zachodnie nie wyparły lepszych systemów gospodarczych, lecz wypełniły bądź pustkę, bądź zastąpiły rozkładające się i anachroniczne formy. Toteż gdziekolwiek w Azji zjawiały się silne i prężne ośrodki dynamizmu gospodarczego, szybko uniezależniały się spod wpływów i dominacji gospodarczej Zachodu, jak np. Japonia lub azjatycka Rosja.

Pomimo tych podstawowych braków — książka zawiera wiele bardzo interesujących i oryginalnych myśli, jak np. w rozdziale wstępnym, gdzie krytykuje powszechne stosowanie zachodnich pojęć do określenia azjatyckich zjawisk socjologicznych. Tak więc twierdzenie, iż źródłem wszystkich przemian i rewolucji w Azji jest nacjonalizm, nie jest słuszne. Nacjonalizm jest pojęciem europejskim, lecz w Azji przybrał formy odmienne, a mianowicie stał się dalekim echem liberalizmu zachodniego oraz ruchem myślowym i postępowym.

Renesans Azji łączy się w wizji autora z rozwojem środków komunikacyjnych, radia, prasy, kina, itp. co wzniesło niepostrzeżony ferment intelektualny i odsłoniło Azjaćom ich niższość i zacofanie.

Podobnie jak i wielu innych badaczy, T. Mende podkreśla wielki wpływ zwycięstwa japońskiego nad Rosją w 1905 roku. Analogiczną rolę w późniejszym czasie odegrała pierwsza pięcioletka sowiecka, rozpoczęta w Rosji w r. 1928. Pięcioletka ta — jego zdaniem — może być uważana za punkt wyjściowy w decydującym i ostatecznym zrywaniu węzłów między Zachodem a Azją. W świetle sowieckiej propagandy na rzecz socjalistycznej i planowej gospodarki — wizja zachodniego liberalizmu w Azji nabrała odmiennych cech, innych barw: odsłoniła nowe drogi zwalczania nędzy i zacofania gospodarczego. Oczarowane idea planowej gospodarki azjatyckiej narody poczęły wypracowywać zasady reorganizacji czy też rewolucji gospodarczej, mniej lub bardziej radykalne, przy pomocy lub niezależnie od mocarstw zachodnich. W ten sposób walka z wpływami zachodnimi przekształcała się w zwalczanie istniejącego systemu gospodarczego.

Zachodnie formy gospodarcze nie straciły jednak atrakcyj-

ności. Próby rozwiązania trudności gospodarczych w świecie arabskim, Pakistanie, Indonezji, itd., prowadzone są przy współpracy i pomocy materialnej Zachodu. Autor omawia je szczegółowo na przykładach polityki amerykańskiej na Filipinach, Czwartego Punktu Trumana oraz planu współpracy w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Ludów, opracowanego w Colombo. Próby te jednak — dodaje autor — są dość minimalistyczne i napotykać na różne opory. Na drodze stoi nacjonalizm azjatycki, zmierzający do pełnej wolności politycznej, co kurczy szanse owocnej współpracy Azji z Zachodem. Z drugiej strony utrudnia ją "dziedzictwo kolektywistyczne" narodów azjatyckich, niechęć albo niedocenianie wartości zachodniego indywidualizmu. Te właśnie tendencje do socjalistycznych, *mutatis mutandis*, prób rozwiązywania palących problemów gospodarczych wyjaśniają, dlaczego W. Brytania z jej labourzystowskim rządem zdobyła wiele sympatii w Azji nawet wśród swych dawnych wasali. Eksperyment labourzystowski traktowany jest przez Azjaćów jako europejska forma planowej gospodarki. Tak więc rola i znaczenie "socjologicznego dziedzictwa" Azji staje się jednym z głównych czynników, z którym się musi liczyć Zachód, o ile nie chce doprowadzić do oderwania się Azji od zachodnich demokracji.

Autor analizuje szczegółowo zjawisko komunizmu w Azji i poświęca temu zagadnieniu oddzielny rozdział.

W zakończeniu swego studium stylem nieco demagogicznym píše: "Les opprimés qui constituent la majorité de l'humanité donnent le signal de la révolte". Jaki będzie finał tej rewolucji przewidzieć trudno. Dwie ostatnie rewolucje: rosyjska i chińska pchnęły poważny odsetek ludzkości na tory gospodarki planowej. Przekształcenie sowieckiej Azji, która z pustyni stała się jednym z wielkich arsenałów świata, bez względu na płaconą cenę i okrutne metody, nie mogła pozostać bez echa na pozostałym kontynencie azjatyckim i nie wzbudzić chęci do podobnych doświadczeń. Cała Rosja Sowiecka stała się arsenałem rewolucyjnym Azji, podobnie jak St. Zjednoczone — arsenałem dla świata zachodniego. Arsenalem, in statu nascendi, są Chiny, jakkolwiek ich punkt wyjściowy jest o wiele niższy od rosyjskiego z r. 1917. Pakistan i Indie potencjalnie mogą poprzeć rewolucję chińską lub wypowiedzieć się wprost po stronie Sowietów. Walka wzajemna tych państw tylko przyspiesza ten proces. W obu tych krajach jałowy, skrajny nacjonalizm i napięcie w stosunkach rasowych odwraca uwagę od niecierpiących zwłoki reform socjalnych, które jedynie mogą odsunąć niebezpieczeństwo komunistyczne i immunizować masy przeciwko skrajnym rozwiązaniom.

W wielu krajach Azji skrajny nacjonalizm i inspiracje komunistów stanęły w jednym szeregu zwalczając umiarkowane i prozachodnie rządy. Na Filipinach, w Indo-Chinach i w Burmie znaleźć je można za kulisami ruchów powstańczych i nastrojów rewolucyjnych. W Indonezji i Sjamie potencjalnie roz-

powszechniają się podobne tendencje. Przed Zachodem stoi więc dylemat: pomocy dla Azji w najszerszym i bezinteresownym tego słowa znaczeniu. W przeciwnym razie, jeśli ta pomoc stanie się pokrywką dla nowej formy kolonializmu, rozgrywka o Azję będzie przegrana. Wybierając między kolonializmem a sowieckim rygiorem — większość Azji opowie się po stronie komunizmu.

Mapa, dwie tabele (gęstości zaludnienia krajów Azji i dochodu społecznego), bardzo wiele danych statystycznych, historycznych i ogólnych podnoszą wartość tej niepokojącej i niezwykle interesującej książki. Powinien ją przeczytać każdy zajmujący się aktualnymi wydarzeniami w Azji.

Dwie niewielkie książki o historii Azji R. Grousset'a oraz historii Indii P. Melle, podobne charakterem i układem, są streszczeniami podstawowych wiadomości historycznych, doprowadzonych do dni ostatnich.

Nazwisko R. Grousset'a, jako historyka Azji, imperiów stepowych, wypraw krzyżowych, itd. jest powszechnie znane i jego prace uważane być mogą za klasyczne dzieła w swej dziedzinie. Omawiana książka Grousset'a jest oryginalnym skrótem jego wielkiej historii Azji, jest rodzajem historycznego przewodnika o największym kontynencie świata. Zainteresowanie czytelnika wzbudzić może nie tyle przegląd dzieł Azji, ile ostatni rozdział analizujący tło bieżących wydarzeń w Azji. Charakterystycznym rysem historycznym 19 wieku był podbój Azji przez Zachód. Proces ten rozpoczął się o wiele wcześniej. Zainicjowali go w 16 wieku Portugalczycy, Holendrzy, handlowa ekspansja Anglii i Francji. Rywalizacja wymienionych mocarstw i przechodzenie od wymiany handlowej do politycznego opanowywania narodów azjatyckich wypełniają pierwszy okres historii penetracji zachodniej. Równolegle jednak z podbojem Azji przez Zachód przebiegał proces rosyjskiej ekspansji. Głęboką i ciekawą jest uwaga autora, że ekspansja Moskwy posiadała specyficzny charakter "przedłużania się" Rosji w kierunku wschodu, poczynając od 16 wieku. Lecz Grousset zbyt akcentuje, idąc w ślady historiografii rosyjskiej, ubogi i bezbarwny charakter szczytów ugro-fińskich i mongolo-tunguskich, osiadłych na dziewiczych obszarach centralnej i wschodniej Azji. Faktem jest, że Syberia posiadała w owym czasie — na niektórych przynajmniej obszarach — organizmy państwowo-narodowe, których prymitywizm nie wiele różnił się od ówczesnego rosyjskiego.

Rosja opanowała Tobolsk w r. 1587, Tomsk w r. 1604, Irkuck

René Grousset. *Histoire de l'Asie*. Presses Universitaires de France, Paris, 1950, stron 127.

Pierre Melle. *Histoire de l'Inde*. Presses Universitaires de France, Paris, 1951, stron 127.

w r. 1652, i w 19 wieku dotarła do morza Japońskiego, zajmując w r. 1858 Kraj Nadamurski i zakładając miasto Władywostok, mające symbolizować rosyjską dominację nad Wschodem (Władywostok — Władiej Wostokom. Podobnie, jak kaukaski Władikawkaz — Władiej Kawkazom, miał być pomnikiem władzy rosyjskiej nad Kaukazem). Ekspansja rosyjska w Azji rozwijała się dalej: przyłączenie Turkiestanu w latach 1868-75, oraz zaanektowanie de facto w r. 1921 Zewnętrznej Mongolii — znaczą jej dalsze etapy.

Drugim historycznym wydarzeniem była modernizacja Japonii, która równolegle z ekspansją rosyjską w Azji i podziałem Chin na strefy wpływów znamionowała coraz głębsze sięganie świata Zachodu w starożytną atmosferę Orientu. Ta penetracja w obcy i odległy świat wywoływała ostry sprzeciw: w Indiach jeszcze w r. 1857 w formie Wielkiego Buntu, w Chinach w r. 1900 — powstanie Bokserów. Właściwa jednak reakcja Azji na napór Zachodu wiąże się ze zwycięstwem Japonii nad Rosją w r. 1905. To jaskrawe zwycięstwo narodu azjatyckiego nad mocarstwem, uważanym w Azji za zachodnie, wzniesło głęboki wstrząs duchowy. W wyniku jego powstała rewolucyjna partia Kuomintang'u w Chinach pod wodzą kantończyka, protestanta, Sun Yat-sena. W r. 1912 upadła dynastia mandżurska i proklamowano republikę chińską. Nieudała próba restytucji monarchii przez prezydenta Yuan Szi-kay'a zapoczątkowała, trwającą do obecnej chwili, anarchię chińską i umożliwiła ekspansję Japonii na kontynent, ukoronowaną stworzeniem wasalnego państwa Mandżukuo w r. 1932. W 5 lat później Japonia podejmuje otwartą wojnę z Chinami, której ostatnim akordem była kapitulacja Państwa Wschodzącego Słońca, złożona na ręce MacArthur'a w r. 1945.

Kuomintang, przemiany w Chinach, oraz rozwój militarystyki japońskiej są przejawami rewolty moralnej Azji przeciwko Zachodowi. Autor — zdaje się — niedocenia w tej antyzachodniej rewolcie Azji momentu walk wewnętrznych między narodami azjatyckimi. Faktem jest m. in., iż japońskie hasło "Azja dla Azjatów" było w istocie pozbawione szczerości ideowej i było raczej pokrywką ekspansji wąsko-narodowego imperializmu Japonii.

Przechodząc do Indii, Grousset podkreśla, iż zjednoczenie i modernizacja Indii pod rządami brytyjskimi wywarły dodatni wpływ na procesy wyzwolenicze. Pierwszym wyrazem dążenia do niepodległości był Kongres Indyjski, zwołany po raz pierwszy w r. 1885, na którym intelektualści hinduscy i muzułmańscy postanowili zapomnieć tysiącletnie konflikty w imię wspólnej ojczyzny. Walka o niepodległość, z biegiem czasu coraz gwałtowniejsza, skończyła się w r. 1948 stworzeniem dwóch niezależnych państw: Indii i Pakistanu. W rok później uzyskały niepodległość Annam — Vietnam i Indonezja. W Chinach komunistyczna partia Mao Tse-tunga wyparła Kuomintang. Na Bliskim Wschodzie, poczynając od r. 1925 moderni-

zuje się Iran, jeszcze wcześniej kemalistowska Turcja przybrała formy nowożytnego państwa. Kończą się mandaty Anglii i Francji nad Irakiem i Lewantem. Egipt domaga się całkowitego zlikwidowania wpływów brytyjskich, zaś Liga Arabska skupia państwa pod hasłem nacjonalizmu arabskiego.

Reasumując ten pobieżny zarys autor jeszcze raz podkreśla, iż w 18 i 19 wiekach zachód, dzięki przewadze technicznej i militarnej, podporządkował sobie Azję. Lecz w tym samym czasie wpływami swych ideologii przekształcił Orient, który w 20 wieku zachodnią bronią zaczął skutecznie wypierać Zachód. *Europeizacja Azji dała więc w wyniku rewoltę Azji przeciwko Europie.*

Cenną i aktualną w obecnej sytuacji książkę wzbogacają 3 mapki i obszerny przegląd bibliograficzny.

„Historia Indii” P. Meile, również, poprzez odległe szlaki historyczne, prowadzi czytelnika w dobę współczesnego odrodzenia i walki o wolność. Początkowo proces ten nie miał charakteru politycznego: był religijny i duchowy. Zapoczątkowany na przełomie 18 i 19 wieku, kształtował się w pewnym stopniu pod wpływami chrześcijaństwa, któremu ulegał Ram Mohan Roy. Praktycznie biorąc najsilniej zaważyła na procesie odrodzenia reforma szkolnictwa indyjskiego i organizacja uniwersytetów. Walkę o niepodległość kierowała inteligencja hinduska, wychowana w szkołach europejskich. Życie polityczne Indii zapoczątkowało stworzenie Kongresu Hinduskiego, zresztą z inspiracji brytyjskiej (Hume) i za aprobatą wicekróla, lorda Dufferin. Coroczne zebrania Kongresu, prace jego stałego komitetu oraz biura propagandy w Londynie zainicjowały długi proces wypracowywania reform wszelkiego rodzaju. Zwycięstwo Japonii w r. 1905 i hinduizacja aparatu administracyjnego całkowicie zahamowały rozwój wpływów Zachodu w Indiach. Kongres Panindyjski w r. 1906 zadeklarował, iż jego celem politycznym jest „svaradj” — autonomizacja Indii. Hasło to było echem irlandzkiego „Sinn-Fein” oraz angielskiego „Home rule”. Połowiczne reformy w kierunku demokratyzacji rządów, podejmowane w tym czasie przez W. Brytanię były spóźnione i wielka partia polityczna została potencjalnie przegrana na długo przed pierwszą wojną światową. Co prawda, po pierwszej wojnie światowej po raz ostatni zaistniały możliwości odzyskania sympatii w Indiach w drodze śmiałych i liberalnych reform, lecz i ta karta została stracona wobec zastosowania polityki represji. Z inspiracji Ghandiego rozpoczęła się żywa kampania protestacyjna. W kwietniu 1919 miał miejsce głośny incydent w Amritsar, gdzie wojsko użyło broni przeciwko bezbronnemu tłumowi. Port Arthur i Amritsar, te dwa punkty na mapie Azji — pisze Autor — odegrały olbrzymią rolę w współczesnych dziejach świata, z czego nie zda-

wali sobie sprawy współcześni. Na scenę Azji wszedł Mahatma Ghandi z nową metodą walki anty-kolonialnej — pasywnego oporu. Boykot europejskich towarów przyczynił się do powstania lokalnego przemysłu w Indiach; głoszona zasada niestosowania gwałtu w imię tradycji hinduskiej stała się symbolem wysokiego poziomu moralnego Indii w przeciwstawieniu do barbarzyństwa europejskiego.

Druga wojna światowa przerwała ewolucję wydarzeń i odśloniła kompletny brak zgody między nacjonalizmem hinduskim a rządem brytyjskim. Hasło „Quit India” z połowy r. 1942 oraz stworzenie pod wodzą Soubhas Chandra Bose Komitetu Niepodległości Indii, początkowo pod kuratelą niemiecką, a później japońską, oraz organizacja indyjskiej armii narodowej, biorącej udział w walkach po stronie japońskiej w Burmie — rozpętały nową serię wydarzeń, której logicznym zakończeniem było ogłoszenie przez rząd Attlee w dniu 20 lutego 1947 r. zamiaru opuszczenia Indii w terminie do 30 czerwca 1948 r. Cena, jaką wypadło zapłacić za niepodległość, była olbrzymia. Podział Indii na dwa organizmy państwowe pociągnął nieuniknioną migrację ludności, skazując 17-milionową masę swolstych „dipisów” na niewypowiedzianie ciężkie warunki życia w miejscach przesiedlenia. Sytuacja gospodarcza młodych państw skomplikowała się niezwykle i pogorszyła; walka o Kaszmir doprowadziła do zenitu napięcia politycznego między Indiami a Pakistanem. Indie w międzyczasie ogłosiły zniesienie ustroju monarchicznego i proklamowały republikę, pozostającą w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Trzy mapki w tekście ułatwiają orientację w odległych dla zachodniego czytelnika obszarach Indii.

W. BĄCZKOWSKI.

## «Ostatni Goncourt»

Ostatnia nagroda Goncourtów była z punktu widzenia dziennikarskiego sensacją. Julien Gracq, któremu przyznano tę nagrodę odmówił jej przyjęcia. Stanowisko swe motywował negatywnym stosunkiem do nagród literackich jako takich, czemu zresztą dał wyraz w jednej ze swych książek. Jury konkursowe oświadczenia tego nie uznało. Zdaniem jego nagroda może być udzielona wbrew czyjejś woli i dla nadania jej pełnoprawnego znaczenia akt zgody ze strony nagrodzonego wcale nie jest potrzebny. W rezultacie, po raz pierwszy w dziejach Goncourtów

Julien GRACQ, *Le rivages des Syrtes*, Ed. José Corti.

nagrodzony nie zjawił się w restauracji Drouot by otrzymać z rąk jury czek na symbolicznych 5 tysięcy franków, nie poddał się natarczywemu naleganiu udzielenia wywiadów, nie został ogłoszony wrzawą powinszowań i oślepiiony blaskiem lamp fotograficznych. Książka zaś jego pt. "Le rivage des Syrtes" (wydawca Librairie José Corti, Paris) ukazała się na półkach księgarskich bez tradycyjnej i rzucającej się w oczy opaski: "Le Prix Goncourt". Nie wiem czy ta negatywna reklama dała pozytywne rezultaty jeżeli chodzi o spopularyzowanie powieści. Wydaje się, że raczej nie. Ale gdyby było tak w rzeczywistości stanowiłoby to bez wątpienia poważną szkodę. Gdyż, o ile można było mieć istotne zastrzeżenia co do wyboru jury Goncourtów w roku 50, o tyle przyznanie nagrody Julien Gracq'owi za jego ostatnią książkę jest — jak się zdaje — decyzją słuszną i najzupełniej uzasadnioną. "Le rivage des Syrtes" jest bowiem z punktu widzenia literackiego rzeczą doskonałą.

Niektórzy co prawda stawiają powieści tej zarzut, iż czyta się ją trudno, że właściwie jest ona niedostępna szerokim masom, że porusza skomplikowaną i czasami niebardzo uchwytną problematykę i że wreszcie posiada nużące, trochę zbyt przewlekłe i drobiazgowo opisy sytuacyjne i krajobrazowe. Ale z drugiej strony nieomal wszyscy stwierdzają zgodnie, że Gracq w powieści swojej umiał wytworzyć jednolitą i skondensowaną atmosferę półsennego wyczekiwania, umiał w atmosferze tej zanurzyć akcję, nadać jej odpowiedni bieg, odmalować zdumiewająco sugestywnie nastroje stępiącego w apatycznym bezruchu społeczeństwa. W tej jednolitej konstrukcji, w beznamiętnym tonie opowiadania, w zadziwiającej precyzji słowa i obrazu tkwią naprawdę głębokie walory literackie.

Akcja "Le rivage des Syrtes" toczy się w jakimś wymyślanym państwie, które nazywa się Orsenna i które w swym ustroju politycznym i społecznym przypomina nam nieco dawną republikę wenecką. To wymyślone państwo Orsenna posiada jednak samochody, armaty, kontrtorpedowce i inne zdobywcze nowoczesnej techniki. Ale obok tego społeczeństwo Orsenny żyje w przestarzałych i od wieków respektowanych ramach nienaruszonego żadnymi zmianami ustroju, podzielone jest na kastę uprzywilejowanych urzędników i patrycjuszów oraz posłuszną jej klasę niewidocznego i usuniętego w cień ludu. Orsenna była niegdyś potężną, bogatą i pełną życiowego rozpędu republiką. Dzisiaj jest to państwo żyjące wspomnieniami swej wielkiej przeszłości, utwierdzonymi zwyczajem i tradycją, przepisanymi, państwo, które przypomina obumierające powoli i majestatycznie drzewo. Orsenna pogrążona jest w letargu, apatii, sennym mijaniu dni bez wydarzeń. Od trzech wieków z górą jest ona w stanie wojny z sąsiadującym z nią poprzez wąskie morze Syrtów państwem Farghestanu. Wojna między tymi państwami, tak jak życie w Orsenna, przemieniła się w senne trwanie nieprzerywane żadnymi incydentami. Od trzech wieków między Farghestanem a Orsenną nie doszło do najmniejszego starcia,

potyczki, wymiany strzałów. Gdyby nie oficjalne stwierdzenie na papierze, o wojnie tej pozornie zapomnieliby wszyscy.

W chwili, gdy rozpoczyna się akcja powieści bohater jej, młody chłopiec ze starego rodu patrycjuszów, znudzony monotonnym życiem w stolicy, prosi o przeniesienie do najbardziej wysuniętego w kierunku Farghestanu posterunku obserwacyjnego. Jest to stara twierdza, rozpadająca się częściowo w gruzy, położona nad morzem Syrtów i której załoga, tak samo jak i załoga jedynego stojącego w porcie kontrtorpedowca, zamieniła się w spokojnych, osiadłych w okolicy rolników. W tej strupieszalej twierdzy panuje rozpaczliwa atmosfera zupełnej bezczynności, apatycznego zatopienia się w bezbrzeżnej ciszy i spokoju. Lecz tutaj, jest się już już nieco bliżej tajemniczego Farghestanu.

Młody bohater powieści zaczyna powoli i stopniowo, ulegając dziwnej atmosferze twierdzy, interesować się coraz bardziej niedalekim Farghestanem. Powoli też i niespostrzeżenie jego ciekawość Farghestanu, z dnia na dzień bardziej natarczywa, staje się obsesją. I wtedy ze zdumieniem odkrywa fakt, że to samo pełne niepokoju zainteresowanie drzemie u wszystkich. Tylko, że nikt nie śmie o tym mówić. W międzyczasie w okolicznym miasteczku zaczynają krążyć uporczywe pogłoski o jakichś daleko posuniętych przeobrażeniach Farghestanu, a jakichś jego agentach tajnie działających na terenie Orsenny, o możliwościach gwałtownego odzyskania wojny. Młody bohater powieści zagłębia się coraz bardziej nieodwołalnie i całkowicie w fascynującym go świecie pogłosek o tajemniczym Farghestanie. I któregoś dnia, korzystając z nieobecności komendanta twierdzy, starego marynarza, stojącego twardo na stanowisku poszanowania i utrzymania stanu tradycyjnego letargu, wyrusza na kontrtorpedowcu w stronę Farghestanu. Po przekroczeniu dozwolonego pasa zbliża się do brzegów nieprzyjaciela. Zostaje ostrzelany z armat i zawraca. Wiadomość o wyprawie tej obiega lotem błyskawicy cały kraj. I zamiast spodziewanego potępienia, zamiast kar i sankcji za krok ten, który pociągnąć może najgroźniejsze konsekwencje, młodzieniec z powieści spotyka się wszędzie z entuzjastycznym szacunkiem. Staje się bohaterem. Tylko stary komendant twierdzy w pełnym protestu geście popełnia samobójstwo.

Bohater powieści, wezwany zostaje do stolicy, gdzie dowiaduje się, że Orsenna zamiast starać się załagodzić sytuację gotowa jest ponieść konsekwencje jego kroku i stawić czoła ewentualnemu atakowi. W Orsenna bowiem przebudziło się pragnienie zmiany, pragnienie wyjścia z letargu, sprawdzenia swej siły, swych możliwości. Może po tym krwawym starciu z Farghestanem czeka Orsennę epoka odrodzenia, potęgi, rozkwitu. Powieść kończy się nadejściem wiadomości, że wojska Farghestanu okrążając morze Syrtów zbliżają się do granicy Orsenny.

Książka Gracq'a jest znakomita w zarysowaniu dwu porusza-

nych przez nią istotnych problemów. Pierwszy z nich to sprawa fascynacji niewiadomą. Tajemniczy Farghestan przez fakt zupełnego odcięcia się od Orseny i przez umiejętne rozsiewanie pogłosek stwarza wśród mieszkańców Orseny obsesję. Nikt nie potrafi oprzeć się sile przyciągania tajemnicy i sugestywnych niedomówień. Sprawa druga to zagadnienie zamierania narodów. Gracę w swojej książce mówi nam, że nawet przy najdalej posuniętym pozornym skostnieniu i apatii, w społeczeństwie drzemią zawsze, mimo wszystko, pełne życiowego rozpędu siły i pragnienie przebudzenia. Pragnienie otrząśnięcia się i odzicia jest tak silne, że gotowe jest ono nawet podjąć ryzyko zbrojnego starcia.

Książka Gracę'a może być oczywiście traktowana jako symbol. Lecz bez wątplenia nie należy ona do kategorii książek smutnie i monotonicznie kraczących o definitywnym upadku pozornie skostniałych narodów.

Józef URSYN.

## Wańkowicz i «Ziele»

Michał Sambor nazwał Wańkowicza "pisarzem-amatorem". A wszystko dlatego, że autor "Ziela na Kraterze" nie napisał nigdy powieści. Gdyby pisał, to z jego gigantycznym głodem życia, konkretności, rzeczywistości — miałby wielką szansę stania się polskim Balzakiem. No i wówczas nie byłoby kłopotu co z nim zrobić. Klasyfikatorzy zoologii pisarskiej wpakowaliby go w odpowiedni rząd, a młodzi adepci dziwnej nauki, która nosi nazwę historii literatury — pisywaliby na proseminariach prace pt. "Krajobraz w powieściach Wańkowicza".

Ponieważ osobiście nie reprezentuję cechu ani polonistów, ani krytyków literackich, wyrażam nie-ortodoksyjny pogląd, że Wańkowicz w pewnym sensie jest powieściopisarzem.

Czym są "Hubalczycy" jak nie powieścią? Gdzie jest ten "szlaban" graniczny, który oddziela krainę powieści od niepowieści? "Hubalczycy" są stuprocentową powieścią historyczną. Autor nie znał Hubali, a materiały do tej opowieści zebrał plectołowicie zagranicą, przeważnie we Włoszech. Kościec opowiadania stanowi cykl autentycznych wydarzeń — lecz kompozycja, psychologia bohatera, atmosfera całości — są wańkowiczowską rekonstrukcją, wańkowiczowską powieścią. Od innych powieści historycznych "Hubalczycy" różnią się większym stopniem autentyzmu. Ale czyż to jest wadą powieści historycznej? Czyż można tej książce odmówić tytułu "po-

wieści" tylko dlatego, że w tym utworze jest mniej zmyślonej fabuły niż w innych, banalniejszych powieściach historycznych.

Według mojej laickiej opinii istotą powieści — jak i każdego dzieła sztuki — jest kompozycja. Tworzyć to znaczy komponować. Jest rzeczą obojętną czy komponuje się życie "wymyślone", czy życie prawdziwe. Wańkowicz w swych kompozycjach posługuje się fabułą, którą wymyśliło życie. Ale kompozytorem jest zawsze on.

Może dlatego fachowi literaci i krytycy przywykli do norm i podziałów nazwali "Ziele na Kraterze" materiałem do książki. W ich rozumieniu ów materiał winien się postarzyć, sfermentować, urefleksyjnić, i wówczas dopiero nadawał by się na tworzywo, w myśl klasycznej recepty Goethego, że co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu.

Wańkowicz komponuje, używając jako surowca do swych dzieł autentycznej faktury życia. Lecz to jest zawsze kompozycja, której "walor" wydobyty jest tą samą taktyką pisarską jak w powieści. Ktoś może zauważyć, że jeżeli autor używa do kompozycji wyłącznie autentycznej faktury, to jest w pewnej mierze związany strukturą i wątkiem samego życia. Niewątpliwie tak jest. Ale to samo może malarz powiedzieć o architekcie, a o nich obu muzyk, którego sztuka jest najbardziej amaterialna. Wańkowicz jako artysta jest znacznie bardziej związany właściwościami surowca, którym się posługuje, niż zwyczajny powieściopisarz, ale myślę, że nie boleje nad tym jak rzeźbiarz nie boleje nad twardością i opornością kamienia.

Weźmy dla przykładu "Monte Cassino". Materiał autentyczny do tej "wie romancée" bitwy jest nie tylko zebrany z drobniactwami mozaikarza, ale i przeżyty przez samego autora. A jednak, mimo całkowitej wierności i autentyczności historycznej kompozycją wydobyty jest wyraz subiektywny, który sprawia, że jest to wańkowiczowska bitwa o Monte Cassino jakże niepodobna do bitwy pod tą nazwą w rejestrach historii powszechnej. Wańkowicz w tym olbrzymim dziele — jak i we wszystkich swoich książkach — jest autentyczny lecz nie obiektywny. Jest subiektywny — jak subiektywny jest każdy kompozytor. Jego bitwa cassińska jest eposem, bo w polskiej perspektywie to był epos. Ale ta subiektywna polska prawda wydobyta jest kompozycją i udziela się czytelnikowi jako wyraz całości dzieła. Takiego efektu nie da się osiągnąć reportażem, bo w reportażu mamy cykl faktów a obok nich, na tej samej taśmie nagrane komentarze i wrażenia autora. Można kwestionować komentarze nie kwestionując autentyczności faktów. W technice Wańkowicza nie ma komentarzy. W jego dziełach "komentarz" wypływa z kompozycji i dlatego mówi bezpośrednio i niezaprzeczenie.

Ten rodzaj kompozycji jest chyba jednym z najtrudniejszych typów literackiej deformacji.

Surowcem z którego Wańkowicz ulepił swe ostatnie dzieło są dzieje jego domu i rodziny.

Wańkowicz nigdy nie pisywał monografii a jego umysłowość — choć zabrzmiało to paradoksalnie — jest całkowicie nie historyczna. Autor "Bitwy o Monte Cassino" i "Żagwiącego Września" nie jest historykiem. Nie jest nawet historykiem-amatorem jak niżej podpisany. Wańkowicza nie interesuje proces historyczny i nie jest urzeczony monumentalną statyką historii do której można zawsze powracać, bo nie podlega przemianom czasu. Z tych przyczyn i "Ziele na Kraterze" nie jest autobiografią. Wańkowicza interesuje tylko jedna rzecz w życiu — to jest samo życie. Ten namiętny głód istnienia, rzeczywistości, "dziania się", konkretnych faktów i niesamowita pojemność jego osobowości na chłonięcie strumienia akcji — stanowi doskonałą odwrotność jakże typowej dla wielu pisarzy "ucieczki od życia".

U Wańkowicza często wyczuwa się brak owego "patosu oddalenia", bo on sam jest zbyt pochłonięty życiem, które na ciepło przekomponuje i nie pozwala ostygnąć lawie. Daje to efekt niesłychanej bezpośredniości i prawdy, ale profesorskie głowy wprawia w zażenowanie... Gdy życie jest zbyt autentyczne, zbyt gorące, jawi się zarzut ekshibicjonizmu.

Z ekshibicjonizmem jest tak jak z pornografią. Wszystko zależy od tego czy dany szczegół siedzi mocno w kompozycji i jest artystycznie usprawiedliwiony.

Osobiście nie widzę w "Zielu" żadnego ekshibicjonizmu. List Tili, który zamyka książkę jest przepiękny.

"Ziele" zbudowane jest techniką wańkowiczowską. "Komentarz" wpływa z kompozycji całości. Jakiż jest ów "komentarz" czy "posłanie", które kompozycja dzieła ewokuje w duszy czytelnika?

Wydaje mi się, że ów "komentarz" w transkrypcji słownej brzmiały tak: Rytm życia jest mocniejszy niż gorycz śmierci. Iść z tym rytmem bez buntu i rozpacz jest żywotnością, która jest nieodzownym warunkiem przetrwania i odbudowy. To jest afirmacja dynamizmu istnienia i pochwała siły witalnej. Polska, krzepka, mocna, zdrowa, uparta, głęboka i bez "weltschmerzów" — wiara w życie, wiara w przyszłość.

I jeszcze jedno. "Ziele na Kraterze" jest kompozycją, której tematem są dzieje polskiego domu, polskiej rodziny. Choć dom runął w gruzy jego wewnętrzna treść przetrwała i nie zaznała kryzysu. Klęska jej nie dotknęła. Rytm życia zapulsował w młodym pokoleniu. Krysia, poległy żołnierz warszawski — odżyła w Annie-Krystynie córce Tili. Taka jest saga trwania narodu — poprzez krew przelaną i przekazaną...

Wańkowicz nie jest filozofem ani wieszczem. Ale jego instykt pisarski wiódł go tropem wielkiej, polskiej Przygody. Był zawsze blisko polskiego tętna i umiał dosłuchać się prawd, których nie wyanalizuje się przy biurku.

**Juliusz MIEROSZEWSKI.**

## Listy do Redakcji

"Sprawa Miłozsa" przybrała charakter sprawy zasadniczej. Dłatego, jeżeli ma być uczciwie dyskutowana, nie może być ograniczona do jednej osoby, ani oderwana od sprawy, która ją poczęła. Błędy polskie podczas ostatniej wojny były nie te, o których się powszechnie mówi, a te, o których się właśnie nie mówi. Nie wojna z Niemcami była błędem, a błędem była kolaboracja z bolszewikami. O ile do roku 1943 można było ukrywać ją jeszcze pod dezorientującym szyldem "sojuszu wojennego", o tyle po Katyniu, po zerwaniu stosunków, utworzeniu Komitetu Patriotów w Moskwie i po wszystkich znanych powszechnie wypadkach, a zwłaszcza po wkroczeniu armii czerwonej w granice Rzeczypospolitej, przybrała ona charakter współpracy z najeźdźcą sowieckim, który ani chciał, ani nie ukrywał swych prawdziwych co do Polski zamiarów. W tym stanie rzeczy nie zachodziła żadna różnica w istocie współpracy innych narodów Wschodniej Europy, które pomagały Niemcom przede wszystkim w rozbięciu bolszewików, a Polakami, którzy pomagali bolszewikom przede wszystkim w rozbięciu Niemców. Obydwie te, stojące na przeciwległych krańcach, ale analogiczne koncepcje polityczne, spekulowały na ostateczne zwycięstwo zachodnich mocarstw demokratycznych i wierzyły w dobre zakończenie swojej sprawy. Ponieważ zwyciężyły nie mocarstwa zachodnie, a bolszewicy, logiczną konsekwencją kolaboracji z nimi, stało się jej przedłużenie w postaci Polski tzw. "régime'owej" ("ludowej"), etapami zmierzającej do bolszewizmu, bo innej być nie mogło i nigdzie indziej inaczej nie było i nie będzie.

Czesław Miłozs nie jest komunista, przynajmniej, pamiętam, nie był nim w r. 1940 w Wilnie, gdy z właściwą sobie inteligencją i talentem wskazywał na bolszewików jako wroga bardziej niebezpiecznego. Miłozs, czy jeżeli wolimy, "miłozsów" stworzył nie komunizm, a ten stan faktycznej współpracy pro-sowieckiej całego kraju i wytworzone podczas wojny ciśnienie powszechnej atmosfery, której poddawali się najwięksi często patrioci. W ten sposób w odniesieniu do jednostki nie może być mowy o kolaboracji tout court, a jedynie o jej stopniu, szkodliwych skutkach, czy też terminie zerwania z nią.

Czesław Miłozs zamiast się kajać, jak to od niego wymagają niektórzy, przytacza uzasadnienie swego postępowania, dotychczasowego postępowania, które w moim przekonaniu było formą pośredniego wsparcia bolszewizmu. Osobiście z jego uzasadnieniem nie zgadzam się. Ale nie zgadzam się w jeszcze większym stopniu z uzasadnieniem zdobywania dla bolszewików Wilna, Lublina, innych miast i innych czynów, które były formą bezpośredniego wsparcia bolszewików na drodze do ich zwycięstwa. Tymczasem ani gen. Bór-Komorowski, ani nikt z panów z AK, nie tylko nie myśli z postępowania swego się kajać, nie tylko bronią swęj słuszności, ale piętnują tych, którzy byli innego niż oni zdania. Więcej nawet, bo z ich przedstawienia rzeczy wynika, iż zerwanie wsparcia, jakie udzielali bolszewikom, stało się bez ich woli i nie oni, a bolszewicy sami ponoszą zań odpowiedzialność.

Zerwanie wojskowo-politycznej współpracy z armią bolszewicką nastąpiło w roku 1945. Zerwanie literacko-politycznej współpracy Miłozsa z regimem bolszewickim nastąpiło w roku 1950, czyli w pięć lat później. Osobiście wydaje mi się, iż pod różnicę tych dwóch dat podstawić by można proste sformułowanie: Miłozs o pięć lat dłużej wierzył w celowość takiego stanowiska politycznego, niż ci, którzy je zainaugurowali. Zaprzeczyc temu sformułowaniu można by jedynie w wypadku, gdyby można było dowieść, iż istniał jakiś termin prekluzyjny, po którym musiało nastąpić rozczarowanie do współpracy polsko-bolszewickiej. Moim zdaniem żadna współpraca z bolszewikami, pod żadnym pozorem i żadnym pretekstem nie może być nigdy uzasadniona dla

tych, którzy bolszewizm w jego istocie znają. I tu przyznają pełną rację nie Miłoszowi, a Sergiuszowi Piaseckiemu, który go zaatakował w "Wiadomościach". Dlatego uważam, że dla Polaków, którzy bolszewików znali, termin prekluzyjny upłynął już dawno przed wybuchem ostatniej wojny. Gdyby jednak stanąć na stanowisku szczególnych warunków wywołanych wojną z Niemcami, to trzeba by najpierw dowieść, że owe rozczarowanie nie powinno było nastąpić już przed rokiem 1944, a przynajmniej, że przeprowadzenie takiego doводу nie byłoby łatwe... Jakież może tu zatem obowiązywać termin?

Trudno więc mówić o "winie" Miłozsa. Bardziej byłbym skłonny mówić o stopniu szkodliwości tego co czynił. Moim jednak zdaniem nie da się on porównać ze stopniem jego prekursorów, z których wielu dziś właśnie Miłozsa potępia. Gdyby Miłozs tkwił nadal w służbie reżimu i pisał jeszcze sto lat i wyłącznie wiersze ku czci Stalina, jeszcze by pełne wydanie tej poezji nie podważyło do tego stopnia morale kraju i nie wytworzyło takiej dezorientacji moralno-politycznej, co jeden rok teorii "sojuszu naszych sojuszników" na przełomie 1944/45. Pamiętam jak zaraz po tym okresie, "Tygodnik Powszechny" zakończył korespondencję z "Ziem Odzyskanych" (przez bolszewików): "...rozwijamy sztandar biało-czerwony! Hurra!" — Na odwrocie: "Wydawca Kuria Metropolitalna Krakowska itd....".

Najtrudniej jest właściwie zrozumieć tę zupełnie dowolną miarę, którą się stosuje przy ocenie rzeczy związanych z krajem. Dla zilustrowania tej dowolności pozwolę sobie sięgnąć do przykładów skrajnych. Tenże "Tygodnik Powszechny" nazywa agenta sowieckiego "Panem Prezydentem Rzeczypospolitej", najazd sowiecki "wyzwoleniem", okupację sowiecką "odrodzoną Polską". A czy Miłozs na swoim stanowisku waszyngtońskim mówił co innego? To samo. Dlaczego w takim razie Miłozs jest kolaborantem, a "Tygodnik" nie tylko nim nie jest, ale służy wzorem dobrego Polaka i z nabożną czcią sprzedawany jest w kioskach emigracyjnych? W istocie zaś i jeden i drugi zrodzili się z tej samej, "Hurra-posojusznicznej" atmosfery Kraju. Powiadają: nie powinien był jechać na placówkę zagraniczną, po co, nikt go do tego nie zmuszał. A "Tygodnik Powszechny" zmuszony jest do wydawania?

Nie dostrzegam tu żadnej istotnej różnicy. Episkopat polski poszedł na najdalej idące kompromisy. Poparł kolektywizację ("spółdzielczość produkcyjną") wsi, podpisał wezwanie sztokholmskie i wezwał wszystkich księży do jego podpisania. Czyżby Miłozs go nie podpisał? Sądzę, że chyba tak, jakkolwiek księdzem nie jest. W tych warunkach trudno jest wyrozumieć dlaczego Miłozs ma być godny potępienia, a biskupi, przed których godnością kościelną uchylał czoła, również z punktu widzenia narodowo-politycznego czczeni być mają jako "niezlomni"! Coś w przeciwstawianiu tych ocen nie jest przemysłowego do końca. Można by wprowadzić zarzucić, iż przystajemy wartości ze sobą niewspółmierne. Chętnie na ten zarzut przystaję. Każdy pojedynczy kompromis ze strony większych autorytetów posiada również w skutkach wagę niewspółmiernie większą od sumy nawet kompromisów jednostki. A w tej sytuacji, do jakiej cały kraj został zapędzony, najważniejszym probierzem musi być ocena nie subiektywnej "winy", a obiektywnych skutków jakie za sobą pociąga.

Bolszewizm jest jedynym najeżdżcą na globie, z którym, ze względu na jego naturę, każdy kompromis może prowadzić nie do różnych, a tylko do jednego wyniku: do równi pochyłej wiodącej do przeistoczenia danego narodu w naród sowiecki. Tymczasem jesteśmy świadkami paradoksalnego objawu, mianowicie często daleko posuniętej pobłażliwości dla tych, którzy nadal w tym kompromisie tkwią (nazywa się: "cierpią w Kraju"), a przesadnej surowości dla tych, którzy z tym kompromisem zerwali. Gdy właśnie powinno być odwrotnie. Budzi to podejrzenie, iż chodzi tu nie tylko o względy ideowe, ale może też o miejsce na ciasnym podwórku emigracji politycznej. Ostatecznie Mikolajczyk, gdy jeździł do

Moskwy pokłonić się Stalinowi, był jeszcze Premierem Polski. Dopiero gdy ze Stalinem zerwał, okrzyczany jest dziś za zdrajcę.

Miłozs zerwał z bolszewikami, których na swój sposób nazywa "nową wiarą" (jakkolwiek jest już ona mocno starawa) i chwalał Bogu. Gdyby zrobił to po cichu na tym by się skończyło. Ponieważ zrobił to z trzaskiem, który bolszewikom wyczynia szkodę, musi być przyjęty z otwartymi rękami, bo od tej chwili oceniany być winien jedynie punktu widzenia korzyści jaką przynosi, jak uprzednio z punktu widzenia szkody. Mufti Jerzolimy stał na drugim miejscu "przestępstw wojennych", ale gdy okazał się potrzebny, zapomniano o jego "przestępstwach" w ciągu 24 godzin. Miłozsowi daleko jest oczywiście do Muftiego Jerzolimy (niech mi wybaczy, że zestawiam go ciągle do Muftiego Jerzolimy (niech mi wybaczy, że zestawiam go ciągle z jakąś osobą stanu duchownego), a ogromną korzyść okazał już w swoich artykułach. Jego świetna analiza bolszewizacji kraju, zdziera tę sztuczną maskę dotychczasowego szablonu, dzielącego wszystko na złych "Rosjan" i cierpiących "Polaków"; szablonu, za którym ukrywają dziś pewne sfery emigracyjne zarówno swą winę przeszłą, jak obecną bezradność. Być może, iż właśnie to zmańczenie zastałej toni w tej emigracyjnej sadzawce, najbardziej niektórych drażni.

Miłozs, który mówi prawdę, nie może pozbyć się tego nabożnego zapatrzenia w "Kraj", na który i ja się dosyć napatrzyłem poprzez dwie okupacje ale bez nabożności, i może dlatego z tej prawdy wyciągnąłem wnioski wręcz przeciwnie od tych, które wyciąga Miłozs. W polskości rodzimego bolszewizmu Miłozs dostrzegać się zdaje okoliczności łagodzące. Ja przeciwnie: element najbardziej niebezpieczny i wrogi.

Tak więc ciesząc się jak najbardziej z przejścia Miłozsa na tę stronę barykady, daleki jestem od podzielenia jego poglądów na sposób zwalczania "nowej wiary" w kraju.

Józef MACKIEWICZ

Z niepokojem i przykrością czytam zawsze polemiki naszych emigracyjnych publicystów i literatów z ludźmi znajdującymi się w Polsce. Są to — moim zdaniem — polemiki zupełnie bezcelowe. Są wymyślaniami wielkiemu niemiowicie, a raczej — głuchoniememu, bo wątpię czy nasze surowe napomnienia dochodzą do ludzi, dla których są przeznaczone. A jeśli dochodzą — sprawiają więcej ziego niż dobrego.

Nasi "kaznodzieje" emigracyjni nie chcą pamiętać o tym, że wszystko co pisze się w Kraju — pisane jest pod przymusem, niemal za kratami więzienia i pod ciśnieniem wielu atmosfer nacisku fizycznego i moralnego. Polemika z człowiekiem mającym pętlę na szyi, która przy każdym niewłaściwym słowie może zacisnąć się na krtani, nie może dać obrazu jego prawdziwych uczuć i myśli.

Z początkiem 1941 roku, pod okupacją bolszewicką, byłam świadkiem jak od jednego z naszych wybitniejszych aktorów i reżyserów zażądano artykułu na temat jego pracy artystycznej. Człowiek ten, zupełnie apolityczny, rozmówiony w teatrze bez pamięci, napisał artykułu wyprany, oczywiście, z wszelkiej polityki. Ku swemu przerażeniu stwierdził po wydrukowaniu go, że zakończono jego pracę apostrofa do władz radzieckich i radosnym credo, że jedynie w zasięgu działania tych władz kwitnąć może prawdziwie ludowy, artystyczny i głęboko wartościowy teatr. Czy zaprotestował przeciw sfalszowaniu jego wypowiedzi? Oczywiście, że nie. Człowiek ten kochał teatr i pragnął w nim pracować — nie chciał się znaleźć w więzieniu.

Czy możemy wiedzieć co zostało napisane przez potępionych przez nas "zaprzających", a co dopisano im jako obowiązująca formułka?

Ale przyjmijmy nawet, że wszystkie te czolobitne hojdy dla "ludowej demokracji" zostały napisane ich ręką. Czy tak trudno jest zrozumieć, że wszystko to co się robi i pisze w Kraju, jest po prostu barwą ochronną, którą ludzie muszą nakładać na siebie aby uratować od

zguby nie tylko swoją osobę, ale — co dla nich na pewno ważniejsze — swoich najbliższych.

I to jeszcze nie wszystko. Ci ludzie muszą pracować aby żyć. W "ludowych demokracjach": kto "nie robotajet" — ten "nie kuszajet".

A praca, najskromniejsza nawet praca, jeśli jest wykonywana sumiennie, jest umacnianiem reżimu w tym ustroju. A że każdy normalny człowiek, który pracuje, chce widzieć wartość i użyteczność swej pracy, i Polacy pracujący w Kraju szukają w swojej pracy sensu i celowości. I stąd pochodzi doszukiwanie się choćby minimalnych, ale dobrych stron obecnego ustroju, stąd wyszukiwanie złych stron ustroju Polski przedwojennej. "Nie ma przecież rzeczy absolutnie dobrej i nie ma rzeczy absolutnie złej — tak to sobie tłumaczą. "Rozbudujmy więc to, co jest dobre w tym ustroju, poprawmy to, co było złe w dawnym". Tak zapewne myślą nie chcąc tracić resztek wiary w siebie i nie wpaść w ostateczną rozpacz. Jest to jakby maska narkozy, którą nakłada sobie człowiek aby przetrwać. Ale my, z wyżyn naszej swobody myślenia, mówienia i pisania, nie chcemy pozostawić mu tych złudzeń. "Wszystko w obecnym ustroju jest złe! — wołamy. — Zaprzędalście się komunistom!". Zdzieramy maskę z narkozy człowieka przywiązanemu do stołu operacyjnego, na którym poddawany jest bolesnemu zabiegowi od wielu lat. Nie możemy mu pomóc. Cierpi sam. Ale rzucamy na niego słowa ciężkie jak kamienie, których nie może odrzucić, bo ma związane ręce i usta zamknięte klamrą lepszą niż te, które nakładali na język swym ofiarom hitlerowscy oprawcy.

Największe gromy rzuca się tutaj obecnie na ludzi, którzy spędziwszy wojnę światową na emigracji, wrócili do Kraju dobrowolnie. Ludziom tym należy tylko bardzo współczuć, że zaufali klamliwemu wrogowi. Liczyli prawdopodobnie na zmiany, które mogły zająć w strukturze Związku Sowieckiego na skutek wojny. Tęsknili za Krajem i rodziną. Może bali się samotnej starości i śmierci na obczyźnie. Literaci szukali czytelników bo chcieli tworzyć, pragnęli aby całe społeczeństwo stało się odbiorcą ich twórczości. Trudno jest artyście zrezygnować ze sztuki w pełni sił twórczych. Po powrocie przekonali się, że rachuby ich były mylne. To, co teraz głoszą i piszą, nie ma już żadnego znaczenia. Przejechał po nich olbrzymi, niwelujący traktor sowieckiego systemu terroru.

Czego zaś zupełnie nie mogę zrozumieć — to wypominania tym więźniom ich przedwojennych wypowiedzi na temat komunizmu i wytykania zmiany poglądów. Czy ludzie, którzy to piszą, nie zdają sobie sprawy jaką spełniają rolę? Kiedy czytam tego rodzaju roztrząsanie sumień winowajców w Kraju (a zdarza się to, niestety, dosyć często!), staje mi przed oczyma obraz, dobrze ilustrujący ten proceder. Szcześliwiec, który znalazł się w łodzi ratunkowej, spokojny o swoje życie, patrzy na drugiego człowieka walczącego ostatkiem sił z falami. Szcześliwiec ów sięga po wiosło, nie aby podać je tonącemu, ale aby uderzyć go w głowę. Niech prędzej idzie-na dno!

O ludziach w Kraju winniśmy pisać z jak największą ostrożnością. Pamiętajmy, że życie postawiło im niezwykle trudne zadanie, wymagając od nich bohaterstwa trwającego długie lata. Bohaterska ich postawa zaczęła się 1 września 1939 roku i trwa jeszcze ciągle, a więc przeszło dwanaście lat! Obecna rzeczywistość wymaga od nich więcej siły psychicznej niż ucisk niemiecki. Niemcy dysponowali tylko terrorem fizycznym. Bolszewicy dołączyli do niego terror psychiczny. Cokolwiek mówią i piszą ludzie pod tym terrorem, nie my jesteśmy powołani do ich osądzania, siedząc bezpiecznie w spokojnych "flatach" angielskich, lub choćby żyjąc w wolnej połowie świata.

Powołani jesteśmy do innych spraw i te są naszym największym i palącym obowiązkiem: do zestrzelenia wszystkich naszych myśli i dążeń w celu zjednoczenia się, by wraz z Polonią Amerykańską stworzyć wielką siłę moralną i siłą tą walczyć na Zachodzie o sprawę tych właśnie, uwieczonych w piekle naszych rodaków. Nasze siły materialne niewiele mogą zdziałać w tym zmaganiu się olbrzymów, ale zdecydo-

wana siła moralna ludzi, którzy mają otwarte usta — może stać się tym groszem wdowim, który przeważa szalę zbrodni i szaleństwa.

A "zdrajców sprawy narodowej" w Kraju zostawmy w spokoju. Mielśmy dosyć męczenników. Bądźmy miłośnikami!

Maria BELINA

Drogi Panie Redaktorze,

Zasylam Panu serdeczne podziękowanie w imieniu czytających po polsku pacjentów za przesłane książki. Książki te przekazałem na ręce jednego z polskich pacjentów.

Jak Panu zapewne wiadomo gruźlica jest chorobą, której leczenie, pomimo znacznego postępu w ostatnich latach, rozkłada się na bardzo długi okres czasu.

Przeciętnie biorąc pacjenci pozostają w leczeniu około dwóch lat i dlatego to, naszym problemem jest nie samo leczenie, ale danie pacjentowi czegoś for his mind. Dlatego książki Pańskie będą rozchwytywane a szczególnie przez tych młodych emigrantów, którzy nie znają jeszcze języka angielskiego na tyle, aby swobodnie rozczytywać się w "quarter literature" (25 ó), przeważnie natury kryminalnej, lub przez ludzi prostych, których poziom językowy nie dorósł jeszcze do czytania po angielsku. Dla nas lekarzy jest o wiele przyjemniej widzieć pacjenta czytającego jak grającego w karty.

Czytałam sprawozdanie z Uniwersytetu w Strasburgu z prawdziwym zainteresowaniem. Mam wrażenie, że wielu z nas chciałoby, aby ta wspinała idea urosła "liczbowo". Mieljmy nadzieję, że jak na początek — każdy początek jest trudny — sprawa ta rozwija się pomyślnie. Wspinały artykuł, moim zdaniem, był o kulturze amerykańskiej. Sprawa ta wygląda tak samo, jak moja wiedza z dziedziny leczenia gruźlicy, którą zdobywałem częściowo w Szwajcarii. Nikt nie zna poziomu leczenia gruźlicy w Kanadzie i jak mówiłem w Davos, że wybieram się do Kanady "wielkości" szwajcarskie wyrażały się pogardliwie o tych sanatoriach w Kanadzie, których, ani nie widzieli, ani nie wiedzą o ich urządzeniu, ani o socjalnej stronie walki z tb., lub o metodach leczniczych. A tymczasem... Nie leży w moim interesie krytykować sanatoria szwajcarskie, lub reklamować kanadyjskie, bo nie jestem szwajcarem, lub kanadyjczykiem. Sanatoria szwajcarskie śmierdzą naftaliną, jak wiele, wiele rzeczy — w Europie. Nikt oczywiście nie przyzna mi, tym bardziej w Davos, że może w takiej dziurze jak Ste Agathe istnieć sanatorium jakiego nie ma ani w Davos, ani też w całej Szwajcarii. Niech Pan nie myśli, że jestem entuzjastką Kanady, ale pracowałem jeszcze w Polsce przed wojną i coś niecoś widziałem z pracy z dziedziny tb.

Jeszcze jedno. Sławy polskie, jakie znalazłem jeszcze z przed wojny, jeżeli nie były naprawdę zrozumiiałe, to "reprezentowały swą godność eskulapa" jako coś niesłychanie poważnego, a w gruncie rzeczy budującego przepaść nie do przebycia między lekarzem a pacjentem, także między lekarzem młodym, a starszym, siostrami itd.

Jeszcze gorzej było w Szwajcarii. Tu jest inaczej. Koledzy kanadyjscy pytają mnie często jak ten przypadek byłby leczony w Szwajcarii, a jak byłby leczony w Polsce lub w ogóle w Europie. Chciałbym spotkać raz jednego szwajcarskiego lekarza, który zapytałby się o sposób leczenia w innym kraju. Zupełnie rozumiałe jest, że leczenie tu, w Davos, jest najdoskonalsze. I tu leży cała różnica. Ameryka wyraża się o wiedzy europejskiej z uznaniem, o kulturze europejskiej z uznaniem. Interesuje się Europa, podczas gdy Europa pogardza, lub wyszydza to o czym absolutnie nie ma "zielonego pojęcia".

Czasem myślę, gdy obserwuje się wszystko co się dzieje w Europie, że Ameryka przecenia Europę i staje zbyt często w obronie tradycji



i konserwatyzmu w Europie zupełnie niesłusznie. Ale z tym jest często tak jak w medycynie, gdyż na tym polu tradycja i konserwatyzm hamuje postępy w leczeniu.

Zasylam Panu Redaktorowi wyrazy poważania i życzenia dalszej owocnej pracy.

**Dr Z. MAKOMASKI.**

Szanowny Panie Redaktorze,

W "Kulturze" 10/48 ukazał się artykuł "Powstanie Warszawskie", list p. J. Skarbek-Michałowskiego i list podpisany trzema pseudonimami. Wszystkie zajmują się sprawami walki podziemnej w kraju.

Rzeczowy, choć oparty tylko na wnioskach z opracowań Komisji Historycznej, artykuł p. T. Solowija wyraźnie oskarża o klęskę Powstania — b. Dowódcę i Sztab AK. Tę samą linię utrzymuje p. Skarbek.

Potraktowanie przez Rząd i Naczelnego Wodza b. Dowódcy A.K. przez nadanie mu II klasy (o ile się nie mylę!) Virtuti Militari, a później przelanie nań godności Naczelnego Wodza i wreszcie powierzenie stanowiska premiera — było zagadką wynagradzania osobliwym zaufaniem człowieka, który zadał Rzeczypospolitej największą klęskę.

Nadanie Virtuti Militari odbyło się przez "zaskoczenie". Jako szef Wydziału Operacyjnego Sztabu N.W. miałem powierzone uzasadnienie tej dekoracji. Sprawdziwszy własną ocenę z powszechną opinią panującą wśród młodszych oficerów Sztabu (majorowie — kapitanowie dypl.) przedstawiłem pisemny wniosek oddania pod sąd b. Dowódcy A.K. za zniszczenie tejże Armii, zniszczenie stolicy i (mimowolną?) pomoc udzieloną armii sowieckiej. Ówczesny mój przełożony, ppułk. dypl. Leon Bitner, przyjął to z gorzkim uśmiechem, ale w dyskusji niezbyt mógł uzasadnić potrzebę odznaczenia za klęskę.

Zbyt mało uwagi poświęca się Sztabowi A.K. Gen. Tabor-Tatar, który był Szefem Oddziału Operacyjnego, odpowiadał za przygotowanie planu powstania i uzasadnienie wybrania czasu wykonania.

Wprawdzie 1-go sierpnia 1944 gen. Tabor był Zast. Sztabu N.W. dla Spraw Krajowych. Z Londynu, gdzie miał pełne oświetlenie sytuacji politycznej (niejasnej dla podziemia) odegrał wraz z ówczesnym premierem Mikołajczykiem rolę decydującą w zmianie dyrektyw N. Wodza. Jego autorytet w sprawach kraju był w Sztapie N.W. przytłaczający.

Czy nie wypada stwierdzić od kiedy był na służbie u komunistów? Oficjalnie uczynił to o wiele później, oddając wraz ze swymi najbliższymi współpracownikami z Oddziału Specjalnego całość wiedzy o podziemiu Bierutowi. O jego sympatiach lewicowych wiedziano jeszcze w okresie podziemia.

Pułk. dypl. Jan Rzepecki, Szef B.I.P. Armii Krajowej też znany ze swej lewicowości był sądzony przez komunistyczne sądy wojskowe i został uniewinniony, potem piastował wysokie stanowisko w armii Żymierskiego.

O ile się nie mylę generałowie Kirchmayer i Herman również byli w A.K. Wprawdzie ostatnio skazani i w więzieniu zastanawiają się nad zapłatą za wierną służbę — nie mniej służba ta jest faktem.

Później może da się stwierdzić pełną penetrację Dowództwa A.K. przez komunistów i na tym tle zrozumieć zbrodniczą wobec Narodu, elementarnie błędną z punktu widzenia wiedzy wojskowej — decyzję powstania.

List podpisany pseudonimami porusza szereg zarzutów przeciwko 1) Narod. Siłom Zbrojnym, 2) Brygadzie Świętokrzyskiej, 3) Oddziałowi por. Zubr ("Zęba").

Odpowiem tylko na zarzuty przeciw NSZ jako całości, za które ponoszę odpowiedzialność chętnie do czasu zdania funkcji Szefa Sztabu Narodowych Sił Zbr. tj. do 4-go października 1943 roku. Inspektora Macieja nie znam. Jeśli nawet ktoś ze znanych i rzeczywiście istnieje-

jących postaci dla swej ochrony zmienił pseudonim w terenie, to zapewne nie opowiadał takich spraw jak "gotowość do walki bratobójczej". Takie oświadczenia są zawsze niepoważne, bo nie doprowadzają do czynów nigdy. Natomiast ocena jego, że Niemcy są rozbite i trzeba sily wszystkie skierować przeciwko Sowiecom była mądra i nie widzę w tym zarzutu. Należy rozumieć rzeczy oczywiste.

Brygada Świętokrzyska wydała w 1948 r. w Monachium książkę "W marszu i w boju". Przyznaje się w niej do wycofania z terenu Polski do Czech równoległe z kolumnami niemieckimi. Można tego nie pochwałać, ale czy zawsze trzeba siać drogi trupami bez celu?

Łączę wyrazy poważania.

**S. ZOCHOWSKI, mjr. dypl.**

Szanowny Panie Redaktorze,

We "Wspomnieniu o Adamie Rose" pana Stanisława Gryziewicza (Nr "Kultury" 12/50, str. 125) znajdujemy następujące twierdzenie: "Adam Rose był twórcą "Bloku Rolnego", tj. porozumienia państw rolniczych Europy środkowo-wschodniej i południowej".

Twierdzenie to nie jest ścisłe. Adam Rose nie był ani twórcą, ani inicjatorem "Bloku Rolnego". Był on jednym z najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych organizatorów Bloku, który powstał z mojej inicjatywy.

Przy tej sposobności pozwalam sobie przesłać Panu broszurę reasumującą genezę i działalność Bloku Państw Rolniczych Europy Środkowo-Wschodniej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

**Adam TARNOWSKI**  
B. Minister Spraw Zagranicznych

Antokol, dn. 7. 2. 1952.  
40, Foxgrove Rd, Beckenham, Kent.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W cennym i ze wszech miar, zdaniem moim, słusznym oraz godnym najszerszego poparcia artykule p. Józefa Łobodowskiego "Przeciw upiorom przeszłości" znajduję następujące zdanie (str. 27): "...Trzy-mało się z dala od tej akcji kilku wyższych wojskowych, którzy widzieli rzeczywistość inaczej, ale wpłynąć na nią nie mogli czy nie chcieli, spora część duchowieństwa i ziemiaństwa, wreszcie w miarę swych sił starało się ratować dobre imię narodu polskiego, nauczycielstwo, a przynajmniej jego duży odłam, ośrodek krzemieniecki, "Rocznik Wołyński" Hoffmana, poszczególni działacze ze "Związku Młodzieży Wiejskiej", ten i ów ze starostów".

Muszę stwierdzić, że "Rocznik Wołyński" nie był "Hoffmana", chociaż byłem jego inicjatorem i redaktorem. Na karcie tytułowej "Rocznika Wołyńskiego", tuż pod nazwą widnieje napis "Wydany Staraniem Wołyńskiego Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego", a na dole te same karty tytułowej pod datą i miejscowością, wydrukowano "Nakładem Zarządu Wołyńskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego". "Rocznik Wołyński" jest więc, a raczej był, własnością zrzeszonego w ZNP nauczycielstwa okręgu szkolnego wołyńskiego.

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

**J. HOFFMAN**

# „SYRENA PUBLICATIONS”

W DETROIT

**Księgarnia wysyłkowa:** Posiada na składzie duży wybór książek polskich ze wszystkimi nowościami włącznie. Książki z Polski. Organizuje „Klub Przyjaciół Książki Polskiej” na U.S.A. i Kanadę.

**Przyjmuje prenumeratę na czasopisma Polskie:** „Kultura”, „Sprawa Polska”, „Orzeł Biały”, „Wiadomości”.

**Główne przedstawicielstwo dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego „Pokrzywy”** na U.S.A. i Kanadę.

WYSYŁA LEKARSTWA DO POLSKI

ADRES: „SYRENA PUBLICATIONS”, 8805, Neal Str.  
Detroit 14, Mich. U.S.A.

NAJTANIEJ ■ NAJLEPIEJ ■ NAJSAPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów na całym świecie

## «LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St. Louis en l'Île — Paris IV<sup>e</sup>

Kierownik: **K. Romanowicz**

**POSIADAMY** na składzie bogaty zapas książek wydanych w Anglii, Ameryce, Francji, Polsce, Szwajcarii, Włoszech i na Bliskim Wschodzie.

**WYSYŁAMY** książki polskie i francuskie wszędzie, gdzie się znajdują Polacy.

**PRZYJMujemy** i załatwiamy prenumeraty na pisma w języku polskim i francuskim.

➔ **Żądajcie bezpłatnych katalogów** ➔

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>).  
Directeur-gérant: M<sup>me</sup> Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1952.

# KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

**FRANCJA:** Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
**W. BRYTANIA:** «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.  
**WŁOCHY:** Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma .....  
**SZWECJA:** Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm .....  
**NIEMCY:** «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone  
**ARGENTYNA:** Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires .....  
**KANADA:** Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marciel, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que. Stan. L. Lemański, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man. Stanisław Zybata, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.  
**U.S.A.:** Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleśczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.; S. Dziarczykowski, 3216 W. — 15 St., Los Angeles 19, California.  
**BELGIA i KONGO BELG.:** Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.  
**AFRYKA POŁUDNIOWA:** Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg .....  
**AUSTRALIA:** «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney .....  
**BRAZYLIA:** Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo .....  
**SZWAJCARIA:** Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève  
**MEKSYK:** Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin .....

| Egz. poj.  | Prenumerata |             |
|------------|-------------|-------------|
|            | ½-rocznia   | Rocznia     |
| 150 fr.    | 900 fr.     | 1800 fr.    |
| 3 sh. 9 d. | 20 sh.      | 40 sh.      |
| 250 lir    | 1500 lir    | 2500 lir    |
| 3 kr.      | 15 kor.     | 28 kor.     |
| 2,50 DM    | 15 DM       | 25 DM       |
| 10 peso    | 60 peso     | 120 peso    |
| 75 cent.   | 4 dol.      | 6 dol.      |
| 75 cent.   | 4 dol.      | 6 dol.      |
| 30 bfr.    | 145 bfr.    | 260 bfr.    |
| 3 sh. 9 d. | 20 sh.      | 40 sh.      |
| 5 sh. (a.) | £A 1.7.6.   | £A2.12.6.   |
| 15 cruz    | 90 cruz     | 150 cruz    |
| 2 fr. szw. | 12 fr. szw. | 22 fr. szw. |
| 0,75 cent. | 4 dol.      | 6 dol.      |

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

## Numer specjalny KULTURY RAMY ŻYCIA W POLSCE

zawiera trzynaście referatów,  
omawiających następujące zagadnienia:

- INSTYTUCJE POLITYCZNE
- WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI
- RODZINA
- SZKOLNICTWO I NAUKA
- RUCH WYDAWNICZY
- ŻYCIE GOSPODARCZE I ZAWODOWE

Jest do nabycia w Administracji *KULTURY*  
(1, Av. Corneille, Maisons Laffitte — S. et O.)  
w cenie 750 fr. oraz we wszystkich przedstawicielstwach.



Otwieramy jednocześnie subskrybcję na II-gi tom "Ram  
Życia w Polsce", który będzie zawierał prace z zakresu:

- NOWA KONSTYTUCJA
- KOŚCIOŁY I WYZNANIA
- REGLAMENTACJA I KSZTAŁTOWANIE TWÓR-  
CZOŚCI ARTYSTYCZNEJ
- ARMIA
- PARTIE
- PRZEMYSŁ PAŃSTWOWY
- HANDEL PAŃSTWOWY
- PRYWATNY PRZEMYSŁ, HANDEL I RZEMIOSŁO

Przedpłata wynosi 800 fr. — wzgl. równowartość i winna  
być wpłacona do końca maja rb. do Administracji  
*Kultury* lub do przedstawicieli.

**Cena 150 frs.**